

*Evelyn Richardson*

*Córka lorda*

# 1

Major lord Mark Adair raz jeszcze dokładnie przestudiował horyzont, po czym złożył lunetę i wsunął ją do torby u siodła. Potem wskoczył na grzbiet swego potężnego kasztana, który cierpliwie czekał, aż jego pan przypatrzy się znajdującej się w dole fortecy, pokonał górujące nad San Sebastian wzniesienie i skierował się do kwatery głównej.

Do Lesaki major miał około dziesięciu mil. Po prawie całym dniu spędzonym w upalnym lipcowym słońcu na obserwacji i szkicowaniu wszystkich możliwych dróg prowadzących do ufortyfikowanego miasta, położonego na wąskim przesmyku, łączącym fort ze stałym lądem, major marzył o tym, by napić się czegoś i coś zjeść. Pochylił się nad szyją wierzchowca i pognał go do galopu. Cezar, który podczas gdy jego pan pracował, spokojnie skubał trawę, z przyjemnością poddał się poleceniu i z głośnym tętentem pomknął zaniedbaną polną drogą, wzbijając gęsty tuman kurzu.

Słońce zaczynało już powoli chylić się ku zachodowi, gdy, znalazłszy się na wierzchołku ostatniego pagórka oddzielającego ich od celu, podróżni, jeździec i koń zatrzymali się na widok młodej kobiety, siedzącej nie dalej niż dwadzieścia jardów przed nimi tak

beztrosko, jakby znajdowała się na swych włościach, a nie pośrodku ziemi niczyjej, rozciągającej się między dwiema wrogimi armiami. Panna ta, pochyliwszy się ku przodowi, przyjrzała się badawczo umieszczonemu przed nią na sztalugach płótnu, a potem uniosła pędzel i wykonała nim kilka ostrożnych pociągnięć. Przez chwilę, trzymając pędzel w powietrzu, studiowała rozciągającą się przed nią panoramę, a potem wybrała nową barwę i dodała jeszcze kilka kolorowych plam do swego obrazu.

Ciekawość pokonała zaskoczenie. Mark zsiadł z konia i podszedł do młodej malarki, która, jak się mogło wydawać, w najmniejszym stopniu nie dostrzegła, iż ustawiła swoje sztalugi pośród wojennej pożogi.

- *Buenos dias, senorita* - odezwał się grzecznie.

Dziewczyna błyskawicznie odwróciła się, a w jej wielkich, orzechowych oczach, ocienionych rondem słomkowej barwy czepka, odmalowało się zaskoczenie. Jednak jedno tylko spojrzenie wystarczyło jej, by zauważyć, iż przybysz ma na sobie mundur oficera dragonów, jego zakurzone buty do jazdy konnej są doskonałej jakości, a koń zaś jest niewątpliwie angielski. Pozwoliła sobie na westchnienie ulgi.

- Dobry wieczór, majorze.

Sama obecność istoty płci żeńskiej w tej okolicy była wystarczająco dziwna, a co dopiero fakt, iż pochodzi ona z Anglii. Jakaż kobieta zdolna jest tak spokojnie siedzieć w miejscu, gdzie mogliby ją napaść żołnierze armii hiszpańskiej, francuskiej, portugalskiej albo też brytyjskiej, nie wspominając już o powstańcach najrozmaitszych orientacji? Przez chwilę

major lord Mark był tak zbity z tropu, że nie potrafił odpowiedzieć na jej powitanie.

- Jesteś panna Angielką? Moja droga panno, co, na miłość boską, skłoniło panią do tej samotnej wędrówki? Czy zdajesz sobie panna sprawę...?

- Że jest wojna? Oczywiście, że tak, i śmiem twierdzić, że jestem tego świadoma nieco dłużej niż pan. - Widząc, że major wciąż nie jest w stanie pogodzić się z jej obecnością na tym pustkowiu, młoda kobieta rzekła miłosiernie: - Jest ze mną stajenny. - Ruchem głowy wskazała samotne drzewo rosnące w oddaleniu kilku jardów i mężczyznę siedzącego w jego cieniu z karabinem na kolanach i pistoletami za pasem, cały czas pilnie obserwującego okolicę. Obok niego stały dwa konie, a przy siodle jednego z nich przy-mocowany był drugi karabin.

- Cóż, tak jest na pewno lepiej, ale trudno powiedzieć, że jest to miejsce właściwe, a tym bardziej bezpieczne, dla młodej damy.

- Doceniam pańską troskę, majorze. - W głosie dziewczyny wyraźnie słychać było ironię. - Ale całe moje dotychczasowe życie spędziłam pośród żołnierzy, a ostatnie cztery lata na wojnie. Zapewniam pana, że doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak wygląda sytuacja na Półwyspie Iberyjskim. A teraz, wybacz pan, ale zaraz skończy mi się światło. - Zanurzyła pędzel w farbie i odwróciła się do sztalug.

Widać było wyraźnie, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę, ale major nie zamierzał poddać się tak łatwo. Jak dotąd żadna kobieta nie odnosiła się w taki sposób do majora lorda Marka Adair, drugiego syna księcia Cranleigh. Od dnia, w którym po raz pierw-

szy w życiu pocałował podającą piwo dziewczę w karczmie Pod Królewską Głową w Cranleigh, lord Mark stanowił nieustająco przedmiot zainteresowania kobiet, które u panien z dobrego domu wyrażało się kokieteryjnym trzepotaniem rzęs, zaś u tancerek i kurtyzan o wiele bardziej jednoznacznymi spojrzeniami i uśmiechami. Chociaż lord Mark wcale nie był skłonny godzić się z poglądem, iż stanowi dla nich cenny łup, nie przywykł także do oschłego traktowania, z tym jednak, że bardziej niż oschłość panny zafrapował go brak jej zainteresowania.

Mimo że wyraźnie dała mu do zrozumienia, iż jego obecność nie jest pożądana, podszedł bliżej, żeby lepiej przyjrzeć się temu, co namalowała. Zaskoczyła go siła, bijąca z jej płótna. Obraz przedstawiał dokładnie to, co major widział przed sobą: sięgające po horyzont złociste wzgórza, tu i ówdzie usiane pojedynczymi drzewami, a jednak miał w sobie także coś innego. Malarka zdołała przywołać wrażenie dzikich uderzeń wiatru, który pędzi od Pirenejów, i niepokój, jakiego człowiek doznaje, przebywając stale pod tutejszym, zawsze jaskrawobłękitnym niebem. Odtworzyła krajobraz Hiszpanii, ale także coś więcej: obraz przedstawiał samą istotę wolności, i właśnie to wrażenie zaparło mu dech w piersiach.

- To niesłychane. - Ocena ta wyrwała mu się, zanim zdołał zastanowić się, co zamierza powiedzieć.

- Jesteś pan bardzo dla mnie łaskawy. - Ironiczny ton wyraźnie wskazywał, że dziewczyna wiele razy słyszała już podobne uwagi.

- Jestem pewien, iż niejeden oficer wyrażał swój podziw, porównując styl panny do Turnera, ale ja

twierdzą, że pod pewnymi względami obraz pani przewyższa jego dzieła. Jest czystszy, nie tracąc na sile wyrazu. Osiągnięcie takiego efektu przy użyciu akwareli, nie zaś oleju, wymaga dużej umiejętności, nie mówiąc już o latach praktyki.

To wreszcie wzbudziło jej zainteresowanie. Prawdę mówiąc, nikt nigdy nie przyrównywał jej do Turnera, a co więcej, byłaby skłonna założyć się, iż chyba żaden z oficerów, którzy usiłowali zyskać jej uwagę, chwalać jej talent, nie potrafiłby wymienić nawet jednego malarza urodzonego później niż Michał Anioł. Popatrzyła badawczo na młodego oficera. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że w jego ciemnych oczach i w wyrazie wąskich, acz pięknie ukształtowanych ust maluje się szczerłość. Co więcej, wpatrując się w obraz, wydawał się zupełnie zapomnieć o jej obecności. Podeszedł do sztalug i przekrzywił głowę na jedną, a potem na drugą stronę, żeby się lepiej przyjrzeć. Potem popatrzył w dal, a po chwili znowu skierował swój wzrok na obraz.

A więc rzeczywiście powiedział to, co myśli. Mężczyzna, który wygłasza pochlebstwo, patrzyłby raczej na malarzkę niż na jej dzieło, by ocenić, jaki efekt wywarły jego słowa, a nie by podziwiać jej maestrię. Ten zaś człowiek wpatrywał się w obraz w skupieniu i z uwagą znawcy i dziewczyna wreszcie poczuła się zaintrygowana jego obojętnością wobec siebie.

Sophie Featherstonaugh, ukochanie pułku, dowodzonego przez ojca, od samego urodzenia otaczali mężczyźni, co sprawiło, że przywykła do ich stałej obecności. Z drugiej zaś strony, będąc córką lorda Harry'ego Featherstonaugh, jednego z najatrakcyjniejszych utra-

cjuszy w całej Anglii, wielokrotnie doświadczała rozczarowania, gdy ojciec jej najzwyczajniej w świecie zapominał o danej przez siebie obietnicy, i dzięki temu uodporniła się na przejawy męskiego czaru, nauczywszy się niemal w pieluchach, jak zwodnicze okazać się mogą słodkie słówka.

Lekko przechylając głowę, przyjrzała się baczniej młodemu oficerowi, podczas gdy on wciąż skupiał swą uwagę na jej obrazie. Jako malarka nauczyła się wnikliwie obserwować, odczytywać charakter z rysów twarzy. Ale tu nie trzeba było wielkiej przenikliwości: w człowieku tym wszystko mówiło o jego energii, uporze, a także odwadze, poczynając od białej linii blizny przecinającej czoło, przez silne ramiona, wąskie biodra i silne, smukłe dłonie oficera kawalerii. Na opalonej, nieco kanciastej twarzy o wysokich kościach policzkowych i o długim, wąskim nosie, malował się wyraz pewności siebie charakterystyczny dla człowieka przyzwyczajonego do panowania nad sytuacją, a ciemnobrązowe oczy patrzyły żywo i inteligentnie. Tylko usta nie pasowały do całej reszty. Była w nich pewna delikatność, świadcząca o wrażliwości, co mogłoby umknąć uwagi mniej wprawnego obserwatora. Sophia jednak dostrzegła ją już wcześniej w sposobie, w jaki nieznajomy przyglądał się jej obrazowi, skupieniu, z jakim starał się zapamiętać najmniejszy nawet szczegół.

Po krótkiej chwili mężczyzna westchnął i cofnął się o krok.

- To niesłychane, jak wiele siły może przekazać kilka odpowiednich pociągnięć pędzla. Doskonale uchwyciła pani to wysmagane przez wiatr drzewo, chociaż nie mam pojęcia, jak mogła pani dostrzec

je z tak daleka. Ja przejeżdżałem obok, ale pani...

- Nauczyłam się bacznie przyglądać wszystkiemu, co mnie otacza, i zapamiętywać szczegóły, aby móc je sobie później odtworzyć.

- Ależ pani je nie tylko odtwarza. Daje im pani nowe życie. Proszę mi powiedzieć, czy potrafiłaby pani malować na podstawie opisu, nie widząc modelu?

- Ja... nie wiem, nigdy nie próbowałam. Malując, nie uciekam się do wyobraźni; nie tworzę sobie obrazów, które potem przenoszę na papier. Jestem raczej ilustratorką, maluję to, co widzę... ludzi, konie i krajobrazy.

- To - mężczyzna wskazał gestem jej obrazek - nie jest tylko wiernym odtworzeniem rzeczywistości. Jest w nim jakaś moc: widać działanie sił natury. Oglądający czuje na twarzy wiatr i słońce grzejące go w plecy.

- Dziękuję panu. - Ta uwaga sprawiła Sophii przyjemność. Nie bardzo lubiła rozmawiać z obcymi na temat swoich akwarel, gdyż w znacznym stopniu stanowiły wyraz tego, co działo się w jej duszy, zaś komentarze osób postronnych świadczyły zazwyczaj o tym, co mówiący czuje wobec malarki, nie zaś jej dzieła. Ten człowiek był jednak inny. Całą swoją uwagę skupił na obrazku, a nie jego autorce, i Sophia sama już nie wiedziała, czy ma traktować to jako komplement, czy uchybienie.

- A gdybym coś pani opisał, czy potrafiłaby pani to namalować?

- Spróbuję - odparła niepewnie.

- Przeprowadziłem rekonesans w okolicy San Sebastian i sporządziłem coś w rodzaju mapy, ale gdy-



bym mógł pokazać ludziom, którzy poprowadzą atak, jakiś obrazek, znacznie lepiej rozumieliby całą sytuację. Proszę. - Wyjął z kieszeni zgniecioną kartkę i podał dziewczynie.

Sophia przyglądała się jej przez chwilę, a potem sięgnęła po szkicownik i wydobyła na wierzch czysty kawałek papieru rysunkowego.

- Chwileczkę. - Lord Mark powstrzymał ją gestem, widząc szkic przedstawiający Wellingtona rozmawiającego ze śmiechem ze swoim sekretarzem, lordem Fitzroyem Somersetem. - Ależ to świetne! To cały on, chociaż tak inny niż na oficjalnych portretach, gdzie zawsze przedstawia się go jako surowego wizjonera. Pani pokazała go takim, jakim widzi go każdy, kto spędzi z nim więcej czasu. Somersetowi zaś zdołała pani oddać sprawiedliwość, gdyż człowiek ten jest więcej wart, niż się zazwyczaj uważa. Obaj są tak żywi, jakby siedzieli tutaj, przed nami. Chyba ich pani obu dobrze zna. Czy pani ojciec jest jednym z głównodowodzących?

- To nic ważnego. - Sophia pospiesznie zakryła szkic nową kartką. - To tylko taka próba, coś, co zrobiłam pewnego wieczoru, zaraz po kolacji. Co chciałby pan, żeby narysowała?

Mark przez chwilę przyglądał się jej z zastanowieniem. Młode panny zazwyczaj z wielką ochotą pokazują swoje dzieła, jeśli dżentelmen okazuje stosowny podziw, ta jednak, posiadająca znaczne malarskie talenta, wolała, by pozostały w ukryciu.

- To fortyfikacje wokół San Sebastian. Mapa pokazuje ich układ, ale chciałbym, żeby dało się także odtworzyć niedogodności terenu. Zamek znajduje

się na przylądku wychodzącym w morze, zaś miasto leży u jego stóp i jest prawie całkowicie otoczone wodą. Ze stałym lądem łączy je wąski, piaszczysty przesmyk, który, rzecz zrozumiała, został silnie ufortyfikowany. Na wschód od przesmyku do morza uchodzi rzeka Urumea. Podczas odpływu można ją przekroczyć, ale nie bez trudności. Jej ujście otaczają wydmy, doskonałe do ustawienia baterii, jednak trudne do przejścia dla oddziałów, narażonych na ogień artylerii francuskiej. Aby dotrzeć do miasta, nasze oddziały muszą następnie pokonać kawałek płaskiego, piaszczystego terenu, a potem rzekę. Razem wynosi to około dwustu jardów. Odpływ zaczyna się o takiej porze, że cała operacja musi odbyć się podczas dnia, a wtedy statki marynarki wojennej nie będą mogły udzielić wsparcia.

Podczas gdy Mark mówił, Sophia zaczęła powoli rysować, wykorzystując ogólny szkic terenu z jego mapy i dodając szczegóły: tu łańcuch wzgórz, tam porośnięte trawą zbocze, ówdzie piaszczystą kosę, a także fragment terenu, gdzie z łatwością można by rozmieścić okopy. Wreszcie skończyli i Mark popatrzył z zadowoleniem na rysunek.

- Doskonale. Tak to właśnie wygląda i dzięki temu będzie mi o wiele łatwiej wszystko wyjaśnić. Dziękuję pani. A teraz... - Popatrzył ku zachodowi, gdzie słońce zaczynało chować się za skaliste grzbieity wzgórz. - Obawiam się, że zabrałem pani tyle czasu, iż nie tylko światło nie jest już dobre, ale lada chwila zapadną ciemności. Jako przeprosiny proszę pozwolić mi pomóc sobie spakować ekwipunek i odprowadzić...

- Jestem panu niezmiernie wdzięczna, ale proszę się nie fatygować. Bardzo pan uprzejmy, ale chciałabym skończyć mój obrazek.

Mark nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która z taką ochotą rezygnowała z jego towarzystwa, a co więcej, tak nieskłoną do opowiadania o sobie. Zazwyczaj bodaj cię zainteresowania wystarczył, by potokiem popłynęły słowa na temat obrazków młodej panny, jej przyjaciół, rodziny, a także admiratorów, w każdym szczególnie objaśniające jej sytuację życiową. Tutaj jednak nawet nie wiedział, skąd wywodzi się jego rozmówczyni: pytanie, dzięki któremu miał poznać nazwisko jej ojca, zostało najzupełniej zignorowane.

- A zatem, do widzenia. I dziękuję za pomoc.

Wskoczywszy na grzbiet Cezara, major ruszył w stronę sztabu, zostawiając pannę przy ustawionych pośrodku pola sztalugach, nie wiedząc o niej nic, jak gdyby wyłoniła się spod ziemi; nic zgoła poza tym, że jest wielce utalentowaną i uzdolnioną malarką.

## 2

Tętent końskich kopyt powoli milkł w oddali. Sophia jeszcze kilka razy musnęła pędzlem swój obraz, a potem odchyliła się do tyłu i skierowała wzrok w dal przed siebie, choć jeździec dawno zniknął jej z oczu. Żołnierze otaczali ją przez całe jej życie, głównie byli to oficerowie kawalerii, ale ten mężczyzna wywarł na niej wyjątkowo silne wrażenie. Pragnęła więc przez chwilę zastanowić się nad nim przed powrotem do małego domku na przedmieściach Lesaki, gdzie kwaterowała razem ze swoją matką i ojczymem, generałem Thorntonem Curtisem.

Zapatrzona w niebo, zmieniające właśnie kolor z lazurowego na różowy i złoty, z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że właściwie nie ma nawet pojęcia, jak nazywa się ten młody człowiek. W istocie, wiedziała o nim tylko tyle, że był oficerem kawalerii i umiał doskonale jeździć na swym wspaniałym rumaku. Takiemu jednak opisowi odpowiadało wielu kawalerzystów, a właściwie prawie wszyscy. Dlaczego zatem po tak krótkim zaledwie spotkaniu wydało jej się, iż poznała tego człowieka na tyle, żeby pragnąć wiedzieć o nim znacznie więcej?

Nie chodziło tu wcale o męską urodę, bo Sophia stale miała do czynienia z przystojnymi młodymi

ludźmi w mundurach i zdążyła się do tego przyzwyczaić. Będąc córką człowieka, który doskonale potrafił wykorzystywać swój urok osobisty, raczej wystrzegała się pięknych mężczyzn i nie była skłonna ulec ich czarowi. Rozważając w myślach wygląd majora stwierdziła ponadto, że rysy jego twarzy są zbyt nieregularne na to, iżby można nazwać go urodziwym: miał zbyt wysokie kości policzkowe, zbyt wydatny nos i brwi, ale była to twarz z charakterem, twarz, jaką niełatwo zapomnieć, twarz, która przyciągała Sophię jak magnes. Bystre niczym u jastrzębia oczy jednym przenikliwym spojrzeniem ogarnęły jej całą postać, jakby człowiek ten pragnął czytać w jej myślach i duszy, a nie tylko zapamiętać, jak wygląda.

Dziewczyna powoli zebrała swoje rzeczy i schowała je do zwykłego wojskowego tornistra. Będzie musiała wypytać ordynansa swojego ojczyma na temat tego mężczyzny. Speen wiedział wszystko o wszystkich, a jeśli nie, to można było liczyć, że szybko zdobędzie stosowne informacje, chociaż w tym przypadku czekały go pewne trudności wynikające z tego, że Sophia nie znała nazwiska interesującego ją oficera. Trudno żeby Speen potrafił powiedzieć cokolwiek, jeśli jedyne cechy, jakie mogła mu podać, to fakt, że człowiek ten jeździ konno jak diabeł wcielony, wtrąca się w prywatne życie obcych ludzi i posiada wiedzę oraz wrażliwość pozwalającą mu dostrzec w jej obrazach to, czego inni nawet się nie domyślali.

Sophia przebiegła myślą całe ich krótkie spotkanie, próbując przypomnieć sobie inne szczegóły, które mogłyby okazać się przydatne do identyfikacji nieznanego. Robił mapę umocnień w San Sebastian, to

znaczy, że jest na tyle ważny, żeby można mu było powierzyć taką misję. To zawężyło liczbę osób do mniej więcej stu. Musiała także wymyślić jakieś wyjaśnienie, które poda Speenowi, bo ordynans na pewno poczuje się zaintrygowany faktem, iż Sophia wypytuje go o nieznanego jej nawet z nazwiska człowieka.

- Czy *senorita* jest już gotowa? - Luis poderwał się na nogi, odebrał od Sophii tornister i pomógł jej dosiąść Atalanty. Gniada klacz nadstawiła uszu i parsknęła, gotowa do galopu po spędzonym beczynnim całym popołudniu. Sophia pokłusowała przez wysoką trawę do polnej drogi, którą jakiś czas temu oddalił się major.

- A teraz, malutka, pokażemy wszystkim, że nasz dzielny kawalerzysta i jego wierzchowiec nie są jedyńymi, którzy potrafią wzbąć wielki tuman kurzu.

Musnęła obcasami końskie boki i wkrótce już mknęły drogą, a za nimi, ze znacznie bardziej umiarkowaną prędkością, spokojnie podążał Luis.

- Pewnego dnia *senorita* zabije się, jeżdżąc w taki sposób. Tak nie przystoi. Gdyby Pan Bóg zapragnął, by ludzie fruwali, przyprowadziłby im u nóg skrzydła - mruknął pod nosem sługa i, usiłując utrzymać swoją panią w zasięgu wzroku, pospieszył nieco swojego konia.

Nie zważając na to, że Luis bezskutecznie stara się dotrzymać jej kroku, Sophia pochyliła się nad końską szyją, delektując się pędem i poczuciem wolności, jakiego zawsze doznawała, czując wiatr we włosach. Teraz, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, starannie związała wstążki i zsunęła sobie czepek, który obijał się jej o plecy, potęgując wrażenie, iż przynaj-

mniej na chwilę odrzuciła precz wszystkie więzy i ograniczenia. Kiedy znajdzie się w zasięgu wzroku straży, pohamuje galop i przejdzie w spokojnego kłusa, nasunie czepek na głowę i w ogóle będzie zachowywać się tak, jak przystoi należycie wychowanej młodej pannie, przybranej córce generała Thorntona Curtisa. W tej jednak chwili chciała rozprostować zeszywniałe mięśnie i odprężyć się po wielu godzinach wytężonej pracy przy sztalugach. Pragnęła cieszyć się wiatrem i przestrzenią; stać się częścią tej niespokojnej energii, którą usiłowała uchwycić na swoim obrazku.

Droga zrobiła się szersza, a jej nawierzchnia nieco równiejsza. Przed sobą Sophia ujrzała naładowany żywnością wóz ciągniony przez woły i pomału zbliżający się do Lesaki. Powściągając wodze, zatrzymała Atalantę, założyła czepek na głowę, a potem ruszyła łagodnym kłusem. Spoglądając za siebie, z ledwością mogła dostrzec czarny punkt na drodze. Był to Luis. Sophia uśmiechnęła się. Zdawała sobie sprawę, że nie ułatwia mu wykonywania obowiązków, i trochę jej było wstyd, że sprawia mu tyle kłopotu. Jednak przecież tyle już razy mu tłumaczyła, że nie ma co się o nią martwić, bo przecież jeździ konno prawie od urodzenia.

Lord Harry Featherstonaugh poświęcił swojej małej jeszcze córeczce niewiele czasu, a po raz pierwszy nastąpiło to w dniu, w którym w przystępie rozpaczy zabrał ją - wrzeszczące wniebogłosey zawiniątko, które za nic nie chciało zasnąć - na konia i niespiesznie ruszył przed siebie wiejską drogą, żeby matka małej mogła chociaż przez chwilę wypocząć. Monotonny ruch wierzchowca ukołysał Sopię do snu prawie natych-

miast, co zyskało jej szacunek ojca i zaowocowało jego zwiększonym zainteresowaniem.

Potem, ilekroć lord Harry odrywał się od hazardu, pijatyk i biegania za spódniczkami na dostatecznie długi czas, by przypomnieć sobie o własnej rodzinie, dbał o to, by jego mała dziewczynka wyrosła na doskonałą amazonkę, zdolną zapanować nad każdym koniem, na jakim zechciał posadzić ją ojciec. Zanim zginął w bezsensownej, szalonej szarży na okop w Talaverze, nauczył ją przynajmniej tego, gdyż poza tym jedyną rzeczą, jaką Sophia wyniosła z kontaktów z ojcem, była głęboko zakorzeniona niechęć do okazywania zaufania mężczyznom oraz zdrowy cynizm w odniesieniu do przystojnych, czarujących i dowcipnych młodych kawalerów.

Na swoje szczęście Sophia nie zdążyła stać się kompletną mizantropką, gdyż jej matka poznała i poślubiła sir Thorntona Curtisa, człowieka tak różniącego się od porywczego i nieodpowiedzialnego lorda Harry'ego jak woda od wina. Lord Harry czarował błyskotliwą konwersacją i pustymi obietnicami, zaś sir Thornton zdobywał przywiązanie dzięki swej dobroci i solidności, a żona, która nigdy nie była pewna, gdzie w danej chwili znajduje się jej szalony pierwszy małżonek ani też w jakim jest stanie, teraz odkrywała, jak wielką przyjemność daje mąż, który przedkłada własne domowe ognisko nad karczmę i towarzystwo własnej żony nad uroki najbardziej fascynujących kurtyzan, jakie chodziły po ulicach Lizbony czy też ozdabiały jej burdele.

To nowe szczęście rodzinne zostało okupione ciężkimi doświadczeniami i dlatego tym bardziej lady



Curtis je sobie ceniła. Urodzona jako Maria Edgehill wiele musiała wycierpieć przez te długie lata, które upłynęły od dnia, w którym siedemnaście lat temu na wieczorku towarzyskim w Harrogate poznała oszałamiająco przystojnego lorda Harry'ego.

Będąc jedyną córką w surowej metodystycznej rodzinie, Maria marzyła o wesołym i pełnym blasku życiu wyższych sfer, czyli czymś, co prawie wcale nie istniało na pustkowiach jej rodzinnego Yorkshire. Dopiero uporczywe nalegania jej matki przekonały ojca, by zechciał sfinansować pobyt Marii u ciotki w Harrogate na tyle długi, by mogła pokazać się w tamtejszym świecie i znaleźć sobie odpowiedniego męża, który uwolniłby pana Edgehill od trudów sprawowania opieki rodzicielskiej.

Jeden taniec z lordem Harrym Featherstonaughem, przystojnym młodszym synem księcia Broughton, wystarczył, by Maria zapomniała o wszelkich logicznych argumentach przemawiających za koniecznością szukania stosownego męża i zakochała się na śmierć i życie w czarującym wietrzniku.

Przyznać trzeba, że lord Harry z całego serca odwzajemnił to uczucie. Jako młoda panna Maria miała piękne, lśniące, czarne włosy, nieskazitelną białą cerę, którą od czasu do czasu krasiał lekki rumieniec, oraz przepastne, ciemnobłękitne oczy, a co więcej - darzyła swego wybrańca bezgranicznym uwielbieniem. Dla zranionej duszy Harry'ego, który przywykł do tego, że dla swej rodziny jest przede wszystkim źródłem rozpaczy, podziw ów stanowił ukojenie, co znacznie powiększyło jego zapały.

Jednakże mimo iż księżę Broughton wielokrotnie

twierdził przy świadkach, że kupując synowi stopień oficera kawalerii, umywa od niego ręce i odcina się od jego szaleństw, gdy tenże syn zapragnął poślubić nieznaną nikomu gęś z prowincji, okazało się, iż nie jest wcale obojętny na to, z kim zwiąże się ów młodzieniec.

Co dziwniejsze, rodzice Marii na wieść o jej zaręczynach z młodym utracjuszem szlchetnego rodu wcale nie wykazali więcej entuzjazmu niż książę i wyrazili swe niezadowolenie równie dobitnie. Obie rodziny zagroziły młodym wydziedziczeniem, gdyby małżeństwo doszło do skutku, ale Maria i Harry pozostali głusi na perspektywę ubóstwa oraz utraty wsparcia rodziny i pewnego pięknego październikowego dnia roku 1792 uciekli do Gretna Green, by tam wziąć ślub.

Gdy w sierpniu następnego roku przyszła na świat Sophia, z romantycznych porywów pozostało już bardzo niewiele, a lord Harry pomału zaczynał odkrywać, iż jego niesolidność i egoizm tak samo mogą gniewać jego ukochaną, jak przedtem doprowadzały do rozpaczyny rodzinę.

Należy oddać młodej lady Harry sprawiedliwość i przyznać, iż nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie wypowiadała się krytycznie na temat beztróskiego postępowania swego męża, choć z trudnością zgadzała się na zamknięcie w domowych pieleszach w towarzystwie jedynie swej malej córeczki, podczas gdy mąż bawił się i tracił pieniądze, które mógłby wykorzystać na to, by uczynić wygodniejszym życie własnej rodziny.

W końcu Maria nauczyła się znosić zaniedbania swego męża bez skargi, poświęcając się wyłącznie

dziecku i tworzeniu miłego i ciepłego domu na wypadek, gdyby marnotrawny małżonek uznał za stosowne zaszczycić go swoją obecnością. Jej wytrwałość, która co prawda nie sprawiła, że wróciły dawne szaleństwa ich pierwszej miłości, zyskała jej przynajmniej wdzięczność męża oraz wątpliwy zaszczyt bycia nazywaną „kociątkiem”, gdy małżonek całował ją na pożegnanie, wychodząc z domu, by spędzić następny wesoły wieczór.

Gdy pułk lorda Harry'ego został wysłany na Półwysep Pirenejski, Maria, nie mając się gdzie podziąć, wraz z dzieckiem udała się w ślady męża i, o dziwo, tam ich pożycie stało się nieco lepsze. Obowiązki żołnierskie zajmowały lordowi Harry'emu czas, nie mógł więc tak łatwo popaść w kłopoty, a cechy, z powodu których okazał się nie najlepszym mężem: szaleńcza odwaga, pragnienie mocnych wrażeń oraz chęć zwrócenia na siebie uwagi za wszelką cenę, uczyniły go doskonałym żołnierzem. Oczywiście żaden zdrowo myślący dowódca nie naraziłby większego oddziału na zagładę, powierzając go pod rozkazy lorda Harry'ego, jednak wiadomo było powszechnie, że jeśli istnieje jakieś niebezpieczne zadanie do wykonania, on właśnie był właściwym człowiekiem, któremu należało je powierzyć.

Żonie lorda Harry'ego także spodobało się życie na Półwyspie, gdzie mogła stworzyć dom nie tylko dla swojej rodziny. Żołnierze z pułku jej męża, tęskniący za pozostawionymi w ojczyźnie bliskimi, podświadomie grawitowali w stronę kwatery Featherstonaughów bez względu na to, czy była to chłopska chata, czy piękny apartament w jakiejś lokalnej metropolii.

O ile lady Harry nieczęsto mogła liczyć na towarzystwo swego męża, zawsze jednak gromadziła się wokół niej grupka oficerów, którzy z przyjemnością spędzali z nią spokojne wieczory na kulturalnej rozmowie przy kominku.

Taki status nie zapewniał typowych warunków dla wychowywania dziecka, ale Sophia, która nie znała innego życia, była zadowolona, gdyż zawsze w jej pobliżu znajdował się ktoś, kto gotów był z nią porozmawiać albo czegoś ją nauczyć. Pęd małej do wiedzy rozbrajał młodych oficerów, którzy, dawniej niechętni każdej minucie spędzonej nad podręcznikiem łaciny czy greki, teraz żałowali, że nie poświęcili im większej uwagi, i wychodzili ze skóry, by przypomnieć sobie to, co usiłowali im wpoić nauczyciele w Eton czy Harrow, żeby móc służyć wyjaśnieniami córce lorda Harry'ego.

Bracia, którzy niechętnie widzieli towarzystwo sióstr na swych młodzieńczych wyprawach, teraz rywalizowali ze sobą o przywilej wprowadzania dziewczynki w arkana szermierki i strzelania. Jednak nikt poza lordem Harrym nie mógł uczyć jej jazdy konnej z tej prostej przyczyny, że to właśnie on był mistrzem niedościgłym. Córka zaś odziedziczyła talent po ojcu.

W wieku lat dziesięciu potrafiła zapanować nad każdym koniem w pułku. W rzadkich chwilach, gdy ojciec zechciał poświęcić jej nieco uwagi, przyznawał, że mała ma wrodzone zdolności. „Ma to we krwi” - powiadał. - „Wierzcie mi, że jest to jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek dostanie po Featherstonaughach... tym bardziej że nie mają do zaoferowania nic poza tym godnego uwagi... banda sztywniaków”.

Kiedy Sophia dorosła na tyle, by zrozumieć tego rodzaju uwagi, była też na tyle rozsądna, by zdawać sobie sprawę, że zawsze istnieją dwie strony medalu, i wystarczająco poznała nieodpowiedzialność swego rodziciela, by przypuszczać, że tak srodze krytykowani Featherstnaughowie dla zwykłego człowieka mogliby okazać się wcale nie tacy sztywni. Jednak nie żałowała braku kontaktów z krewnymi, bo miała do swojej dyspozycji cały ojcowski pułk.

I rzeczywiście, gdy jej ojciec zginął, prowadząc szarżę na zdradziecki okop pod Talaverą, prawie nie odczuła jego braku. Lord Harry tak rzadko pojawiał się na posiłkach i nieczęsto odwiedzał swą kwaterę, że Sophia i jej matka przywykły do jego nieobecności.

Armia przeniosła się do Lizbony i tam też lady Harry zdecydowała się osiedlić na stałe. Nie miała do kogo wracać do Anglii, a w Portugalii zarówno klimat, jak i towarzystwo były znacznie przyjemniejsze. W Lizbonie też ponownie spotkała generała Thornтона Curtisa, jednego z kwatermistrzów Wellingtona, który zajmował się nadzorowaniem budowy fortyfikacji miasta.

Pierwsza żona sir Thorntona zmarła w połogu, a generał bardzo lubił dzieci. To właśnie on, a nie lord Harry pamiętał o urodzinach Sophii i dbał, by rodzina Featherstonaughów miała dobre kwatery, jeśli pułk lorda stacjonował w jego bliskości. Dlatego też przyjazne kontakty zostały z łatwością odnowione, gdy Maria i jej córka zamieszkały w Lizbonie. Wtedy też okazało się najzupełniej naturalne, by przypieczętować wieloletnie zainteresowanie i opiekę nad nimi związkiem małżeńskim z lady Harry. Zostawszy

żoną generała, matka Sophii rozkwitła. Wywołane troską zmarszczki na jej twarzy wygładziła czułość kochającego męża, który zawsze pojawiał się w domu o zapowiadanej porze.

Zakończono fortyfikowanie Lizbony i Sophia z matką przeniosły się do Hiszpanii, podążając za sir Thorntonem i resztą armii. Generał był lubianym dowódcą, co oznaczało, że ich kwatera zawsze stanowiła magnes dla oficerów, którzy tęsknili za dobrym obiadem i domową atmosferą, dwiema rzeczami, które Sophia i jej matka zawsze gotowe były im zaoferować.

Pojawienie się sir Thorntona stanowiło początek najszcześniejszego okresu w życiu Sophii. Nawet gdyby nie lubiła szorstkiego wojaka, zawsze żywiłaby do niego wdzięczność za to, co uczynił, by czuły się bezpiecznie i wygodnie. Teraz co wieczór mogła liczyć na miłe towarzystwo i ciekawą rozmowę, zamiast spędzać długie godziny na nerwowym oczekiwaniu na lorda Harry'ego i zastanawianiu się, w jakim też stanie zechce się pojawić.

Wróciwszy do skromnego domku, który stanowił ich locum w Lesace, i prowadząc Atalantę do stajni, Sophia pomyślała, że miały wielkie szczęście, iż w najgorszym okresie jej i matki życia na ich drodze pojawił się generał.

Nasypała owsa do żłobu, a potem, jeszcze raz poklepawszy Atalantę na dobranoc, zwróciła się do Luisa, by podziękować mu za opiekę.

- Wiem, że sprawiam kłopoty i że masz mi to za złe, ale mimo wszystko dziękuję.

Sługa uśmiechnął się, błyskając białymi zębami, kontrastującymi z opaloną twarzą. Wzruszył ramiona-

mi i rozłożył ręce w żartobliwym geście bezradności.

- A cóż ja biedny mogę innego zrobić? *Senorita* udaje się na przejażdżki, to ja też muszę. Ale *senorita* nie powinna zajmować się koniem. To robota dla Luisa, a nie dla miss Featherstonaugh.

- Wiem, wiem. Mówiliśmy już o tym tysiące razy. Ale ja to lubię, a nawet papa, który jak ognia unikał wszelkiego wysiłku, zawsze powtarzał, że aby dobrze poznać konia i zdobyć jego zaufanie, trzeba umieć się o niego zatroszczyć.

- Lord Harry, biedaczek, ten to znał się na koniach. - Luis kiwnął głową. Ton jego głosu wskazywał, że poza tym jego dawny pan o niczym więcej nie miał pojęcia.

- To prawda. - Sophia skinęła Luisowi, zabrała swoje przybory malarskie i poszła poszukać Speena. O tej porze ordynans zazwyczaj zajmował się przygotowywaniem munduru swego pana na poranną inspekcję. Była to doskonała chwila, by sprawdzić, co wie o pewnym wysokim, ciemnowłosym majorze, który jeździł na zwiad, dosiadając wspaniałego ruma-ka kasztanowatej maści.

### 3

Zadanie Marka było znacznie łatwiejsze, gdyż w armii brytyjskiej, stacjonującej na Półwyspie Iberyjskim, można było znaleźć znacznie mniej młodych malarek niż oficerów kawalerii. Po prawdzie, w otoczeniu armii było tak niewiele młodych panien, że do dnia dzisiejszego Mark nie natknął się na ani jedną z nich.

Dotarwszy do Lesaki, odnalazł Wellingtona i jego doradców w sztabie, skupionych dookoła wielkiego stołu. Naczelny dowódca studiował leżącą przed nim mapę.

- Będziemy musieli bardzo rozciągnąć nasze linie, żeby jednocześnie zablokować Pamplonę i oblegać San Sebastian. To niedobrze, bo w żadnym z tych miejsc nie będziemy wystarczająco silni, ale nic się nie da zrobić. Posłałem Cole'a do Pamplony, a czwarta dywizja pilnuje Roncesvalles. Nie przypuszczam, żeby Soult próbował przeprowadzić przez góry trzydzieści tysięcy ludzi, ale nie mamy co do tego pewności. W tej chwili może albo ruszyć na Pamplonę, albo na San Sebastian. O, jest Adair. Jakie zdobył pan wieści na temat San Sebastian, majorze?

Mark położył przed księciem swoją mapę i rysunki Sofii.

- Oto układ fortyfikacji miasta i przesmyku. Poza rekonosansem w San Sebastian dowiedziałem się, że Fran-



cuzi trzymają materiały na dwa mosty pływające w pobliżu ujścia rzeki Bidasoa i tam skoncentrowali swoje oddziały, które w razie potrzeby przedostaną się na drugi brzeg i wyruszą na odsiecz San Sebastian.

Wellington pochylił się nad mapą i rysunkami, marszcząc w skupieniu brwi. Przez kilka minut milczał, zamyślony, a potem podniósł wzrok.

- Te obrazki są całkiem niezłe, Adair. Nie wiedziałem, że potrafi pan malować.

- Bo też i nie potrafię, sir. Zrobiła je dla mnie młoda Angielka, na którą natknąłem się, wracając do Lesaki.

- Młoda Angielka?

- Tak, sir. Malowała, siedząc pośrodku pola jak gdyby nigdy nic, a kiedy ośmieliłem się wyrazić moje obawy, iż może jej grozić niebezpieczeństwo, pouczyła mnie stanowczo, że doskonale sobie z niego zdaje sprawę, gdyż mieszka tu od lat czterech. Zaryzykowała nawet twierdzenie, że spędziła tu więcej czasu niż ja. Okazała mi zgoła politowanie, jakbym dopiero co wysiał ze statku, który właśnie przyjechał z Anglii.

- A czy mógłby pan powiedzieć, ile ona ma lat? - odezwał się jakiś głos z końca stołu. Należał do Fitzroya Somerseta.

Mark zwrócił się do sekretarza księcia.

- Powiedziałbym, że jakieś osiemnaście albo dwadzieścia.

- Ciemne włosy i niezależny charakter?

- Bardzo niezależny.

- To Sophia Featherstonaugh, pasierbica Curtisa.

- Ach, zna ją pan? - zapytał Mark, zapominając kompletnie, że dopiero co widział świetny portret Somerseta, wykonany przez tę właśnie młodą pannę.

- Każdy, kto spędził chociaż krótki czas w Lizbonie, zna Sophię i jej matkę - wtrącił się inny doradca. - Jej ojcem był lord Harry z dwudziestego trzeciego, zabijaka jakich mało kto i bardzo zły jako mąż. Lady Harry nigdy nie wiedziała, jakiego piwa za chwilę narwarzy. Prawdę mówiąc, ojcem też pewnie nie okazał się najlepszym. Był zbyt porywczy jak na dobrego dowódcę, ale jego odwaga nie miała sobie równych, a do tego jeździł konno niczym centaur... Jego córka odziedziczyła po nim tę umiejętność. Mało która kobieta potrafiłaby jej dorównać jako amazonka.

- Jest też doskonałą malarką. Widziałem jej szkic przedstawiający obecnego tu pana Somerseta i Jego Wysokość, są jak żywi.

- Ta dziewczyna ma duży talent - przyznał Colin Campbell, polowy szef sztabu. - Ale to coś więcej niż zdolności malarskie: ona potrafi dostrzec w ludziach rzeczy, których nie widzą inni. - Zwrócił się do księcia. - Pamięta pan tę młodą pannę, która upierała się, że ordynans Ponsonby'ego jest niewinny, bo ma zbyt uczciwą twarz, by kraść? Przyszła tu do nas i powiedziała wprost, że nie powinien pan pozwolić, by go ukarano.

- Ach, to ona! - przypomniał sobie książę. - Nie zamierzała dopuścić, bym popełnił błąd, nawet jeśli musiała w tym celu pojawić się u mnie osobiście... Odważna dziewczyna. - Książę uśmiechnął się. - O ile pamiętam, okazało się, że to sekretarz Ponsonby'ego był winien, nie ordynans.

- Ale nikt inny się nad tym nie zastanawiał. Panna Featherstonaugh była święcie przekonana, że Biggle nie jest złodziejem, a kiedy wszyscy zebrali się i rozpoczęto dochodzenie, popatrzyła na Watersa i powie-

działa do pana: „To ten”. - Campbell zwrócił się do Marka. - Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. To było niesamowite. Oczywiście nie zamierzaliśmy opierać się wyłącznie na słowach młodej panny i przeprowadziliśmy bardzo wnikliwe śledztwo, ale w końcu, kiedy już wszystko zostało dokładnie sprawdzone, okazało się, że ona miała rację. Rzecz jasna, nasze działania pozwoliły nam poznać wszystkie szczegóły sprawy, ale dziewczyna od samego początku wiedziała, kto jest winien. Potrafi czytać w myślach jak cygańska wróżka. I ma pan rację, portrety wychodzą jej bardzo dobrze.

- Krajobrazy też - zgodził się Mark. - Dziś po południu namalowała coś, co zupełnie zapało mi dech w piersiach. I siedziała tam całkiem sama, pośród pól, w najmniejszym stopniu nie przejmując się, że ktoś mógłby ją napaść.

Campbell dolał mu nieco wina.

- Śmiem jednakże przypuszczać, że wierny Luis, uzbrojony po zęby, znajdował się gdzieś w pobliżu. - Uśmiech Marka potwierdził słowa Campbella. - Sam wygląda na bandytę, nieprawdaż? Jedną z niewielu sensownych rzeczy, jakie zrobił w swym życiu lord Harry, było znalezienie służącego, który potrafi nie tylko zajmować się końmi i powozami, ale także obronić jego żonę i dziecko. Nie miał zwyczaju zamartwiać się losem swoich najbliższych, ale w niezwykłym jak na niego przypiływie rozsądku odszukał w Lizbonie Luisa i od tej pory człowiek ten jest wiernym sługą rodziny. Mimo to zaryzykuję twierdzenie, że Sophia także miała pistolet ukryty w pudełku z farbami.

- Pistolet?

- I owszem. Harry sam uczył dziewczynę jazdy konnej, ale chłopcy z dwudziestego trzeciego dopilnowali, by opanowała fechtunek i strzelanie równie dobrze jak oni sami. Oczywiście bawiła ich rola nauczycieli, ale też wiedzieli, że panienska ma niezależny charakter, i chcieli, żeby umiała obronić się w każdej sytuacji. Z tego co wiem, ich praca nie poszła na marne.

Mark milczał przez chwilę, usiłując pogodzić obraz młodej kobiety, która jeździła konno, strzelała i fechtowała się jak oficer kawalerii z wrażliwą, spostrzegawczą artystką, która widziała w ludziach rzeczy niedostrzegalne dla innych i potrafiła przenieść je na papier, dorównując w tej umiejętności członkom Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych.

- Wygląda na to, że jest to wielce utalentowana młoda osoba.

- Tak właśnie jest i wszyscy ją tu bardzo kochamy. Można by pomyśleć, że panna, którą bez przerwy otaczają młodzi ludzie, tęskniący za matkami, siostrami i ukochanymi, powinna być rozpuszczona jak dziadowski bicz, ale w niej nie ma ani krztyny zła. Być może jest to wpływ lorda Harry'ego albo raczej lady Curtis. Bardzo pilnowała, aby bez względu na szaleństwo swego męża i ich nietypowy tryb życia córka otrzymała należyte wychowanie. Gdy tylko Sophia była na tyle duża, żeby mogła zająć się książkami, nauczono ją czytać i liczyć. Szczęśliwym trafem Briscall, kapelan przy sztabie, z radością przejął rolę nauczyciela od matki, więc o ile wiem, panna jest równie dobrze, jeśli nie bardziej, odcytana niż większość tutaj obecnych oficerów.

- A kto nauczył ją malować? Przecież nie kapelan?

Na to pytanie Campbell nie potrafił odpowiedzieć. Jak daleko sięgnął pamięcią, córka lorda Harry'ego zawsze nosiła przy sobie szkicownik i kredki, a potem farby. Nigdy nie wychodziła bez materiałów do rysowania i odwdzięczała się większości tych, którzy uczyli ją fechtunku czy też strzelania, wykonując ich portrety.

- Doskonała robota, Adair. - Zakończywszy studiowanie map i rysunków, książę podniósł oczy. - Jeśli zdołasz zrobić to samo, jeśli chodzi o Pamplonę, Roncesvalles i przełęcz Maya, będę bardzo zadowolony. Zdołamy zapoznać się z terenem i przygotować na wszystkie posunięcia nieprzyjaciela. Czekam na pańskie sprawozdanie za tydzień.

- A mój pułk, sir?

- Będą musieli poradzić sobie bez pana.

- Tak jest, sir. - Mark odwrócił się do wyjścia, mając nadzieję, że nie pokazuje po sobie rozczarowania i frustracji. Jednak, ku swemu rozgoryczeniu, wiedział w głębi ducha, że nic po nim nie widać, gdyż przecież właśnie to dzięki umiejętności ukrywania uczuć i zdolności przybierania rozmaitych postaci powierzono mu takie a nie inne zadanie. Zanim książę zaczął korzystać z talentów Marka, młody człowiek używał ich do oszukiwania zazdrosnych mężów. Dopiero kiedy dostał się w ręce Francuzów i zdołał uciec, przebierając się za hiszpańskiego poganacza mułów, jego zdolności oraz doskonała znajomość języka zwróciły na niego uwagę Wellingtona.

Książę nie dziwił się, że młody oficer niechętnie podejmował się misji wywiadowczych.

- To jakby szpiegowanie. - Tyle powiedział lord Mark, kiedy książę zaproponował mu jego pierwszą misję.

- Być może. Każdy młody człowiek, który wstępuje do kawalerii, pragnie prowadzić zwycięską szarżę na wroga, tylko że szarża może okazać się katastrofalną stratą czasu i życia ludzkiego, jeśli nie wiemy dokładnie, jaki jest jej przedmiot - odparł łagodnie książę. - Ale pańska ciemna karnacja, doskonała znajomość hiszpańskiego, jak wiem, zdobyta od matki, a także szybka orientacja i zdolności, jakimi wykazał się pan, zwodząc Francuzów, są dla mnie więcej warte niż stu rycerskich kawalerzystów. W dodatku trudno znaleźć kogoś podobnego do pana pośród tych, którzy pozostają pod moimi rozkazami.

Markowi nie pozostało nic innego, jak wyrazić niechętną zgodę na to, by zostać jednym z zaufanych oficerów zwiadowczych Wellingtona i, razem z sir Johnem Watersem i Colquhounem Grantem dostarczać wodzowi regularnych sprawozdań na temat terenu, ruchów oddziałów i fortyfikacji nieprzyjaciela.

- Wyruszę jutro, sir, i dowiem się wszystkiego, co tylko się da, na temat francuskich pozycji pod Pamploną oraz najnowszych posunięć Souлта.

- Doskonale. Potrzebuję także dokładnego sprawozdania na temat dróg. Na mapie ścieżka, którą mogą chodzić tylko kozy, czasami wygląda jak arteria. Jeśli uda nam się zmusić Francuzów, by poruszali się kozimi ścieżkami, podczas gdy sami będziemy używać dróg, tym lepiej dla nas. To jednak znaczy, że ma pan przeprowadzić dokładny zwiad, ale liczę na pana zdolności. Nie tylko mówi pan po hiszpańsku, ale też wygląda pan jak jeden z Basków, najbardziej dumnych i niezależnych ludzi, jakich zdarzyło mi się poznać. Jeśli zdoła pan zdobyć ich zaufanie, wtedy, na

Boga, Pireneje będą nasze. Soult nie może pozwolić sobie na to, by krażyć po tych górach w nieskończoność. Jego żołnierze mogą nieść racje żywnościowe najwyżej na kilka dni, a potem będą musieli wrócić do Bayonne. Im bardziej ich zmęczymy, zmuszając do poruszania się po trudnym terenie, tym lepiej dla nas. A więc w drogę, chłopcze.

- Tak jest, sir. - Chociaż jako oficer kawalerii Mark z natury nie przepadał za zadaniami, które wymagały oszukiwania, i chociaż zgodnie z zasadami, jakie wpajano mu od dzieciństwa, nade wszystko pragnął brać udział w otwartej i uczciwej walce z wrogiem, w której najważniejszą rolę odgrywał honor, potrafił jednak uznać słuszność uwag swego zwierzchnika. Pocieszał się więc myślą, że postępowanie zgodne z honorem to takie, które polega na jak najlepszym wykonywaniu rozkazów generała, bez względu na to, czy jest to szarża na wroga, czy wygrzebywanie spod ziemi jego sła-  
bości przy użyciu podstępów i maskarady.

## 4

W kilka dni później Sofia spokojnie malowała skałisty krajobraz roztaczający się po obu stronach rzeki Bidasoa, gdy nagle pojawił się przed nią baskijski pasterz, pędzący przed sobą swoje stado, i grzecznie ją powitał.

- *Buenos dias, senorita.* - Mężczyzna przytknął dłoń do czoła gestem pełnym szacunku, ale spojrzenie, jakie jej posłał, było dziwnie poufałe. Już już chciała odwrócić się z wyniosłym niesmakiem, jednak jej uwagę zwróciły ramiona pasterza, zbyt szerokie jak na człowieka, który całe życie zajmuje się owcami, i to sprawiło, że przyjrzała mu się dokładniej.

Zmrużyła oczy, ogarniając wzrokiem długą twarz o nieco ostrych rysach, ciemne, proste brwi, które prawie spotykały się nad orlim nosem. Przekrzywiła głowę, zawahała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się.

- Czyżbym miała przyjemność znowu spotkać tego natrętnego majora, który kilka dni temu wracał ze zwiadu? Nie ma powodu uciekać się do przebrania, sir. Jeśli chciał pan spotkać mnie przy pracy, wystarczyło poprosić, a nie podkradać się do mnie w tak podstępny sposób.

Głośny wybuch śmiechu stanowił dowód, że się nie pomyliła.



- Znakomicie! Nie ma wątpliwości, że potrafi pani przejrzeć najstaranniejsze przebranie, co oznacza, że istotnie jest pani bardzo niebezpieczną osobą. - Mimo skromnego stroju Mark wykonał ukłon tak elegancki, że nie mógłby się go powstydić nawet na balu u Almacka\*.

- Moim zdaniem „niebezpieczna” nie jest najwłaściwszym określeniem; należałoby raczej powiedzieć „nie dająca się zwieść”. - Sophia popatrzyła na majora z zaciekawieniem. Był niewątpliwie rozbawiony i zaintrygowany łatwością, z jaką go rozszyfrowała, ale też wyczuwało się w nim jeszcze jakieś inne uczucia, których nie potrafiła dokładniej określić. Chociaż śmiał się z jej riposty, jego twarz zmroczyła na chwilę, gdy Sophia oskarżyła go, że podkraść się do niej podstępnie. Wyraz ten zniknął prawie natychmiast. Prawdę mówiąc, gdyby Sophia od wielu lat nie doskonaliła swych zdolności obserwowania, identyfikowania i zapamiętywania najdrobniejszych nawet zmian, takich jak drgnięcie powieki, rozdęcie nozdrzy, zaciśnięcie warg, mogłaby wcale go nie dostrzec, tak jednak nie umknął on jej uwagi i jeszcze bardziej zwiększył jej zainteresowanie.

Co jakiś czas zerkając na swoje stado, Mark podszedł bliżej, by popatrzeć na obraz.

- Imponujące, ale, za pozwoleniem, nie tak dobre jak poprzednio. Krajobraz jest piękny, lecz brak w nim siły, którą miał w sobie tamten obraz, chociaż okolica tutaj jest znacznie ładniejsza.

\* Almack - sale balowe w Londynie, które wynajmowano na najelegantsze przyjęcia w sezonie (przyp. tłum).

- Aż nazbyt. Uroda tego miejsca oszałamia mnie do tego stopnia, że nie potrafię przeniknąć jego tajemnicy.

- Może nie czuje się pani tutaj u siebie na tyle, by pojąć jego sekrety.

Słowa te sprawiły, że Sophia, która dotychczas z roztargnieniem muskała wzrokiem skały po drugiej stronie rzeki, szeroko otworzyła swe orzechowe oczy i popatrzyła na mówiącego.

- Tak, rzeczywiście, to jest to. W tym właśnie leży problem, ale skąd pan o tym wiedział?

- Bo ja też poniekąd zajmuję się obserwacją, chociaż nie mam po temu tak wielkich uzdolnień jak pani ani też nie potrafię malować pięknych obrazów. - Znowu przez jego twarz przebiegł cień, a w głosie zabrzmiała nuta gorczy.

Sophia przypomniała sobie jego misję zwiadowczą, dzięki której się poznali.

- Ach, więc to pan jest... - Urwała, starając sobie przypomnieć, określenie, jakiego użył Speen. Opisu-  
jąc mu spotkanego przez siebie oficera, powiedziała, że, jak jej się wydawało, major obserwował fortyfikacje w San Sebastian. *A, to pewnie jeden z oficerów zwiadowczych księcia, powiedział wtedy Speen. Sofia chciała poznać dalsze szczegóły, więc dodał: Wellington ma grupę ludzi, którzy zdobywają dla niego informacje na różne tematy: francuskich oddziałów, stanu dróg, komu z miejscowych można zaufać, a kto nas sprzeda za kilka srebrników. Wszyscy podlegają głównemu kwatermistrzowi, a z tych, których znam, sir John Waters i Colquhoun Grant wyróżniają się odwagą i zdolnościami, potrafią doskonale zmieniać*

*przebrania i dokładnie zapamiętać wszystko, co zobaczą i usłyszą. Muszą być odważni i pomysłowi, gdyż, pracując zawsze w pojedynkę, mogą polegać wyłącznie na samych sobie. Ale ani Grant, ani Waters nie wyglądają tak, jak panienka mówi.*

- Oficerem zwiadowczym? - dokończył sucho Mark. - Tak, jestem jednym z tych, którzy czają się w zaułkach i dowiadują się wszystkiego, co się da, żeby nasi chłopcy wiedzieli, czego mogą się spodziewać, gdy wyruszą na bitwę.

- Niechże pan tak nie mówi. Speen, ordynans mojego ojczyma, twierdzi, że zwiadowcy są wyjątkowo pomysłowi i odważni.

- Odważni. - Na ustach mężczyzny pojawił się drwiący uśmiech. - Ale przede wszystkim są pomysłowi i... podstępni.

A więc o to chodziło. Sophia wiedziała już, co gnębi tego człowieka. Wstydził się, że uważano go za szpiega.

- Pomysłowi tak, podstępni być może, ale muszą być także spostrzegawczy i niewątpliwie ich rola jest nie mniej ważna niż tych, którzy spędziwszy noc na pijaństwie i hazardzie, następnego dnia giną śmiercią bohatera, zbyt oszołomieni lub głupi, by nie zauważyć, że mają przed sobą rów, który pokonaliby z łaćwością, gdyby tylko byli nieco bardziej przytomni.

- A więc tak zginął lord Harry.

Orzechowe oczy pociemniały z gniewu.

- Jak pan śmie! Cały czas wie pan doskonale, z kim ma do czynienia, a jednak nie raczy pan nawet...

- Przedstawić się? Och, przepraszam. Tyle już czasu służę jako szpieg, że zapomniałem o podstawo-

wych zasadach dobrego wychowania, to chciała pani powiedzieć? Nic z tego. Pani zachowałaby się tak samo, gdyby wiedziała, kim jestem, ale nie ma pani tak dobrych informatorów jak ja.

Sophia przygryzła wargę.

- A kimże oni są? Kto opowiadał panu bajeczki o lordzie Harrym Featherstonaugh i jego córce?

- Fitzroy Somerset, a także... księżę.

- Och. - Milczała przez chwilę, stropiona. - Jednak nie miał pan prawa wypytywać o mnie.

- Nie? Spotykam kobietę, a do tego Angielkę, w samym centrum teatru wojny, i pytam mojego dowódcę, jak nazywa się osoba, która jest najznakomitszą artystką, jaką zdarzyło mi się poznać, nie mówiąc już o tym, że niepokoi mnie, iż młoda kobieta naraża się na niebezpieczeństwo, a pani się obraża. Pani dowiadywała się u ordynansa swojego ojczyrna na mój temat, ale mnie nie wolno zadawać tego rodzaju pytań. To chyba trochę niesprawiedliwe.

- Najmocniej przepraszam, zachowałam się niewłaściwie.

- Niewłaściwie! - Mark już chciał powiedzieć jej dokładnie, co myśli na temat plotkarstwa, ale powstrzymał się. Przecież go przeprosiła. Patrzyła mu przy tym szczerze w oczy i z ich wyrazu widać było, że nie zamierza się wycofywać. Spędziwszy już całym sporo lat na miłostkach, Mark nie spotkał dotąd kobiety, która byłaby skłonna przyznać, że nie ma racji, ani także nie przypominał sobie takiej, która patrzyłaby mu śmiało w twarz, bez kokieteryjnych uśmiechów i minek, otwarcie wyrażając skruchę. To go kompletnie rozbroiło. - No owszem, niewłaściwie,

ale w zaistniałych okolicznościach postępowanie pani jest najzupełniej zrozumiałe.

- Dziękuję panu.

O dziwo, rzeczywiście w jej głosie zabrzmiała ulga. Większość kobiet nie troszczyłaby się o to, co sądzi o nich jakiś tam oficer zwiadowczy, ale tej najwyraźniej rzeczywiście zależało na jego opinii.

*Bee.* Mark nagle musiał przypomnieć sobie o swoich obowiązkach wobec stada owiec i w ostatniej chwili zdołał złapać jedną z nich, zmierzającą w stronę kuszącego zielenią poletka.

- Wybaczy pani, ale muszę zająć się moimi podopiecznymi. Jeśli jedna z nich zdecyduje się wyruszyć w jakimś kierunku, cała reszta pójdzie za nią, a ja obiecałem Josemu, że zwrócę mu je wszystkie i w dobrym stanie.

Znajdował się już w pół drogi do krnąbrnej owieczki, kiedy Sophia, umieściwszy ostatnią plamkę na swoim obrazie, zaprotestowała:

- Wciąż ma pan nade mną przewagę, majorze.

Spojrzał z takim zdziwieniem, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Tak. Najwyraźniej w świecie wie pan, kim ja jestem, ale, jak sam pan powiedział, moi, hm, *informatorzy* nie byli tak dobrze poinformowani jak pańscy.

- Nazywam się Adair, Major lord Mark Adair. To chyba ten prosty strój sprawia, iż kompletnie zapomniałem o dobrych manierach. - Pośpiesznie wykonał uniżony ukłon, a potem ruszył biegiem za niesfornym stadem.

Sophia zachichotała i wróciła do malowania. Teraz znała już jego nazwisko i wkrótce będzie wiedzieć na

jego temat tyle samo, co on o niej. Nie musi zwracać się do Speena, który już się dziwił, czemu tak bardzo zainteresowała się jednym, konkretnym oficerem. Może zapytać Andrew Leith Haya, który sam też jest oficerem zwiadowczym i doradcą swojego wuja, generała majora Jamesa Leitha, przyjaciela jej ojczyma i częstego gościa w ich domu.

Andrew sam był zdolnym artystą i wyrażał podziw dla obrazów Sophii, gdy pewnego wieczoru został zaproszony przez jej ojczyma na kolację. Znaleźli wspólny język, rozmawiając o możliwościach artystycznych, jakie dawał krajobraz Hiszpanii, oraz narzekając na trudności przy zdobywaniu materiałów malarskich w obcym kraju, w dodatku ogarniętym wojną. Leith Hay niewątpliwie powie jej coś na temat majora. Na razie to właśnie major posiada więcej informacji o niej, niż ona o nim, ale postara się, żeby sytuacja rychło zmieniła się na jej korzyść.

Ustaliwszy to sobie, wróciła do pracy. Nie chciała zastanawiać się, czemu Speen, zazwyczaj mało ciekaw spraw innych, wyraził przypuszczenie, że *coś panienka strasznie się interesuje tym majorem, panno Sophio. To do panienki niepodobne*. I miał najzupełniejszą rację. Powiedziawszy to, ordynans przerwał szczerotkowanie munduru jej ojczyma i wbił w nią badawcze spojrzenie.

- Po prostu nie lubię rozmawiać o mojej pracy z nieznanymi krytykami - odparła wtedy wyniosłe. Jednak to nie zwiodło Speena. Wiedział, że chodzi o coś poważniejszego. Na Półwyspie znajdowały się setki oficerów kawalerii, którym nie poświęcała większej uwagi. Co miał w sobie ten jeden, że tak pobudził jej ciekawość?

Gdyby pozwoliła sobie zastanawiać się nad tym, musiałaby przyznać, że po ich drugim spotkaniu jej zainteresowanie majorem znacznie wzrosło. Większość kawalerzystów byli to weseli, nieskomplikowani młodzi ludzie, odznaczający się niewątpliwie dużą dozą fantazji i energii, ale ich zainteresowania i fascynacje ograniczały się do jazdy konnej. Jedna rozmowa wystarczała, by wiedzieć o nich wszystko, i Sophia zdążyła poznać całe ich dziesiątki.

Major natomiast, chociaż najwyraźniej posiadał nie mniej fantazji, a umiejętnością jazdy konnej w pełni dorównywał pozostałym oficerom, miał w sobie coś zagadkowego. Potrafił odczytywać obrazy jak mało kto. Jego uwagi wykraczały poza zdawkowe, acz szczerze komplementy. Były wynikiem przemyśleń i świadczyły nie tylko o zdolnościach obserwacji, ale także przenikliwości umysłu. No i to wyraźne zażenowanie, iż zmuszony jest pełnić obowiązki oficera zwiadowczego. Większość znanych jej mężczyzn doskonale czułaby się w aurze tajemniczości i przygody związanej z wykonywaniem takich zadań. Delektowałiby się świadomością, że Wellington obdarzył ich zaufaniem. Ale ten mężczyzna najwyraźniej nie cieszył się, iż musi udawać kogoś, kim nie jest, a niezadowolenie to stanowiło dowód, że człowiek ten myśli więcej niż inni. Jednak pomimo wszystko wyczuwało się w nim odwagę, a nawet brawurę, która kłóciła się z wrażliwością, i to czyniło go niebezpiecznie atrakcyjnym nawet dla kobiety, która spędziła większość swego życia wśród mężczyzn słynnych ze swej dzielności.

## 5

Podczas gdy Sophia z niechęcią oddawała się swoim refleksjom na temat majora lorda Marka Adaira, on sam miał mało czasu na zastanawianie się nad czymkolwiek, gdyż musiał bezpiecznie i w całości doprowadzić swoje stado na miejsce. Dopiero kiedy zdołał je zamknąć w zagrodzie za chatą Josego, założył normalne ubranie i właśnie wracał do kwatery głównej, uderzyła go pewna myśl: *Po czym, do pioruna, ona mnie rozpoznała? Co było złego w moim przebraniu?*

Pytanie to dręczyło go przez cały spędzony na manewrach dzień i gnębiło go nadal, gdy nazajutrz, przywdziałwszy habit mnicha, udawał się na spotkanie z zaprzyjaźnionym alkadem\* z Ostiz, który z racji swego stanowiska miał doskonałe możliwości obserwacji ruchów wojsk francuskich. Pretekstem do wizyty były konsultacje na temat pewnego problemu lokalnej społeczności, co umożliwiało kontakt z innymi obywatelami, którzy także mogli dostarczyć pożytecznych informacji.

W ten długi, upalny dzień major podróżował z Lesaki do Ostiz i z powrotem, dosiadając wyjątkowo

\* Alkad - hiszpański urzędnik administracyjny i sądowy (przyp. tłum.).



kościstego i upartego osła, więc gdy znalazł się wreszcie w pobliżu Lesaki, był zmęczony, spragniony i u kresu cierpliwości. Znajdował się już na wysokości pierwszego domu osady, gdy osioł, najwyraźniej zainteresowany czymś znajdującym się na skraju drogi, zatrzymał się, nie wykazując najmniejszego zamiaru ruszyć się bodaj na krok.

Wścikły i zniecierpliwiony, Mark zsunął się z siodła i ostrożnie uniósł kaptur, pod którym ukrywał twarz. Rozglądając się dookoła, usiłował zrozumieć, co tak zainteresowało nieszczęsnego osła. Po prawej stronie drogi znajdowała się nieduża, ale urocza kapliczka i tam, kryjąc się w cieniu starego, pokręconego drzewa siedziała Sophia ze swoimi sztalugami.

- Nie dziwię się twojej ciekawości - mruknął Mark do swego wierzchowca i, pociągając go za wodze, skierował się w stronę kapliczki, o ile tylko możliwe starając się zachować pozę pełną uszanowania, tak jakby chciał odmówić modlitwę do świętego patrona tego miejsca.

Zsunął sobie kaptur na twarz i zbliżył się do Sophii.

- *Buenos dias, senorita* - przemówił cicho, a zarazem z powagą.

Dziewczyna w roztargnieniu podniosła wzrok i skinęła głową.

- *Buenos dias, padre.* - Odwróciła się z powrotem do pracy, ale natychmiast zawahała się, trzymając pędzel w powietrzu, i badawczo popatrzyła na mnicha.

Do pioruna! Znowu go rozpoznała. Jak, u wszystkich diabłów, to się stało? Mimo to Mark trwał w pozie pełnej uszanowania, mając nadzieję, że się jednak pomylił.

- Witam, majorze. - W głosie Sophii zabrzmiało

rozbawienie. - Ta rola nie pasuje do pana w najmniejszym stopniu.

Mark odrzucił kaptur i zobaczył roześmiane oczy oraz uroczy dołek w policzku młodej panny.

- Co sprawa, że potrafi panna z taką łatwością przejrzeć każde moje przebranie?

Sophia zachichotała, gdyż w jego głosie zabrzmiała całkowita bezradność.

- Mój panie, jesteś o wiele za bardzo... - Urwała i zarumieniła się, gdyż zdała sobie sprawę z tego, co chciała powiedzieć. Hiszpańscy chłopci i hiszpańscy księża w odróżnieniu od brytyjskich oficerów kawalerii nie miewali szerokich barów i wspaniałej postawy. Nawet teraz, gdy postać Marka maskowały luźne szaty, nie były one w stanie ukryć jego męskiej sylwetki. Jednak młoda panna, nawet wychowana w obozach wojskowych, nie powinna głośno mówić takich rzeczy.

- Za bardzo... - podpowiedział, ciesząc się z jej chwilowego zmieszania. W końcu dopiero co to ona go zbiła z tropu, rozpoznając go tak szybko. - Hm, o czym to mówiliśmy? - Uśmiechnął się i czekał, aż dziewczyna zdobędzie się na jakąś odpowiedź.

- Chciałam powiedzieć, że hiszpańscy chłopci i hiszpańscy księża nie są tak... To znaczy, nie mają... no, w ogólności nie są tak *dobrze odżywieni* jak oficerowie kawalerii - dokończyła, jękając się, Sophia.

A więc tym rzecz. W pewien sposób czuł się pochlebiony tym, że trudno jej było przyznać, iż zdradza go budowa ciała. Podczas ich poprzednich spotkań młoda kobieta zawsze doskonale panowała nad sobą, zawsze tak bardzo pragnęła jak najprędzej wrócić do malowania, że wydawało się, iż traktuje Mar-

ka wyłącznie jako niemiłą przeszkodę, a nie męczyzną z krwi i kości... ta postawa sprawiła, że major musiał poważnie się nad sobą zastanowić.

Od chwili gdy dorósł, kobiety ciągnęły do niego, a on do nich. Przyzwyczaiał się, że kiedy na niego patrzyły, w ich oczach pojawiał się specyficzny błysk, w uśmiechu nieśmiałość, a głosy ich brzmiały tak, jakby nagle zabrakło im tchu. U Sophii nie zauważył żadnego z tych objawów. Po ich dwóch poprzednich spotkaniach odniósł wrażenie, że nie jest aż tak atrakcyjny, jak sądził dotychczas. Za każdym razem gdy się rozstawali, zastanawiał się, czy rzeczywiście stał się bufonem, pewnym natychmiastowego zainteresowania każdej napotkanej kobiety. Wrażenie to było nieprzyjemne i trudno mu się z nim było pogodzić. Teraz jednak czuł satysfakcję, że panna Featherstonaugh mimo wszystko dostrzegła w nim męczyznę, satysfakcję znacznie większą, niż skłonny był sam przed sobą przyznać.

- Skoro tak, muszę pamiętać, żeby się trochę pochylić, przygarbić ramiona i może też nieco powłóczyć nogami, żeby sprawiać wrażenie kogoś mniej *dobrze odżywionego*, jak to pani określiła. - Celowo prowokował dziewczynę i z zadowoleniem dostrzegł, że na jej policzkach pojawił się leciutki rumieniec. - Mam nadzieję, że przeciętny żołnierz francuski jest znacznie mniej spostrzegawczy niż pani.

- Tak przypuszczam. Są w końcu tylko męczyznami.

- Męczyznami? Ależ oczywiście, są nimi, ale co to ma do rzeczy?

- Cóż, wydaje mi się, iż w większości swojej męczyźni w przeciwieństwie do kobiet bardziej skupiają się na sobie, a zatem mniej są skłonni dostrzegać

tych, którzy ich otaczają. Kobiety zaś wychowywane są tak, by potrafiły dbać o potrzeby swoich mężów, dzieci, a także służby, więc z natury poświęcają więcej uwagi innym.

Mark, który już miał wygłosić gorącą tyradę w obronie tak brutalnie skrytykowanych mężczyzn, nagle zdał sobie sprawę, że dziewczyna ma w dużym stopniu rację. To przecież matka podczas swego krótkiego życia wysłuchiwała zwierzeń na temat jego dziecięcych radości i smutków, podczas gdy ojciec zachowywał dystans wobec synów i był dla nich właściwie tylko budzącym respekt władcą. Markowi wydawało się oczywiste, że kobiety, których towarzystwem cieszył się w swym dorosłym życiu, poświęcały wiele czasu i wysiłku na poznanie jego upodobań, ale też w końcu nigdy nie wiedział na pewno, czego one same chciały i co rzeczywiście sprawiało im przyjemność.

- Ma pani chyba rację - przyznał wreszcie. - Istotnie, z moich doświadczeń wynika, że kobiety potrafią lepiej wykrywać obłudę i oszustwo u innych.

- Jest pan prawdziwym wrogiem płci pięknej, sir.  
- Ciekawe, co to za kobieta była odpowiedzialna za ironię, która zabrzmiała w głosie majora i za cyniczne skrzywienie jego ust.

- Ależ skąd. Podziwiam was, a zwłaszcza te, które są nie tylko piękne, lecz także utalentowane. - Szyderstwo malujące się na twarzy mężczyzny przerodziło się w podziw, gdy na policzkach Sophii ponownie pojawił się rumieniec. Nie należała do kobiet, które w towarzystwie określało się mianem „klasycznej piękności”; zbyt duże usta, które on nazwałby pełnymi, i wyraźnie zarysowane kości policzkowe nie pozwoliłyby uznać jej

za takową w świecie, który wolał, by kobiety były raczej ozdobą niż towarzyszkami życia. Jednak oczy Sophii sprawiały, że zapominało się o całej reszcie. Były wielkie i pełne wyrazu, otoczone gęstymi, ciemnymi rzęsami, a w ich orzechowych głębinach odzwierciedlała się każda myśl. Nie, tej dziewczyny nie dało się nazwać piękną, ale w pewien sposób przyciągała uwagę i pragnęło się poznać ją bliżej.

Teraz patrzyła przekornie na jego prosty habit.

- I czego zdołałeś się dzisiaj dowiedzieć, ojciec wielbny? Na pewno odkryłeś coś więcej niż drobne przewiny jakiegoś biednego wieśniaka, który pracuje zbyt ciężko, by mieć kiedy grzeszyć?

- Może są zbyt zajęci, żeby schodzić na złe drogi, ale mają dosyć czasu, by dostrzec oddziały Francuzów przechodzące przez ich pola lub obozujące w pobliżu ich wioski. Niektórzy też na tyle rozumieją po francusku, by móc podsłuchać, o czym jest mowa, gdy usługują ich oficerom. Potem przekazują to wszystko kilku alkadom, którzy z kolei zwierają się swemu zaufanemu spowiednikowi - wskazał gestem dłoni na swój habit - a ten z uwagą i współczuciem wysłuchuje tego, co mówią, a potem raczej radzi im, jak mogą łatwiej przetrwać tu, na miejscu, niż jak mają poprawić swój przyszły los na tamtym świecie.

- Jak to możliwe, że jest pan w stanie rozmawiać z tymi ludźmi? Przecież oni nie znają angielskiego, a ich język raczej przypomina gaskoński niż hiszpański.

- Moja matka była Hiszpanką i pochodziła z tych stron. Tak - odparł, widząc jej pytające spojrzenie - jestem do niej podobny. Mój ojciec poznał ją w ambasadzie hiszpańskiej w Londynie. Jej ojciec był

przedstawicielem Hiszpanii. Prawdę mówiąc, moim ojczystym językiem jest hiszpański, bo matka zawsze nuciła mi kołysanki i opowiadała bajki w tym języku, a niania, która także była jej nianią, używała dialektu z tych okolic. Biorąc ślub z moją matką, ojciec nawet nie przypuszczał, że stanie się odpowiedzialny za powołanie do życia jednego z najskuteczniejszych szpiegów Wellingtona. W odróżnieniu od innych, zaszkodzony czy też obudzony w środku nocy, odpowiem po hiszpańsku, do czego nie jest zdolny nawet najlepszy poliglota, którego językiem ojczystym jest angielski, jednak mojemu ojcu oszczędzona była świadomość, że występuję jako szpieg... nie wiedział, że sprowadziłem hańbę na jego nazwisko... i umarł w przekonaniu, iż jego młodszy syn walczy z honorem jako major czwartego pułku kawalerii

Ponury wyraz oczu i rozgoryczenie brzmiące w głosie młodego majora sprawiły, że Sophia zapragnęła wyciągnąć rękę, wygładzić zmarszczki na jego czole i sprawić, by z jego warg znikł ironiczny uśmieszek.

- A co się dzieje z pańską matką? Jest na pewno dumna, że walczy pan w obronie jej ojczyzny. - Nie wiedziała, dlaczego musi koniecznie przekonać go, iż to, co robi, jest słuszne i ważne.

- Matka nie żyje.

- Przepraszam. - Intuicja portrecistki podpowiedziała jej, że w reakcji majora kryje się coś więcej. Pod ironiczną pozą maskowane są rany tak głębokie, że nawet nieprzyjęte do wiadomości, rany, które jątrzą się ukryciu, niewyleczone.

- Niemniej jednak teraz już pani wie, dlaczego osiągam dobre wyniki w tym, co robię, i dlaczego

nikt, poza wyjątkowo spostrzegawczą malarką, nie kwestionuje mojej tożsamości czy to jako księdza, czy jako pasterza. A teraz, wybaczy pani, ale na mnie już czas. Księżę musi uzyskać potrzebne mu informacje przed zapadnięciem zmroku, a przez to upór tego zwierzęcia... - wskazał z niesmakiem na osła, który spokojnie przeżuwał jakiś straszliwie kolczasty oset - grozi mi, że się spóźnię.

- Dobrze. Nie zatrzymuję pana, majorze. - Sophia odwróciła się do swego obrazu, a jej pędzel zawisł w powietrzu, podczas gdy zastanawiała się nad tym, co może dręczyć duszę majora lorda Marka Adaira. Co sprawiało, że z taką goryczą mówił o pracy oficera zwiadowczego? Andrew Leith Hay nie wydawał się żywić podobnego niesmaku wobec roli, która przypadła także jemu. Jak tylko wróci do domu, musi go zapytać, co wie o obowiązkach oficerów zwiadowczych w ogóle, a także o Marku Adairze w szczególności. Nie widziała Haya od kilku miesięcy, to znaczy od czasu, gdy stacjonowali w Frenadzie. Parę dni po swoim wyjeździe słyszała, że został schwytyany przez Francuzów. Była jednak zbyt zajęta ciągłym pakowaniem i rozpakowywaniem się, gdy podążały z matką za armią przez Ebro, by poznać jakiegokolwiek szczegóły, i dopiero po bitwie pod Vitorią dowiedziała się, że został zwolniony na słowo w zamian za francuskiego oficera, kapitana Cheville, którego trzymano w więzieniu w Anglii.

## 6

Sophia nie musiała długo czekać na okazję do rozmowy z Andrew Leith Hayem, bo gdy tego samego popołudnia pojawiła się w ich skromnym domku oddalonym o kilka kroków od kwatery głównej, okazało się, że jej matka z większą niż zazwyczaj energią komenderuje dwoma dziewczynami ze wsi.

- Ach, Sophio, jak to dobrze, że jesteś. Sir Thornton zaprosił kilku oficerów na kolację, a dodatkowo właśnie wrócił Andrew Leith Hay. Proszę cię, dopilnuj, żeby Maria i Teresa dokończyły sprzątanania, a ja muszę porozmawiać z Jorgem na temat menu.

Zdejmując fartuch, którym chroniła suknię podczas zawziętego odkurzania, lady Curtis udała się do kuchni, gdzie łoskot garnków i głośne okrzyki w języku hiszpańskim świadczyły o tym, że Jorge znowu stwierdził, iż miejscowa pomoc kuchenna w najmniejszym stopniu nie dorównuje temu, do czego się przyzwyczaił w Lizbonie.

- *Seniora*, tak być nie może...

Lady Curtis gestem dłoni ucięła potok protestów.

- Wiem, wiem. W tych straszliwych warunkach nie możesz przygotować kolacji godnej twego talentu i reputacji. Jednak weź pod uwagę fakt, że dżentelmeni, których będziemy dziś gościli, znają już twoje



możliwości i wiedzą, że muszą wziąć pod uwagę warunki, w jakich teraz mieszkamy.

Kucharz poddał się, wzdychając dramatycznie.

- A więc dobrze, *seniora*, ale nic nie obiecuję.

- Dziękuję, Jorge. Jestem pewna, że to, co przygotowujesz, będzie równie znakomite jak zawsze. Nie zapomnij, że nasi goście stale przenoszą się z miejsca na miejsce i mają bardzo skromne racje żywnościowe, tak więc jakikolwiek ciepły posiłek stanowi dla nich luksus, a świeża ryba w sosie krewetkowym oraz pieczone ozorki to coś, o czym nawet nie ośmielają się marzyć.

W odpowiedzi Jorge tylko ponuro pokręcił głową i zajął się krojeniem cebuli, rzucając przy tym gniewne spojrzenia na pokornie szorującą garnki młodą pomocy.

Prawdę mówiąc, nie było się o co troskać, gdyż dla Andrew Leith Haya, podpułkownika Colina Campbella, generała Pakenhama i kapitana Fitzroya Somerseta wieczór spędzony w miłym towarzystwie sir Thorntona, jego żony oraz jego pasierbicy był czymś tak wspaniałym, że nie zwracali większej uwagi na to, co dostawali do jedzenia.

Głównym tematem konwersacji był pobyt Andrew Leigh Haya w niewoli francuskiej.

- Z początku traktowano mnie bardzo dobrze i nawet zapraszał mnie do siebie, do pałacu arcybiskupa w Toledo, generał Maransin. Szczerze i otwarcie opisywał mi cierpienia Wielkiej Armii w Rosji, a nawet trudności, jakie Francuzi mieli na Półwyspie. Jednak potem przesłano mnie do generała Soulta, człowieka o nikczemnym wyglądzie, niegodnym porównania

z jego bratem marszałkiem. Mając nadzieję, że zdolał się im wyrwać, odmówił dania słowa honoru, że nie będzie próbował ucieczki. Wtedy zaczęli mnie o wiele staranniej pilnować, aż wreszcie, po bardzo niemiłym przesłuchaniu przez generała Levala, zostałem umieszczony w kazamatach Retero w Madrycie. Oczywiście protestowałem i w rezultacie zostałem przeniesiony do innego więzienia, które również było nieprzyjemne, ale znacznie lepsze niż lochy Retero. Kiedy przenieśliśmy się do Breviesca, wezwał mnie do siebie generał La Martiniere, który powiadomił mnie, iż jego zwierzchnik, generał Gazan, pragnie, abym został wymieniony za kapitana francuskiej artylerii, wziętego do niewoli w Bajadoz. Wiedząc, że ma nastąpić zamiana, dałem słowo honoru i od tej chwili traktowano mnie bardzo uprzejmie. Kiedy dotarliśmy do Vitorii, przekazano mnie kapitanowi Owenowi z osiemnastego pułku huzarów. Zabrał mnie do sir Lowry Cole'a, a resztę już znacie.

- Nie bał się pan, że pana zabiją?

Kapitan uśmiechnął się do pani domu.

- Nie za bardzo, bo jako oficer brytyjski byłem dla nich bardziej przydatny żywy niż martwy. Inni oficerowie zwiadowczy nie mieli takiego szczęścia. Każdy, kto zostanie schwytany w przebraniu, traktowany jest jak szpieg. Wyrok wykonuje się bardzo szybko. Major Adair z czwartego pułku dragonów ledwo wyszedł cało z takiej opresji w zeszłym roku, tuż przed bitwą pod Salamanką. Podróżował po terenie nieprzyjaciela przebrany za mnicha i został schwytany przez dwóch dragonów, patrolujących okolicę. Nie mieli pojęcia, że jest żołnierzem brytyjskim; dostali tylko instrukcje, by za-

interesować się miejscowym księdzem, który zbierał informacje na temat ruchów wojsk francuskich. Związali go i wrzucili na konia, zamierzając odtransportować go do swojej kwatery głównej, a sądząc, iż mają do czynienia z osobą duchowną, nie zachowali dostatecznej ostrożności. Podczas jazdy major zdołał uwolnić z więzów ręce i czekał, aż zatrzymali się w karczmie na obiad. Zsiedli i zamierzali także zdjąć jego, kiedy, ku ich zaskoczeniu, więzień złapał lejce ich wierzchowców, pogonił swojego i tyle go widzieli.

- Tak, Adair jest jednym z najlepszych - zgodził się Colin Campbell. - Mówi po hiszpańsku jak rodowity Hiszpan i potrafi też używać różnych akcentów: jest w stanie udawać tępego chłopa z Asturii, dziękiemu andaluzyjskiego partyzanta lub omawiać dzieła Calderona w najczystszy literackim hiszpańskim. Poza tym zna francuski i niemiecki na tyle dobrze, by Paryżanin uważał go za Gaskończyka, zaś Gaskończyk za Bretończyka. Co więcej, człowiek ten potrafi po mistrzowsku wcielać się w najrozmaitsze typy. Scena straciła w nim znakomitego aktora.

Jakby licytując się, pałeczkę przejął Fitzroy Somerset.

- Pamiętam, jak dwaj ludzie z pułku Adaira dostali się w ręce nieprzyjaciela. Nic nawet nie mówiąc dowódcy, major odkrył, że trzymani są w pewnej karczmie, wspiał się na pobliskie drzewo, zeskoczył z niego na dach i, przywiązawszy do komina linę, zsunął się po niej i dostał do pokoju, w którym ich więziono. Uwolnił ich, a potem, używając tej liny, zeszli na dół i przedostali się przez otaczający karczmę mur. Nikt nic nie zauważył. Ten człowiek doskonale sprawdza się w trudnych sytuacjach: umie szybko

myśleć i jest odważny jak lew. On chyba nie ma nerwów. Na polu bitwy zachowuje taki spokój, jakby siedział w bawialni swojej matki.

- Mam wrażenie, że spotkałam tego majora Adaira nie tak dawno temu, kiedy wracał z San Sebastian. Z pewnością jest doskonałym jeźdźcem. - Nie wiadomo dlaczego Sophia nie miała ochoty przyznawać się do dwóch następnych z nim spotkań. Prawdę mówiąc, nie chciała mówić nawet o tym pierwszym, ale bardzo pragnęła usłyszeć coś więcej o majorze, a wydawało się, że temat powoli się wyczerpuje.

- Aha! - Fitzroy Somerset uśmiechnął się do niej przekornie. - Nie tak dawno coś napomykał, że spotkał szaloną młodą kobietę, która zasiada przy sztalugach w szczerym polu, nie troszcząc się o to, że wokół wałęsają się żołnierze francuscy czy też może groźni hiszpańscy partyzanci.

Sophia poczuła, że pieką ją policzki, i miała rozpaczliwą nadzieję, że w słabym blasku świec jej rumieniec nie zostanie dostrzeżony, chociaż wcale nie wiedziała, dlaczego tak jej na tym zależy.

- Strzeż się, Sophio. - Colin Campbell pogroził jej żartobliwie palcem. - Ten człowiek to pożeracz kobiecych serc znany stąd aż do samej Lizbony. Czaruje damę, poświęcając jej całą swoją uwagę jednego dnia, a drugiego porzuca, nie mówiąc nawet jednego słowa przeprosin. I wszyscy dobrze wiedzą, jak bardzo sobie ceni swój kawalerski stan.

- Sophia jest zbyt rozsądna, by zajmować się kimś takim - stanął w jej obronie. Andrew Leith Hay. - Poza tym zna podobnych jemu młodzieńców prawie od kolebki. Dlaczego Mark Adair miałby być dla niej

bardziej niebezpieczny niż którykolwiek z nas? - zapytał, mrugając okiem.

No właśnie, dlaczego? Przez ostatnich kilka dni Sophia nie raz zadawała sobie to pytanie. Dlaczego poświęciła choćby jedną myśl majorowi Adair?

- Sophia zna wojskowych tak dobrze, że nie da sobie zawrócić w głowie żadnemu z was. Nie potrzebuje człowieka, który zapomni o jej istnieniu, gdy tylko zagwiżdżą kartacze. - Generał Curtis z uśmiechem zwrócił się do pasierbicy. - A ja jej obiecuję, że jak tylko wojna się skończy, wrócimy do Londynu, gdzie pozna jakiegoś statecznego młodzieńca, a nie takich zapaleńców jak wy. Powiedz mi, Andrew, czy rzeczywiście Francuzi są tak doskonale uzbrojeni?

Rada, iż konwersacja zeszała na inne tory, Sophia westchnęła z ulgą i rzuciła pełne wdzięczności spojrzenie na generała. Jego dobroć była tym, za co go najbardziej pokochała. Jak na kogoś, kto spędził większość swego życia na wojaczce, generał potrafił bardzo dobrze rozumieć uczucia innych ludzi, a zwłaszcza tych, którzy byli mu bliscy.

- No więc zanim znalazłem się w Vitorii, powiedziałbym, że tak. Przed bitwą widziałem na peryferiach miasta więcej armat polowych niż kiedykolwiek w życiu: pięknie ułożone całe ich rzędy. Ale po bitwie na tych samych terenach dostrzegłem pełno powyracanych wózków i porzuconych dział. Wydaje mi się, że uciekając, Francuzi zostawili nam wszystko, czym dysponowali. Trudno powiedzieć, czy mają teraz czym się bronić.

- Nie cieszymy się przedwcześnie - stwierdził ponuro Fitzroy Somerset. - Adair widział w San Sebastian

i Pamplonie tak dużo artylerii, że wciąż możemy ponieść poważne straty.

- A jaki jest tam teren? Jeśli nasze oddziały będą musiały pokonać plażę, by dotrzeć do fortecy w San Sebastian, mogą dostać się pod ogień tamtejszych dział. Gdybym nie dał tego przeklętego słowa honoru, narysowałbym, jak to wyglądało, i teraz wiedzielibyśmy dokładnie, z czym chcemy się zmierzyć.

- Spokojnie, Andrew. - Colin Campbell położył mu dłoń na ramieniu. - Tu obecna Sophia zrobiła nam doskonały szkic.

- Sophia?

Mimo wszelkich starań Sophii nie udało się usunąć nutki zakłopotania.

- Tak. Major Adair poprosił mnie, żebym zrobiła szkic, kiedy jeszcze dobrze pamiętał wszystkie szczegóły.

- Aha. - Andrew nie powiedział nic więcej, ale zdradził go wyraz twarzy. Jak to się stało, że Sophia, która zazwyczaj nie pokazywała swoich rysunków nawet bliskim przyjaciołom, ujawniła je komuś najzupełniej obcemu? Mina Sophii wyraźnie mówiła, że dziewczyna nie zamierza nic bliżej wyjaśniać, ale też Andrew nie miał najmniejszego zamiaru jej wypytywać.

## 7

Przez następnych kilka dni Sophia i jej matka mało widywały generała, jak również innych współpracowników Wellingtona, gdyż wszyscy zajmowali się przygotowywaniem planów ataku na San Sebastian. Sir Thornton całe dnie spędzał w kwaterze głównej albo na inspekcjach oddziałów i ich zaopatrzenia w *Iran*, *Very* i *Echelar*, a do domu wracał tylko po to, żeby spać.

Sophia nadal wyruszała na swoje wycieczki w plener, ale ograniczała się do terenu wioski, jako tematy wybierając krzepkich baskijskich wieśniaków przy swoich codziennych zajęciach albo widoki odległych gór widziane z okien na tyłach ich domku. Pewnego dnia zaplanowała, że wyjdzie wcześniej, żeby wykorzystać łagodne poranne światło, ale obudził ją dźwięk łomoczących na wietrze okiennic i daleki odgłos grzmotów. Wyrzała przez okno i zobaczyła, że od strony oceanu nadchodzą ciemne, burzowe chmury, ale dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że złowieszczy huk to kanonada armatnia, nie zaś grzmoty.

Szybko nałożyła poranną batystową sukienkę i solidne buciki, a potem zbiegła na dół, gdzie natrafiła na generała, całującego jej matkę na pożegnanie.

- Ach, to ty, Sophio. Usłyszałaś armaty? Graham za-

atakował San Sebastian. Jak na razie księżę pozwala mu prowadzić atak, ale ja muszę przygotować następne oddziały i dostawy. - Popatrzył na zmartwione twarze obu kobiet. - Powinnyście tu być bezpieczne. Znajdujecie się blisko kwatery głównej, za to daleko od pola walki.

- Nie myślimy o sobie, mój drogi - matka Sophii odpowiedziała za nie obie. - Uważaj na siebie.

- W tej kwestii nie ma powodu do obaw. Jestem tylko kwatermistrzem, nie uczestniczę bezpośrednio w walce.

Lady Curtis uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Kwatermistrz, który jest tak gorliwy, że sam wyrusza na front, żeby sprawdzić, czy wszystko, co tam posłał, dotarło zgodnie z rozkazem! Zbyt dobrze cię znam, mój panie.

- To prawda, lady Curtis, to prawda. Ale teraz muszę już iść. - Pomachał im ręką i ruszył w stronę Speena, który trzymał za uzdę jego niespokojnego rumaka.

- No cóż, Sophio, nie pozostaje nam nic innego, jak znaleźć sobie jakieś zajęcie, dopóki nie dotrą do nas nowe wieści.

Lady Curtis usiadła w fotelu przy oknie, wydobyla swój koszyczek z robótką i najspokojniej w świecie przystąpiła do pracy.

- Masz rację, mamó, ale to tak nudno tylko czekać. Ja chciałabym działać. - Sophia przez kilka minut niespokojnie krążyła po pokoju, a potem podeszła do okna, by popatrzeć na oficerów, zbierających się przed kwaterą główną. - Nie cierpię robótek, a nie zdołam się skupić nad książką.

- Możesz zawsze zająć się rysowaniem, kochanie.

- Wiem, ale martwe natury mnie nudzą, a nie wy-



chodząc z domu, nie mogę rysować nic innego. Szkoda, że nie jestem mężczyzną: mogłabym mieć swój wkład w zakończenie tej nieszczęsnej wojny.

- Wkrótce pojawią się ranni, którymi trzeba będzie się zająć, a poza tym pomagamy zakończyć tę wojnę, zapewniając dobre posiłki i wygodny dom, do którego walczący mogą wrócić po trudach dnia.

- Wiem, wiem, mamó. - Sophia już nieraz to słyszała, lecz nie była już w stanie czekać, aż mężczyźni wrócą do domu po dniu pełnym bohaterskich czynów. Jej łagodna i cierpliwa matka doskonale się do tego nadawała. Bez względu na to, jak późno jej mąż miał wrócić do domu i jak bardzo się wcześniej martwiła, zawsze witała go ciepłym uśmiechem i gorącym posiłkiem. *Nie-małą jest rzeczą stworzyć dom dla człowieka, który para się wojaczką.* Matka nieraz powtarzała córce te słowa. Sophia zgadzała się z nią. Wiedziała, ile pracy wymaga sprawne prowadzenie domu w obcym kraju, gdzie nie zawsze wszystko można dostać i nigdy nie wiadomo, gdzie spędzi się następną noc. Ale ona nie była swoją matką. Nie chciała spokojnie czekać, kiedy inni działali i pokonywali rozmaite trudności.

Przez resztę poranka Sophia i jej matka starały się zajmować sprawami domu, co chwila nasłuchując, czy eksplozje dochodzą od strony San Sebastian, czy też z jakiegoś innego miejsca, i jak wiedzie się Brytyjczykom, ale nic nie potrafiły ustalić. Nie miały też pojęcia, co dzieje się w wiosce. Oficerowie przyjeżdżali i odjeżdżali w najrozmaitszych kierunkach. W końcu tuż przed południem lady Curtis podniosła wzrok znad robótki. Przechyliła głowę na bok i przez chwilę nasłuchiwała.

- Co się dzieje, mamó?
- Cśś. Słuchaj.
- Nic nie słyszę.
- No właśnie. Kanonada umilkła.
- To znaczy, że wygrali.

Lady Curtis pokręciła głową.

- Nie, przecież chyba słyszałaś, jak Thornton mówił, że twierdza ma bardzo grube mury i jak trudno dostać się do miasta? To jeszcze za krótko...

Jej słowa przerwał następny stłumiony huk dobiegający z dala.

- Mamó, słyszysz, znowu się zaczyna.

- Nie, to z innej strony.

- Racja. - Sophia podeszła do okna i wyrzała przez nie, ale wszystko wyglądało tak samo. Potem rozległo się kolejne dudnienie. - Dochodzi z prawej strony. Ciekawe...

Jednak ich rozważania przerwały jakiś łoskot, dobiegający z bardzo bliska. Obie panie zerwały się na nogi i z niepokojem popatrzyły po sobie. Dopiero po dłuższej chwili zdały sobie sprawę, że to ktoś wali do ich drzwi.

- Proszę pani... - Do bawialni wbiegła jedna z pokojówek.

- Już idę, Mario. - Lady Curtis wstała i ruszyła za nią, ale zatrzymała się w miejscu na widok wysokiego oficera w zakurzonym mundurze.

- Czym mogę panu służyć, majorze...?

- Adair, proszę pani. Za pozwoleniem, przyszedłem panią prosić, aby pożyczyła mi pani swoją córkę.

- Pożyczyć moją córkę? - Lady Curtis rzuciła szybkie spojrzenie na Sophię. Major Adair... to ten oficer,

którego nazwisko wymieniono podczas kolacji tego wieczoru, gdy był u nich Andrew Leith Hay. To właśnie jego nazwisko sprawiło, że jej tak zazwyczaj oprowadzana córka oblała się rumieńcem zakłopotania. Niewątpliwie mężczyzna ten prezentował się doskonale nawet w swoim sfatygowanym mundurze. Ale przecież Sophia wzrosła w otoczeniu wielu mężczyzn. Co było takiego szczególnego właśnie w tym?

- Może nie tyle pani córkę, ile jej umiejętności.

- Och. - Wyjaśnienie to wcale nie pomogło lady Curtis zrozumieć, o co mu chodzi.

Teraz i Sophia pojawiła się obok swojej matki.

- Jak mogę panu pomóc, majorze?

- W sztabie mamy dwóch wieśniaków. Obaj czekali na mnie, kiedy wróciłem z San Sebastian. Każdy z nich opowiada o wielkich ruchach wojsk francuskich, z tym że jeden twierdzi, iż potężne siły francuskie maszerują w stronę przełęczy Maya, zaś równie liczna armia kieruje się w stronę przełęczy Roncesvalles. Drugi z nich, podający się za towarzysza Miny, utrzymuje, iż Francuzi szykują się do przekroczenia rzeki Bidasoa i do uderzenia nas pod San Sebastian. Znam Minę osobiście i mógłbym ustalić, czy ten człowiek mówi prawdę, każąc mu zaprowadzić się do twierdzy partyzantów, ale na to nie mamy dosyć czasu. Generał Curtis - Mark skinął głową w stronę matki Sophii - trzyma w odwodzie pułk siódmy i lekkie dywizje i chce wiedzieć, czy ma je posłać do San Sebastian na pomoc Grahamowi, czy Stewartowi na przełęczy Maya, czy też Cole'owi do Roncesvalles. Muszę jak najprędzej ustalić, któremu z tych dwóch powinienem uwierzyć. Słyszałem, jak mówiono, że

panna Featherstonaugh, wykorzystując swe zdolności do czytania w duszach ludzkich, stwierdziła kiedyś, że ordynans Ponsonby'ego nie był winny przestępstwa, o które wszyscy go posądzali. Teraz potrzebny mi jest ktoś, kto powie, któremu z mężczyzn mam zaufać.

Mark podszedł z uśmiechem do Sophii.

- Z tego, co widziałem na portretach pani, sędzę, iż potrafi pani przejrzeć duszę każdego człowieka. Czy może to pani zrobić dla mnie?

- Ja nie wiem... Nie przypuszczam... - Sophia spojrzała w ciemne oczy. Było w nich ciepło, bardzo niedalekie od podziwu, wyraz przeznaczony specjalnie dla niej, wyraz, który tylko ona mogła zrozumieć. Była potrzebna. Jej umiejętność, której nikt inny nie posiadał. Wzięła głęboki wdech. - Dobrze, spróbuję, ale...

- Dziękuję pani. Wiem, że się pani uda. - Był to prawie szept, cichy, jakby poza nimi dwojgiem w bawialni nie znajdował się nikt inny.

Przez chwilę Sophia stała bez ruchu jak zahipnotyzowana spojrzeniem majora i oszołomiona porozumieniem, jakie między nimi się wytworzyło, tak silnym, że prawie dotykającym. Szczęście zalało ją gorącą falą. Wreszcie ktoś jej potrzebował. Jest coś, co może zrobić, po tylu latach biernego trwania pośród mężczyzn, którzy ruszali do boju, cierpieli i umierali za ojczyznę. Teraz ona też mogła zrobić coś dla swojego kraju i ten właśnie człowiek zdołał to dostrzec. Uznał jej pomoc za wartościową. Docenił ją. Dał jej szansę.

- Zaraz wezmę szal i przybory do rysowania. Jedną chwileczkę - powiedziała Sophia i wybiegła z bawialni.

- Czy zechce pan się czegoś napić, majorze?

- Co? Ach, nie, dziękuję. Niczego mi nie potrzeba.

Lady Curtis uśmiechnęła się. Odezwała się po to, by stwierdzić, jaki jest stan umysłu majora, a nie dlatego, że pragnęła go ugościć. Patrząc spod oka na córkę i tego młodego człowieka, odnosiła wrażenie, że ma on na Sophię bardzo silny wpływ. Nigdy dotąd nie widziała, by dziewczyna reagowała na czyjąś obecność w taki sposób, i była ciekawa, czy jej córka wywiera taki sam wpływ na młodego kawalerzystę. O ile pannie brakowało chwilami tchu, mężczyzna stawał się od czasu do czasu jakby roztargniony. Ona rumieniła się i uśmiechała z zakłopotaniem, on zaś jakby wycofywał się do swego własnego, dalekiego świata, a ilekroć na nowo dostrzegł obecność lady Curtis w tym samym co on pomieszczeniu, stanowiło to dla niego pewien wstrząs. Jednak chociaż reakcje obojga młodych ludzi znacznie się od siebie różniły, pilna obserwacja prowadziła tylko do jednego wniosku: tych dwoje łączyło coś szczególnego, jakieś tajemne porozumienie, dostępne tylko im.

Mark szybko wrócił do siebie.

- Najmocniej przepraszam, lady Curtis. Chodzi o tych dwóch ludzi. Za nic nie jestem w stanie zdecydować, któremu powinienem uwierzyć. - Uśmiechnął się przepraszająco, ale to wcale nie zwiódło matki Sophii. Myślał o tych dwóch mężczyznach tak samo, jak o lataniu! Jego oczy miały ten sam wyraz co wtedy, gdy patrzył na jej córkę wybiegającą z bawialni.

- Rozumiem, majorze. Jestem pewna, że Sophia będzie w stanie panu pomóc. Nawet jako mała dziewczynka miała niezwykłą umiejętność dostrzegania prawdziwych uczuć, które ludzie próbowali ukryć

przed innymi. To rzadki talent; czasami nawet może wprowadzić w zakłopotanie.

To go wreszcie zainteresowało.

- Chyba ma pani rację. - Spojrzał na matkę Sophii tak, jakby zobaczy ją po raz pierwszy. Była wciąż piękną kobietą. W jej oczach... błękitnych, nie orzechowych, jak u córki... malowała się żywa inteligencja, widniał teraz wyraz zrozumienia, a także pojawił się błysk humoru. Dostrzegła wrażenie, jakie Sophia wywarła na nim, i jego tłumaczenie nie zwiodło jej ani trochę.

Mark uniósł ze skrucną brew i usiadł we wskazanym sobie fotelu. Ta kobieta przez wiele lat musiała wysłuchiwać wykrętów lorda Harry'ego i Mark Adair nie jest w stanie jej oszukać.

- Wystarczy jedno spojrzenie na jej portrety, żeby zdać sobie sprawę, że widzi znacznie więcej niż my wszyscy i...

- Już jestem. Przepraszam, że zabrało mi to tyle czasu, ale mam ze sobą wszystko. Chodźmy, majorze. - Sophia wbiegła do bawialni, trzymając w ręku tornister i narzucając na siebie szal.

Mark wstał i wyciągnął rękę, by wziąć od niej zawierający szkicownik i kredki tornister, a potem skłonił się lady Curtis.

- Dziękuję, że pozwoliła pani swojej córce okazać mi pomoc. Obiecuję, że będę się o nią troszczył.

- Jestem tego pewna.

Ale oni już znajdowali się za drzwiami i zbyt byli przejęci swoją misją, by usłyszeć odpowiedź lady Curtis, a tym bardziej dostrzec zawartą w niej wieloznaczność.

## 8

Przeszli kilka kroków ulicą, by wkrótce znaleźć się w sztabie, gdzie pod silną strażą w głębi głównej sali, z dala od okien i drzwi, siedziało dwóch wieśniaków. Obaj rozglądali się dookoła z niepokojem, ale ich twarze rozjaśniły się, gdy pojawił się przy nich Mark.

- Rozdzielcie ich - polecił Mark pilnującemu ich sierżantowi. - Będę rozmawiał z nimi pojedynczo. Przyproceedziłem pannę Featherstonaugh, która narysujje mapy na podstawie tego, co powiedzą mi o drogach, ruchach wojsk i ich zaopatrzeniu. W ten sposób ja będę mógł skoncentrować się na przesłuchaniu. - Odwrócił się i przetłumaczył swoje słowa na hiszpański, zanim sierżant wyprowadził jednego z wieśniaków.

Podsunał Sophii krzesło.

- Powiedziałem im, że będzie pani rysowała mapy i że będę musiał od czasu do czasu im przerywać, żeby pani tłumaczył, co powiedzieli.

- Dobrze. Będę udawała, że wykonuję pańskie instrukcje.

- Bardzo sprytnie.

Sophia ze zdziwieniem stwierdziła, że jego spojrzenie pełne aprobaty znaczy dla niej bardzo wiele. Wydobyła z tornistra szkicownik i ołówek.

- Przynieście temu człowiekowi coś do picia. - Mark posłał drugiego żołnierza po napoje, a potem usiadł naprzeciwko wieśniaka. - A teraz powiedz mi, jak się nazywasz.

- Pablo, panie. Wypasam moje owce w pobliżu przełęczy Maya i widziałem wiele oddziałów francuskich idących w tym kierunku. Inne oddziały podążają mniej więcej w stronę Saint-Jean-Pied-de-Port. Rozmawiałem też z innymi pasterzami, którzy twierdzą, że większość armii francuskiej posuwa się w stronę przełęczy w Roncesvalles. Jest ich około czterdzieści tysięcy, a na Mayę idzie dwadzieścia tysięcy.

- A czy jakieś oddziały idą w stronę San Sebastian?

- Nic o tym nie wiem, panie. Wydaje się, że wszystkie udają się w głąb lądu, w stronę Pamplony.

Żołnierz przyniósł butelkę wina i dwa kieliszki. Mark napełnił jeden z nich i podał pasterzowi, który napił się z ochotą.

- Bardzo dobrze. Dziękuję, Pablo. Twoja ojczyzna może być z ciebie dumna, no i pomogłeś też mojej. Postaramy się być gotowi na ich przybycie. Jeśli dowiesz się jeszcze czegoś, daj mi znać. Nazywam się major Adair.

Pasterz wstał i skinął Markowi głową. Na jego kościstej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Dobrze, *senior* Adair. Teraz jednak muszę wracać do moich owieczek.

Drugi mężczyzna był bardzo podobny do Pabla: miał tak samo ogorzałą twarz, jak przystało na człowieka, który większą część życia spędza na powietrzu, takie same proste, ciemne brwi, wyniosły nos i wysokie kości policzkowe, jednak o ile na twarzy Pabla malowała się charakterystyczna dla wieśniaków



nieufność wobec obcych, czy też pasterza wobec oficera, ten człowiek był raczej posępny i podejrzliwy raczej niż ostrożny.

- Siadaj i napij się. - Mark przywitał go równie uprzejmie jak poprzednio pasterza. - Jak się nazywasz i co masz mi ciekawego do powiedzenia?

- Jestem Miguel. Moja przystań znajduje się w Cieśninach i czasami łowię aż przy ujściu rzeki Bidasoa. Tam widziałem zmasowane siły Francuzów, szykujące się do przejścia przez rzekę i ataku. Widziałem ich gromadzących się w Hendaye. Potem zdobędą Irun i pomaszerują wybrzeżem do San Sebastian.

- Jak liczne są te siły?

- Wielkie. Ale ja oczywiście nie byłem na tyle blisko, żeby ich dokładnie policzyć, byłoby to też bardzo niebezpieczne. Te francuskie *diablos* strzelają do nas, biednych rybaków. Przyszli do naszego kraju, rabują nam pożywienie...

- Wiem, wiem. Uspokój się, Miguelu. Zrobimy co się da, by wrócili tam, skąd przyszli. Ilu mniej więcej żołnierzy widziałeś?

- Och, wiele pułków, wszystkie gotowe do ataku.

- Mówisz, że pójdą na Hendaye, a potem na Irun? Przepraszam cię, muszę to przetłumaczyć tej pannie, która rysuje dla mnie mapę. Narysowała to pani? - Mark zwrócił się do Sophii.

- Tak. Mam wszystko.

- Jest pani pewna?

- Absolutnie.

- Dobrze. - Mark odwrócił się do rybaka. - Dziękuję ci za pomoc, jaką okazałeś twojej i mojej ojczyźnie. Zadbamy, by nasze oddziały były gotowe na spo-

tkanie z wrogiem, a ty, jeśli dowiesz się czegoś więcej, daj mi znać. Jestem major Adair.

- Tak. - Rybak z wyraźną ulgą opuścił pomieszczenie.

Mark podszedł do Sophii, która właśnie kończyła portret Miguela.

- A więc który z nich mówił prawdę? Nie mamy wystarczająco dużo sił, by wzmocnić zarówno Grahama w San Sebastian, jak i pozostałych, którzy strzegą przełęczy po naszej prawej stronie. Pozwoliłem każdemu z informatorów sądzić, że zamierzamy postąpić zgodnie z jego informacją, chociaż w rzeczywistości musimy dokonać wyboru. A więc któremu z nich należy uwierzyć?

- Pablo jest tym, któremu powinniście zaufać.

- A więc trzeba wzmocnić obronę przełęczy. Tylko że Francuzi mają materiał na mosty pływające i są w stanie przekroczyć Bidasoę. Sam to widziałem.

- Być może, ale Miguel nie ma pojęcia, jak liczne są ich oddziały.

- To prawda, ale żeby to ocenić, musiałby podjąć ryzyko. Każda łódź rybacka, która zbyt oddali się od brzegu, może wzbudzić podejrzenia.

- Miguel jest tak samo rybakiem jak ja.

- Co? Skąd może panna to wiedzieć?

- Widział pan jego ręce? To ręce rolnika, owszem, zniszczone pracą, ale nie są to dłonie rybaka, który przez wiele lat wyciągał sieci. Wiem, jak powinny wyglądać takie dłonie, bo widziałam wielu rybaków i żeglarczy, a ręce Miguela w porównaniu z ich rękami są stosunkowo delikatne.

- Ojej. - W głosie Marka wyraźnie zabrzmiało zawstydenie.

Sophia pochyliła się na chwilę nad swym rysunkiem, by ukryć uśmiech satysfakcji. Opanowawszy się, podniosła głowę i podała Markowi swoje dzieło.

- Proszę, niech pan sam się przekona, co o tym myśleć.

Wziął oba rysunki i dokładnie się im przyjrzał.

- Tak. - Westchnął. - Ma pani rację. Nie ma najmniejszej wątpliwości. Miguel jest nie tylko niedokładny, on kłamie. Teraz to widzę. Wystarczy jedno spojrzenie na oczy i dłonie. Zdradzają wszystko, prawda?

- Zazwyczaj. - Sophia schowała ołówek do tornistra i wstała.

- Jak mogłem tego nie zauważyć? - Pokręcił z niezadowoleniem głową, oddał dziewczynie szkicownik i odprowadził ją do drzwi.

- Skupił się pan nad tym, co mówią. Musiał pan ocenić ich informacje, porównując je z tym, co sam pan odkrył. Nie mógł pan zwracać uwagi na ich wyraz twarzy ani też na ręce.

- Jest pani dla mnie zbyt łaskawa. Ale ma pani moją wdzięczność. Potrafi pani dostrzec w ludziach bardzo wiele rzeczy niezauważalnych dla innych. Co widzi pani we mnie? - Mark otworzył drzwi i zszedł z nią po schodkach na ulicę.

- Widzę mężczyznę... dumnego człowieka, który wie, że może polegać na swojej sile i zaradności w każdej sytuacji. Ale też wyczuwam w panu niepokój.

- Niepokój? A cóż miałyby, za pozwoleniem, mnie niepokoić, poza zwykłym zagrożeniem śmiercią, które jest nieodłącznym składnikiem każdej wojny?

- Jeszcze nie wiem. Ale chodzi o coś innego niż zwykłe niebezpieczeństwa i niewygody, które są udziałem

każdego żołnierza. Jest w panu smutek. - Stapała po śliskim gruncie. Widziała, jak major zaciska usta i jak bieleją mu kostki zaciśniętych pięści. - Ale ja jestem artystką i poza tym, że wiernie odtwarzam krajobrazy i ludzkie twarze, staram się też dodać im nastroju i namiętności. Sam pan tak powiedział, o ile dobrze pamiętam, a przynajmniej sugerował coś podobnego. Być może dostrzegam tragedię tam, gdzie jej wcale nie ma.

- Owszem, mówiłem *coś* takiego - odparł lekko, czując ulgę, że dziewczyna nie chce rozwijać drażliwego tematu. Sophia Featherstonaugh dostrzegała bardzo dużo, a jeszcze więcej rozumiała. Czasami było to dla niego trochę zbyt wiele, a na pewno wcale nie pragnął, by aż tak dużo o nim wiedziała. - Teraz jednak muszę odprowadzić panią do domu, tym bardziej że chciałbym zamienić słówko z pani ojczymem, żeby wiedział, dokąd należy wysłać pomoc.

- A pan dołączy do swego pułku przed najbliższą większą bitwą?

- Taką mam nadzieję. To, co pani dzisiaj słyszała, to tylko potyczki, a jak sama pani widzi, Francuzi jeszcze nie rzucili na szalę swoich głównych sił. Jeśli mamy zepchnąć ich z powrotem do Francji, musimy wykorzystać okazję i zaatakować największe skupienie ich wojsk i odrzucić ich na drugą stronę Pirenejów, zanim zrobi się za zimno. Jeśli nie znajdą się wkrótce za górami, będziemy zmuszeni spędzić jeszcze jedną zimę w Hiszpanii.

- To samo powtarza sir Thornton. Mama i ja jesteśmy gotowe wyruszyć w każdej chwili, chociaż mnie się tutaj bardzo podoba. Wszyscy uskarżają się na pchły, ale okolice są piękne, a ludzie interesujący, sil-

ni i niezależni. Artysta znajdzie tu bardzo wiele tematów.

- Niemniej jednak nie są to warunki godne młodej damy. Nie tęskni pani za towarzystwem, balami i wieczorkami, tańcami i flirtem, którymi zajmują się wszystkie dobrze urodzone panny, jakie znam?

Przeszli przez ulicę i wkrótce znaleźli się pod drewnianym balkonem, który znajdował się tuż nad drzwiami do kwatery Sophii.

- Ależ ja nie jestem dobrze wychowaną panną, majorze. Spędziłam całe życie w obozach wojskowych. Nie nadaję się na bale i przyjęcia.

- Jednak chyba pragnie pani czegoś więcej niż wędrówka za tym czy innym oficerem i organizowanie gospodarstwa w *jednym* miejscu tylko po *to*, *żeby* zaraz przenosić się w drugie?

- Owszem.

- A więc przyznaje się pani. Tęskni pani do życia bardziej odpowiedniego dla młodej damy, życia pędzonego na salach balowych, salonach, pośród ogrodów i parków.

- Tego nie powiedziałam. Stwierdziłam tylko, że chciałabym zaznać czegoś więcej niż *wędrówki za tym czy innym oficerem*, jak to pan określił. Ale wcale nie musi być to życie wytworne, jak pan sobie to natychmiast wyobraził.

- A więc *czego* chce pani od życia? - Stał teraz tak blisko niej, że prawie czuła jego oddech na swej twarzy i ciepło jego ciała.

- Chciałabym... móc uczynić coś pożytecznego, być przydatna w taki sposób jak pan, coś *zrobić*.

- Właśnie się to pani udało. Dzisiaj zrobiła pani coś

bardzo użytecznego. Więcej nawet, pomoc pani jest wielkiej wagi. Teraz jednak, jeśli nie chcemy tego zmarnować, muszę przekazać wiadomości Wellingtonowi i pozostałym. Prawdę mówiąc, zwlekam z tym o wiele za długo. Nie zapomnę jednak, co uczyniła pani dla swojej ojczyzny. Dziękuję pani. - To rzekłszy, odszedł spieszenie, by jak najprędzej znaleźć się w sztabie i przystąpić do działania.

Sophia przez dłuższą chwilę stała przy drzwiach, patrząc, jak Mark się oddala. Myślała o tym, jak na nią patrzył, mówiąc: *Dzisiaj zrobiła pani coś bardzo użytecznego. Więcej nawet, pomoc pani jest wielkiej wagi.* A więc pojął, o co jej chodzi. W jego spojrzeniu odmalowało się zrozumienie, które w jej przekonaniu bardziej świadczyło o bliskości niż pocałunek.

Podmuch zimnego wiatru wiejącego od gór przeszedł przez ulicę, wzniesając obłoczki pyłu. Sophia owinęła się ciasniej szalem i otworzyła drzwi.

Lady Curtis siedziała dokładnie w tym samym miejscu, co w chwili wyjścia Sophii, i spokojnie zajmowała się swoją robótką, czekając na jakąś wiadomość od męża.

- Udało ci się pomóc majorowi?

- Mam nadzieję... - Sophia urwała i uśmiechnęła się na wspomnienie jego podziękowania. - Tak.

- To dobrze. - Matka Sophii ucięła nitkę i zaczęła szukać w koszyczku innego koloru, zupełnie jakby nie zauważyła rumieńca, który pojawił się na policzkach jej córki, ani też błysku w oczach. Ciekawe, jak sprawy potoczą się dalej. Lady Curtis była jednak pewna, że wizyty majora lorda Marka Adaira w ich domu staną się teraz znacznie częstsze.

## 9

Jednak musiało upłynąć nieco czasu, zanim major pojawił się na nowo w ich życiu. Owego wieczoru sir Thornton wrócił do domu wyczerpany i bardzo głodny, ale między jednym a drugim kęsem pieczonego kurczaka zdołał podziękować pasierbicy za pomoc.

- Rozumiem, że to na podstawie twojej decyzji wysłałem wsparcie do Cole'a, Stewarta i Hilla, broniących przełęczy z naszego prawego skrzydła zamiast do San Sebastian.

- Mojej decyzji? Ja tylko narysowałam obu mężczyznom portrety, na podstawie których major Adair zdecydował, który z nich mówi prawdę.

- Cóż, twoje rysunki okazały się trafne. Kiedy Wellington wrócił dziś wieczorem z San Sebastian, czekała na niego wiadomość od Cole'a. Został zaatakowany pod Roncesvalles. Oczywiście nie mogłem nakazać oddziałom wyruszyć na pomoc Cole'owi bez uzgodnienia z księciem, ale przygotowałem je do wymarszu w tamtym kierunku i pokazałem im mapy narysowane przez tego twojego majora Adair.

- To nie jest *mój* major Adair.

- Z tego, co słyszałem, jesteś jego *oczyma*; sam tak twierdził, a co więcej, jego zdaniem to tobie zawdzięczamy to, że mógł dokładnie przewidzieć, iż więk-

szość sił francuskich zaatakują nas od prawego, a nie od lewego skrzydła.

- Bardzo to uprzejme z jego strony, ale ja tylko narysowałam dwa portrety, on zaś podjął decyzję. - Chociaż przed ojczymem Sophia okazywała skromność, jednak tej nocy poszła spać bardzo zadowolona. Nie tylko zdołała zrobić coś użytecznego, zostało to również zauważone. Ilu mężczyzn zechciałoby docenić słusność osądu kobiety na tyle, by poprosić ją o radę... niewielu, jeśli w ogóle znaleźliby się jacyś. Nie potrafiła sobie także wyobrazić mężczyzny, który, spytawszy kobietę o radę, zastosowałby się do niej, a potem do tego przyznał.

Następnego dnia generał odjechał do Ostiz, by dowodzić oddziałami rezerwy, które szły na pomoc Cole'owi i Pictonowi pod Sourauren, i nie było go przez całą noc, gdyż jego powrót udaremniła gwałtowna burza. Obie panie czekały z niepokojem do późna, ale, pocieszając się myślą, że to właśnie szaleństwa pogody zatrzymały generała, poszły w końcu spać.

Kiedy sir Thornton wreszcie powrócił, był zmęczony, ale triumfujący.

- Soult musiał wycofać się do Francji. Poza garnizonami w Pamplonie i San Sebastian nie masz już Francuzów w Hiszpanii! - Zwrócił się do Sophii, unosząc podany mu przez żonę kieliszek madery. - Twoje rysunki pomogły nam to osiągnąć. Gdybyśmy uwierzyli temu drugiemu wieśniakowi i posłali wsparcie do San Sebastian, zostalibyśmy zepchnięci w stronę morza i trzeba by poświęcić długie tygodnie i wiele ludzkich istnień, by odzyskać nasze poprzednie pozycje.

- Dziękuję, sir. - Sophia uśmiechnęła się z wdzięcz-



nością. Generał rozumiał, lepiej niż jej matka, jak bardzo pragnęła pomagać i jak bardzo dręczyła ją bezczynność. - Myślałam...

- Tak?

Zawahała się. Pomysł przyszedł jej do głowy w środku nocy i wtedy wydawał się logiczny, ale teraz, kiedy miała go przedstawić innym, nie była pewna, czy nie okaże się zbyt śmiały.

- Umiem jeździć konno, patrzeć i rysować równie dobrze jak mężczyzna. Potrafię robić wiele rzeczy nie gorzej niż oficerowie zwiadowczy. Mogłabym obserwować pozycje nieprzyjaciela oraz jego ruchy, liczyć oddziały i nikt by się nie domyślił, że zajmuję się czymś więcej niż rysowaniem. Gdybym się tym zajęła, jeden z oficerów zwiadowczych mógłby wrócić do swojego pułku.

- Hmm. - Generał w zamyśleniu potarł się po brodzie. - To jest jakiś pomysł, ale nie sądzę, dało się go wprowadzić w życie. Jesteś kobietą.

- Ale potrafię jeździć konno, a nawet strzelać równie dobrze albo nawet lepiej niż większość mężczyzn.

- Spokojnie, moja panno. Nie wątpię w twoje umiejętności, a tym bardziej w twoją odwagę. Szczerze mówiąc, wolałbym mieć pod moją komendą ciebie niż niektórych moich oficerów. Jednak damy są w tych okolicach rzadkością. Francuzi zapamiętaliby twoją obecność o wiele łatwiej niż mężczyzny i szybko dodaliby dwa do dwóch. Mężczyzn zaś jest tutaj wielu i widząc jednego z nich, trudno jest mieć pewność, że to ten sam, którego widziało się wcześniej.

Sophia powoli pokiwała głową.

- Tak, rozumiem, o co chodzi, sir.

Jednak nie zrezygnowała ze swojego pomysłu i kilka dni później zadała to samo pytanie jednemu z oficerów zwiadowczych. Rysowała w najlepsze szesnastowieczny kościół Świętego Marcina, kiedy na dziedzińcu pojawił się zmierzający do sztabu Mark.

- Witam, panno Featherstonaugh.

- Dzień dobry, majorze. - Kilkoma celnymi kreskami Sophia wydobyła z nicości wysmukłą dzwonnice.

- Cieszę się, że znalazła pani sobie właściwszy przedmiot zainteresowania niż szpiedzy i donosiciele.

- W środku wojny szpiedzy i donosiciele są ważniejsi niż kościoły i krajobrazy.

- A zatem musi pani tęsknić do dnia, kiedy kościoły i krajobrazy będą się bardziej liczyć, a majorowie będą prosić panią do tańca, a nie o zidentyfikowanie zdrajcy.

- Już panu mówiłam, co myślę o balach i przyjęciach. Lubię poznawać majorów, którzy zajmują się czym innym niż tylko wymyślaniem pustych komplementów, by obdarzyć nimi swe partnerki w tańcu, przesiadywaniem u krawców czy też traceniem fortun na gry hazardowe.

- Jest to jednak znacznie bezpieczniejsze.

- Ach, bezpieczeństwo! - parsknęła w sposób zupełnie niegodny damy. - Poza tym już panu mówiłam, że chciałabym robić coś pożytecznego, a nie marnować życia na strojenie się na bale czy też przejażdżki po parku. Prawdę mówiąc, sama chciałabym zostać oficerem zwiadowczym.

- Co!?! - Na twarzy majora pojawił się wyraz zgrozy, równie mało pochlebny, co zabawny.

- Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Moim zda-

niem to całkiem niezły pomysł. Śmiem twierdzić, że znam całą sytuację równie dobrze jak pan. Spędziłam tu tyle samo czasu co pan, a może nawet więcej. Jako malarka potrafię obserwować. Sam pan przyznał, że dostrzegam więcej niż pan. I na pewno rysuję równie dobrze jak każdy oficer zwiadowczy. Poza tym jestem kobietą. Nikt nie będzie podejrzewał kobiety o to, że jest szpiegiem... to znaczy... o *zbieranie informacji*. Szkicownik stanowi doskonałą wymówkę i każdy, kto się do mnie *zbliży*, będzie dobrze widział, że zajmuję się malowaniem. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że równocześnie obserwuję ruchy wojsk. Odtworzę moje spostrzeżenia po powrocie do domu. - Jej wyniosły ton i dumny błysk w oku mówiły: „Spróbuj znaleźć jakiś błąd w moim planie!”

- Nigdy w życiu nie słyszałem podobnego nonsensu. Kobieta oficerem zwiadowczym! - prychnął Mark.

- A czemuż by nie, jeśli wolno zapytać? - Jeśli przedtem Sophia mówiła wyniośle, teraz jej ton stał się lodowaty. - Cóż jest w tym takiego niedopuszczalnego? Co też takiego pan potrafi, a ja nie?

- Co? Jeżdżę konno, to po pierwsze, a po drugie, jestem w stanie się obronić.

- Ja też.

Jej spokój zirytował go.

- Trafiam do celu na dwadzieścia kroków - odparł przez zaciśnięte zęby.

- Ja też. Z karabinu trafiam na sto.

- Słucham?

Widząc jego zdziwienie, Sophia uśmiechnęła się ponuro.

- Z karabinu. Zapomniał pan chyba, że spędziłam

*całe* moje życie na wojnie, a nie tylko od czasu ukończenia studiów tak jak pan.

Tego już było dla Marka za wiele.

- Bardzo dobrze. Proszę mnie przekonać.

- Kiedykolwiek i gdziekolwiek pan zechce.

- Powiedzmy, że jutro o dziesiątej, przy kapliczce, gdzie pani rysowała. Możemy użyć mojego pistoletu, ale karabin będę musiał od kogoś pożyczyć.

- Dziękuję, mam własny - zapewniła go Sophia spokojnie, a potem pochyliła głowę, by ukryć uśmiech, gdyż major odszedł pełen gniewu i niesmaku. Niechże wyśmiewa jej aspiracje, ona mu pokaże, jak bardzo jej nie docenił.

Jednak im bardziej się nad tym zastanawiała, tym mniej bawiło ją to, że major najzupełniej wątpił w jej umiejętności. Po ich poprzedniej rozmowie miała wrażenie, że Mark rozumiał, iż jej pobudki są takie same jak jego i wszystkich, którzy walczyli z Francuzami: miłość do ojczyzny, pragnienie, by powstrzymać Napoleona przed opanowaniem całej Europy, chęć uwolnienia Hiszpanów spod tyranii Francuzów. Myślała wtedy, że uznał, iż zdolna jest dopomóc w tej walce tak samo jak każdy żołnierz stacjonujący na Półwyspie Iberyjskim. Jakże się pomyliła.

Chociaż major Adair był jej wdzięczny za pomoc, a nawet podziwiał jej spostrzegawczość i talent portrecistki, najwyraźniej uważał ją za kobietę, która mając wybór, przedkładałaby salę balową na biwak, przyjęcie nad obóz wojskowy i rozrywki nad poświęcenie i służbę. Zniechęcona, Sophia złożyła swoje ołówki i schowała szkicownik do tornistra.

W minorowym nastroju Sophia wędrowała po wą-

skich, brukowanych kocimi łbami uliczkach w stronę domu, łajając się w duchu za to, że tak bardzo przejmuje się opinią jednego mężczyzny. Spędziwszy całe dotychczasowe życie w nietypowych warunkach, nauczyła się przecież myśleć i działać samodzielnie. Dorastając w atmosferze, w której czyny ceniono sobie bardziej niż słowa, zazwyczaj niezbyt przejmowała się tym, co myśleli o niej inni, o ile w ogóle zwracała na to uwagę. Ale teraz osąd jednego człowieka stał się nagle dla niej bardzo ważny. Do tego stopnia, że nie posiadała się z radości, gdy ją zrozumiał i docenił, a gdy tego nie uczynił, była zirytowana i pełna wątplenia. Jak to się stało i dlaczego?

Sophia odsunęła zasuwkę u drzwi i zanim weszła do środka, szybko rozejrzała się dookoła. W swoim obecnym nastroju nie miała ochoty nikogo widzieć. Słyszac głosy Jorgego i matki dobiegające z kuchni i widząc Marię i Teresę, gawędzące przy praniu na małym podwórku na tyłach domu, westchnęła z ulgą i przekradła się schodami na górę do swej maleńkiej sypialni, odłożyła tornister na stolik, którego używała jako biurka, nalała trochę wody do miski i umyła sobie twarz.

Nieco odświeżona, postanowiła nie myśleć na temat majora aż do ich spotkania jutro rano, po czym zeszła na dół, by pomóc matce.

O ile Sophia mogła odzyskać równowagę, oddając się pracom domowym, Markowi trudniej było wyrzucić ich dyskusję z pamięci. Im bardziej się nad nią zastanawiał, tym bardziej nie podobały mu się jego własne słowa.

Od samego początku znajomości z Sophią imponował mu jej talent, inteligencja i szerokie zainteresowa-

nia... cechy, które odróżniały ją od większości kobiet, jakie znał, kobiet, które najzupełniej zadowalały się rolą ozdoby w życiu mężczyzny i wydawaniem jego pieniędzy na poprawę swego wyglądu. To właśnie, że Sophia się od nich różniła, było dla niego magnesem. Dopóki jej nie poznał, nie przypuszczał, że kobieta także może być przyjacielem. Z nią mógł spędzić czas na miłej rozmowie na temat wspólnych zainteresowań, zupełnie tak jak z każdym zaprzyjaźnionym oficerem, i niezwykłość tej znajomości sprawiła, że pan-na wydawała mu się tym bardziej intrygująca.

Ale teraz, gdy okazało się, że Sophia różni się od innych kobiet do tego stopnia, iż rzuca mu wyzwanie w dziedzinach, w których uważał się za mistrza, nie było to dla niego wcale zabawne. Gdyby inny oficer uczynił to samo, co Sophia, Mark prawdopodobnie by potraktował jego słowa jako rzecz zwyczajną, zamiast okazywać kompletną niewiarę.

Dorósłszy pod okiem surowego i wymagającego ojca, który cenił tradycję, dzięki której rodzina książąt Cranleigh panowała nad całą okolicą od czasów Tudorów, i w towarzystwie brata, który również ściśle trzymał się konwenansów, Mark poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie oceniał ludzi wyłącznie na podstawie ich rangi albo wyglądu zewnętrznego, lecz tylko na podstawie ich własnych zalet i osiągnięć. Do dnia dzisiejszego postępował zgodnie z tą zasadą, co zresztą zdobyło mu szacunek w szeregach podkomendnych. Ale teraz wykazał się zaślepieniem i ciasnotą poglądów, w pełni godną swego ojca i brata. Widział to. Mówił o tym błysk irytacji w oczach Sophii i jej gniewnie zaciśnięte usta. Nie napawało go

to dumą, ale mimo to nie potrafił się powstrzymać. Z jakiegoś powodu myślał o tym, że Sophia miałaby zajmować się czymś niebezpiecznym, była dla niego wybitnie irytująca. Powiedział sobie, że to dlatego, iż jest artystką, a zadaniem takich ludzi jest tworzyć i inspirować, a nie zaś niszczyć lub brać udział w ohydzie wojny, ale w głębi ducha wiedział, że to dlatego, iż ona jest kobietą, i dlatego, że bardzo szybko zaczęła dla niego wiele znaczyć.

Następnego ranka Sophia wstała wcześniej niż zwykle, żeby upewnić się, czy jej karabin jest wyczyszczony jak należy. Uśmiechnęła się ponuro, przecierając lufę. Jeśli major lord Mark Adair był zaskoczony faktem, iż ona posiada taką broń, to zdziwiłby się jeszcze bardziej, wiedząc, że sama ją czyści i ładuje tak, jak nauczył ją sierżant Mapplethorpe wiele lat temu. Niepokoił się o bezpieczeństwo żony i córki lorda Harry'ego i zadbał, żeby chociaż Sophia wiedziała, jak się bronić. Sophia żałowała, że nie ma przy sobie sierżanta, ale wrócił on do Anglii razem z dwudziestym trzecim pułkiem huzarów wkrótce po śmierci jej ojca.

- Gotowa już panienska?

Sophia odwróciła się szybko, ale zobaczyła tylko Speena, stojącego w drzwiach i wyciągającego rękę po broń, którą właśnie skończyła czyścić.

- Tak, dziękuję, Speen. - Sophia sięgnęła po kapelusz i szpicrutę, po czym, przytrzymując jedną ręką spódnicę swojej amazonki, poszła za nim do stajni. Ku jej wielkiej uldze nie napotkali nikogo. Generał wcześniej rano udał się do sztabu, aby pracować nad planem ostatecznego ataku na San Sebastian, a matka, co słyhać było wyraźnie, komenderowała poko-



jówkami, które przygotowywały pościel do wietrzenia.

Sophia uspokoiła się nieco. Jeśli ktoś ją będzie pytał, powie, że jadą ze Speenem ćwiczyć strzelanie do celu, co nie jest kłamstwem, choć nie stanowi całej prawdy. Niechętnie ujawniła swoje plany nawet ordynansowi ojczyma, ale w tym względzie nie miała żadnego wyboru. Luis odmówiłby jej wprost i nie zechciałby jej towarzyszyć w tak niebezpiecznym przedsięwzięciu, a ponadto mógłby uznać za stosowne powiadomić o wszystkim generała. Speen, który, owszem, odnosił się krytycznie do pomysłu, zdawał sobie sprawę, że Sophia dotrzyma danej majorowi obietnicy bez względu na jego aprobatę. Z początku nie chciał udzielić dziewczynie pomocy, ale po jakimś czasie dał się przekonać.

- To mi się nie podoba, panno Sophio. Nie sądzę, żeby matka panienki czy też pan generał wyrazili zgodę na coś podobnego.

- Może nie, ale co miałam uczynić? Tu chodzi o mój honor, o honor mojej rodziny. - Na twarzy ordynansa pojawił się wyraz sceptycyzmu, który nieco zbił z tropu Sophię, ale dziewczyna nie zamierzała tak łatwo się poddać. - Speen, przecież nie chciałbyś, żeby się rozeszło, że ktoś z naszego domu odmówił przyjęcia wyzwania. Nie wypada, żeby ludzie gadali, iż pasierbica generała Curtisa nie dotrzymuje danego słowa.

Speen poddał się, widząc niezłomną determinację, malującą się w oczach młodej kobiety. W końcu lepiej, żeby był przy niej; przynajmniej będzie mógł jej dopilnować. Przeklinając w duszy wszystkie uparte młode pannice, zgodził się wystąpić jako sędzia w tym pojedynku.

- Tylko jeśli wykryje się, co panienka wyrabia, nie powiem, że ja na to wyraziłem zgodę, bo też i jej nie wyrażam.

- Oczywiście, Speen. Wezmę wszystko na siebie. - Sophia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Hmm. Nie na wiele mi się to przyda, kiedy generał zacznie mnie besztać.

- Przecież jesteś moim przyjacielem, Speen, i wiem, że nie chciałbyś, żebym nie dotrzymała danego słowa.

- Nie chciałbym, panienko Sophio. - Trochę już ułagodzony, Speen westchnął ciężko, a potem w jego niebieskich oczach pojawił się błysk. - Czy major zdaje sobie sprawę, z kim będzie rywalizował?

- Ostrzegałam go, ale nie sądzę, żeby wziął to na serio. - Oczy Sophii odpowiedziały podobnym błyskiem. Przekabaciła Speena na swoją stronę, tak jak chciała. Mógł udawać dezaprobatę, ale w rzeczywistości był równie dumny ze sprawności i umiejętności dziewczyny, jak i każdego z młodych oficerów swego pułku.

Gdy znaleźli się w umówionym miejscu, major i jego ordynans już tam byli i mierzyli krokami pole za kapliczką. Ugorowane od dłuższego już czasu, pole to było stosunkowo równe i płaskie.

- Pomyślałem, że oprócz strzelania możemy zmierzyć się w jeszcze jednej dziedzinie - powiedział Mark na powitanie. - Jak sama pani stwierdziła, jazda konna jest równie ważna dla oficera zwiadowczego, jak umiejętność posługiwania się bronią. Dlatego też Finbury i ja wytyczamy trasę wyścigu. - Wskazał kilka wbitych w ziemię palików wyznaczających kształt zbliżony do owalu.

- Dobrze. - Sophia zsunęła się z grzbietu Atalanty

i sięgnęła po karabin, którą podał jej Speen. - A gdzie są tarcze?

- To potem. Najpierw wyścig.

- Ależ to nie ma sensu. Jazda konna męczy ręce i potem jest trudniej celować.

- Wydawało mi się, iż chce pani udowodnić swoje kwalifikacje na oficera zwiadowczego.

- Tak, ale...

- Rzadko, albo prawie nigdy się nie zdarza, żebyśmy mogli wybierać, czy najpierw chcemy galopować, czy też strzelać.

- Niech i tak będzie. - Ignorując Speena, który chciał jej pomóc, Sophia wskoczyła na grzbiet swojej klaczy. - Jestem gotowa.

- Świetnie. Zaczynamy i kończymy w tym miejscu. - Major wskazał linię nakreśloną na ziemi między dwoma pokrzywionymi jabłonkami. - Na „trzy” Finbury wystrzelił z pistoletu, a my pokonamy trasę jeden raz.

Sophia podjechała do linii i mocno uchwyciła wodze. Im bardziej słowa majora stawały się zwięzłe i rzeczowe, tym bardziej pragnęła go pokonać za wszelką cenę. Rzuciła okiem na Speena, który kiwnięciem głowy dodał jej otuchy, a potem skupiła uwagę na Finburym.

Kierując broń do góry, ordynans powiedział: „Raz, dwa, trzy”. Padł strzał, a Sophia wbiła obcasy w boki Atalanty i pochyliła się nisko nad jej szyją. Wiedziała, że major jest znakomitym jeźdźcem, a jego wierzchowiec był niewątpliwie doskonały. Poza tym Cezar był wyższy od Atalanty o dwadzieścia centymetrów, przez co, mimo większej wagi, Mark miał nad nią przewagę. Będzie musiała to nadrobić dobrą jazdą.

Przy pierwszym paliku był o pół długości przed nią, przy drugim dystans odrobinę się zmniejszył, gdyż teraz pysk Atalanty znajdował się na wysokości barku Cezara, przy czwartym sięgnął szyi, ale mimo wszelkich swoich starań Sophia przegrała wyścig o nos.

O ile dziewczyna nie była zbyt zadowolona z wyniku, o tyle Mark nie posiadał się ze zdumienia. Rywalizując ze swymi kolegami, zazwyczaj wygrywał, więc spodziewał się łatwego zwycięstwa. Zwykle też dawał pewne fory przeciwnikom, ale teraz, poirytowany uporem Sophii, postanowił przynajmniej na początku jechać tak ostro, jakby ścigał się z najlepszymi przeciwnikami, a kiedy już zyska wystarczającą przewagę, pozwoli Cezarowi odpocząć, by nie niszczyć do reszty złudzeń dziewczyny. Bądź co bądź on jest dżentelmenem, nawet jeśli jego oponentka nie chce zachowywać się jak dama. Tyle tylko że ani na chwilę nie zyskał owej stosownej przewagi...

- Co za wspaniały wyścig. Dawno czegoś takiego nie widziałem. Doskonale panienka jeździ, bo nigdy nie widziałem, żeby ktoś był bliski wyprzedzenia jej lordowskiej mości. Jeszcze kilka długości, a wygrałaby panienka. - Wyraźny podziw Finbury'ego ani na jotę nie poprawił nastroju jego pana.

- Dziękuję. - Wsunąwszy luźny kosmyk włosów pod kapelusz, Sophia pochyliła się nad szyją Atalanty i wyciągnęła rękę. - Doskonale się pan sprawił, majorze. Dawno nie miałam tak trudnego przeciwnika. - Oczy dziewczyny lśniły podnieceniem, a jej rycerskie zachowanie sprawiło, że Mark poczuł się jak ostatni grubianin.

Próbując odzyskać panowanie nad sobą, a także

nad sytuacją, zsiadł z konia i podszedł, by pomóc jej znaleźć się na ziemi.

- Co teraz pani wybiera: pistolety czy karabiny?

- Pistolety. Dajmy sobie odpocząć, zanim stanemy do prawdziwie trudnego zadania.

- Doskonale. - Mark skinął na Finbury'ego, który umieścił cel na jednym z palików, które wytyczały tor wyścigowy. - Ponieważ przegrała pani poprzednią konkurencję, a w dodatku nie zna pani mojego pistoletu, daję pani prawo do strzału próbnego. - Mark podał broń Speenowi, który przekazał ją Sophii.

- Dziękuję. - Dziewczyna ujęła pistolet, zważyła go w dłoni, a potem wystrzeliła, celując w jabłko zwisające z gałęzi pobliskiego drzewa. - Trochę odrzuca na lewo, prawda?

- Istotnie - odparł Mark, patrząc ponurym wzrokiem, jak Sophia ładuje broń.

Młoda kobieta wzięła kilka głębokich wdechów. Widziała, że jej przeciwnik z trudem panuje nad irytacją i zaskoczeniem, że jak na razie wie dzie jej się całkiem nieźle, i tym bardziej chciała pokazać, co potrafi. Przygryzła dolną wargę, wstrzymała oddech, wymierzyła i nacisnęła spust. Palik zadrżał, ale cel został na swoim miejscu.

Musnęła go, pomyślał Mark i pozwolił sobie na pełen wyższości uśmiezek, podczas gdy Speen popatrzył przez ramię na Sophię i posłał jej perskie oko.

- Trafione w sam środek, doskonały strzał - oznajmił Finbury, zdejmując cel.

Gniewnie zaciskając szczęki, Mark odebrał Sophii pistolet, naładował go, wycelował i strzelił. Cel sfrunął na ziemię.

- Musnąłem go - mruknął Mark.

Tym razem Speen poszedł do palika.

- Cóż, trafił pan w samą krawędź, sir. - Ordynans generała nawet nie usiłował ukryć radości. - A teraz wymierzmy odległość dla karabinu. Sto jardów, tak pani mówiła, panienko Sophio?

- Tak, sto, ale tym razem to pan major ma prawo do strzału próbnego i strzela pierwszy.

Speen podniósł cel muśnięty przez Marka i umieścił na paliku nowy, tym razem większy, kartę wyrwaną ze szkicownika Sophii, a potem wrócił do grupki zebranych, podał majorowi karabin, a potem odmierzył odległość krokami.

Mark zrezygnował ze strzału próbnego, podniósł broń do ramienia, tym razem mierząc o wiele staranniej. Wstrzymując oddech, wystrzelił, modląc się, by tym razem kula trafiła w sam środek celu.

- Wyśmienity strzał, sir - zauważył Speen, zdejmując kartkę papieru, na której wyraźnie widać było dziurę po kuli wewnątrz koła otaczającego punkt wyznaczający środek tarczy.

Strzał był dobry, ale czy to wystarczy? zastanawiał się Mark, wręczając karabin Speenowi. Dowiedział się już dostatecznie dużo, by stracić pewność siebie, a jego nastrój nie poprawił się w najmniejszym stopniu na widok tego, jak Speen podał karabin Sophii, by ta sama go załadowała.

Pokonawszy majora przynajmniej w jednej konkurencji, Sophia już się tak nie denerwowała, więc ze spokojem uniosła karabin i wypaliła.

- A niech mnie diabli! - Finbury ze zdumieniem podniósł tarczę. Pocisk przebił ją dokładnie w samym środku.

- Panienska strzela jak anioł, nieprawdaż? - stwierdził Speen z dumą. - Nikt z całego pułku nie jest w stanie pokonać córki lorda Harry'ego.

- To kwestia obserwacji - włączyła się skromnie Sophia. Grymas wściekłości na twarzy jej przeciwnika był jej wystarczającą nagrodą. Teraz już nikt nie będzie po wątpiewał w to, że ona potrafi się sama obronić.

- Ależ oczywiście. - Wcale na to nie wyglądało, by major zrozumiał, o co jej chodzi.

- Jako malarka nauczyłam się dokładnie wymierzać odległości i rozmiary z większą precyzją niż zwykli ludzie.

- To kwestia opanowania, które posiadasz, pani, w wielkim stopniu. - Mark mówił tonem, który wyraźnie świadczył o tym, że wcale nie uważa tej cechy za szczególnie godną podziwu.

- Oczywiście, że opanowanie jest bardzo istotne. Jeśli ktoś nad sobą nie panuje, nie osiągnie doskonałości w żadnej dziedzinie. - Sophia nie wiedziała, dlaczego tak się tłumaczy, ale wypowiedź jej przeciwnika sugerowała, że opanowanie to jakaś wada, a nie zaleta.

Mark po raz drugi zacisnął gniewnie zęby. Panna mówiła tak, jakby każdy, kto nie panował absolutnie nad sobą i swoim życiem, był szalonym i impulsywnym poszukiwaczem tanich podniet, osobą, która nie jest w stanie wykonać żadnego, nawet najprostszego zadania.

- Tylko że nadmiar opanowania tłumi twórcze myślenie i hamuje zdolność do szybkiego działania. Prawdę mówiąc, większość żołnierzy nie nadaje się na oficerów zwiadowczych, bo są tak przyzwyczajeni do wykonywania rozkazów i porządku, że nie potrafią myśleć samodzielnie w trudnych sytuacjach,

które wymagają pomysłowości, sprytu i odwagi, a te zaś cechy są niezbędne dla oficera zwiadowczego.

- A więc mimo że pokonałam pana w dwu z trzech prób, jakie mi pan sam wyznaczył, wciąż uważa pan, że nie nadaję się na oficera zwiadowczego. - Sophia mówiła spokojnie, ale w jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski. - Gdybym była dowódcą, zmuszonym polegać na informacjach dostarczanych mi przez kogoś innego, wolałabym, by ten ktoś był godny zaufania raczej niż śmiały, ale widzę, że pan się ze mną nie zgadza. Dziękuję, majorze, za bardzo interesujący poranek i życzę miłego dnia.

Mówiąc te słowa, Sophia oddała karabin Speenowi, chwyciła uzdę Atalanty, wskoczyła na jej grzbiet i pogalopowała do Lesaki, ani razu nie oglądając się za siebie.



## 11

Sromotnie pokonany i pozostawiony sam sobie, Mark powoli podszedł do Cezara i wspiał się na jego grzbiet. Nie wyruszył jednak do Lesaki, zamiast tego skierował się na przełaj w stronę Bidasoa. Musiał sobie to i owo przemyśleć w samotności, a dzikie piękno skalistych wzgórz wznoszących się nad rzeką doskonale pasowało do zamętu, jaki zapanował w jego myślach.

Wyzwał Sophię do rywalizacji, gdyż w pierwszej chwili zirytowało go jej dziwaczne pragnienie, by zostać oficerem zwiadowczym, i dlatego, że chciał udowodnić jej, jak bezsensowny i nierealny jest ten pomysł. Dziewczyna okazała się jednak godnym przeciwnikiem w pierwszej konkurencji, zaś w dwu pozostałych pobiła go na głowę, a słowa, które wypowiedziała na pożegnanie, sprawiły, że zaczął poważnie w siebie wątpić. Czyżby rzeczywiście był porywczym i szalonym poszukiwaczem nowych wrażeń? Owszem, nieraz słyszał, jak inni krytykowali oficerów zwiadowczych za ich upór i nadmierną niezależność, które sprawiały, że nie stosowali się do rozkazów swoich dowódców, i za ich skłonność do niepotrzebnego narażania się na niebezpieczeństwo tylko po to, by móc górować nad innymi, ale dotychczas uważał, że on stanowi wyjątek od tej reguły. Był śmiały, ale zawsze świadomie podejmował ry-

zyko. Dokładnie sobie wszystko rozważał i starał się, by informacje, które w ten sposób uzyska, były rzeczywiście istotne.

Nie wykonywał powierzonych sobie zadań dla poklasku, prawdę mówiąc, tęsknił za swoim pułkiem kawalerii. Choć potrafił radzić sobie w pojedynkę, szybko przenosić się z miejsca na miejsce i, w zależności od zaistniałych okoliczności, błyskawicznie zmieniać sposób działania, nie kierował się impulsami. Nigdy nie tracił z oczu swego głównego celu, którym zawsze było: zdobyć informacje, zostać przy życiu i uniknąć schwymania tak długo, by zdążyć przekazać je zwierzchnikom. Mark przypisywał swoje niezwykle sukcesy właśnie temu, że nigdy nie został ranny i nie dostał się do niewoli. A teraz, w jednej krótkiej chwili, Sophia podała to wszystko w wątpliwość, sugerując, że pokonała go właśnie dzięki temu, iż zbrakło mu opanowania.

Spośród mężczyzn w jego rodzinie on był tym, który prowadził najbardziej barwne życie. Ojciec i brat nieustannie wytykali mu wykroczenia przeciwko konwenansom i etykietce. On zaś wcale nie starał się celowo łamać zasad, które były im tak drogie, domagał się tylko, by podano mu powody, dla których miałyby się ich trzymać. Tak ojciec, jak i brat traktowali jego próby wypracowania sobie własnego systemu wartości jako otwarty bunt.

Teraz jednak zaczął się zastanawiać. Młoda kobieta, której życie nie toczyło się wcale według utartych torów, najwyraźniej doszła do tych samych wniosków, co jego ograniczona rodzina. Czyby więc był w istocie nierozważny, niezdyscyplinowany i nieopanowany? Czy Wellington także to w nim dostrzegł

i dlatego odebrał mu komendę nad oddziałem kawalerii i zlecił mu zadania oficera zwiadowczego?

Mark *zapatrzył* się w wodę kłębiącą się w dole dookoła skał. Nigdy dotąd w sobie nie wątpił. Kiedy ojciec wygłaszał mu kazania albo brat wypowiadał się krytycznie na temat, jak *to* określał, jego lekkomyślnego trybu życia, Mark w głębi serca wiedział, że postępuje słusznie. Może nie wypełniał wszystkich obowiązków wobec swojej rodziny, ale walczył za ojczyznę. Nie stosował zasad obowiązujących w wielkim świecie, ale trzymał się reguł oficerskiego kodeksu honorowego.

Dotychczas lord Mark Adair nie miał powodów, by zastanawiać się, czy rzeczywiście ma rację, jednak kilka słów wypowiedzianych przez młodą dziewczynę sprawiło, że zaczął kwestionować wszystko: swoje umiejętności, swoje intencje, cały sens własnego życia.

Wrócił do kwatery głównej w ponurym nastroju, lecz zaraz okazało się, że atak na San Sebastian został rozpoczęty.

- Nadal uważam, że najgorsze jest to, że musimy atakować w biały dzień - stwierdził książę, gdy Mark podszedł do grupy oficerów zgromadzonych dookoła wielkiej mapy, którą wykonano na podstawie rysunków Sophii. - Ci nieszczęśnicy muszą pokonać plażę, pozostając całkowicie na widoku. Adair, chłopcze, dowiedz się od Grahama, jak mu idzie. Godzinę temu poprosił o ochotników do pomocy piątej dywizji przy ataku na wyłom w murach. Wydaje się, że mają spore trudności.

Działanie jest zawsze najlepszym lekarstwem na zły humor. Mark przyjął rozkaz z ulgą, wskoczył na grzbiet Cezara i pognął w kierunku San Sebastian.

Odnalazł generała Grahama otoczonego przez grupę oficerów na wydmie, górującej nad płaskim odcinkiem plaży przy ujściu rzeki Urumea. Ich miny nie wróżyły nic dobrego. Gdy Mark zbliżył się do nich, generał zwrócił się do dowódcy artylerii:

- Masz rację, Dickson, jedynym sposobem na to, by ci chłopcy nie oddawali swojego życia nadaremnie, jest zrobić w murze wyłom na tyle duży, by mogli przedostać się do środka, ale wcale mi się to nie podoba. - Pokręcił głową z niezadowoleniem. - A co gorsza, nie ma sposobu, żeby dać im znać, co ich czeka.

- Tak jest, sir. - Pułkownik Dickson oddalił się, by przekazać rozkaz swoim oddziałom. Wkrótce potem rozległ się ogłuszający huk, gdy baterie umieszczone na wydmach otworzyły ogień w kierunku umocnień San Sebastian. Gdy dymy zaczęły się rozwiewać, Mark ujrzał kolumnę czerwonych mundurów, która, kryjąc się pod murem, ruszyła przez rumowisko do wyłomu utworzonego przez pociski.

- Chyba wreszcie San Sebastian będzie nasze. - Generał Graham otarł czoło i odetchnął z ulgą. - Plan był ryzykowny, ale się powiódł. Chłopcy będą mogli teraz pomału zajmować miasto, co oczywiście trochę potrwa, ale szala przechyliła się już na naszą korzyść.

Na takie właśnie słowa czekał Mark. Pogratulował generałowi, wskoczył na grzbiet Cezara i pogalopował z powrotem do Lesaki.

Kiedy znalazł się na ostatnim wzgórzu przed miastem, jego wzrok padł na pokręcone drzewo, pod którym po raz pierwszy zobaczył Sopię przy szkieletniku, i na jedną krótką chwilę zwolnił. Ogarnęła go szalona chęć, by pognać prosto do kwatery generała

Curtisa i powiadomić dziewczynę, że atak, w którego przygotowaniu tak pomocne okazały się jej rysunki, trwa i wkrótce zakończy się powodzeniem. Jednak zaraz miłe wspomnienia zatarło w jego pamięci przypomnienie ich ostatniego spotkania i słów pełnych wzgardy, jakie dziewczyna rzuciła mu na pożegnanie. *Gdybym była dowódcą, zmuszonym polegać na informacjach dostarczanych mi przez kogoś innego, wolałabym, by ten ktoś był godny zaufania raczej niż śmiały.* Mark zacisnął zęby i popędził konia, starając się wyrzucić z pamięci wszelką myśl o Sophii Featherstonaugh i jej protekcjonalnej krytyce.

Major doznałby prawdopodobnie pociechy, wiedząc, że młoda dama, której uwagi sprowokowały tyle autorefleksji, w tej samej chwili poddawała swoją własną osobę wnikliwej analizie i w równym stopniu była niezadowolona z jej wyników.

Zwyciężywszy w konkursie strzeleckim, Sophia usiłowała wyładować swą irytację, galopując jak szalona do domu. Gdy, wzniesając obłok kurzu, znalazła się wśród pierwszych zabudowań wioski, jej gniew nie ostygł ani na jotę, więc jechała dalej, aż jej klacz, której wysiłek podczas wyścigu wystarczył najzupełniej, zaczęła okazywać oznaki zmęczenia.

- Wybacz mi, Atalanto. - Sophia poklepała gładką końską szyję, teraz ciemną od potu. - Zapomniałam, że się już dzisiaj dobrze wybiegałaś. Powinnam w jakiś inny sposób wyładować moje humory. Może należałoby wrócić nad rzekę i popracować nad obrazkiem.

Jednak kiedy odprowadziła konia do stajni, zdjęła amazonkę, która kleiła się do jej spoconego ciała, umyła twarz w zimnej wodzie i przebrała się w suk-

nię spacerową z muślinu w kolorze lila, wciąż jeszcze była wściekła.

Idąc w stronę rzeki, była przekonana, iż irytacja nie pozwoli jej malować. Jednak w czasie marszu w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że przyczyną jej irytacji nie był brak wiary we własne zdolności, jaki okazywał major, lecz jego sugestie, iż ona, Sophia, jest osobą sztywną. Ustawiając sztalugi tak, by mogła patrzeć na rzekę, usiłowała dojść do tego, co tak ją w tej sugestii gniewało.

Od czasu kiedy Sophia była już dostatecznie dużą dziewczynką, by martwić się, kiedy ojciec nie wracał na noc do domu, ale wciąż jeszcze na tyle małą, by przerażały ją gwałtowne i hałaśliwe przejawy jego dobrego humoru, okazywane po wieczorze spędzonym na hulance, postanowiła sobie, że sama nigdy nie stanie się kimś równie dziwnym. Kiedy z powodu długów karcianych ojciec nie mógł spełnić swoich obietnic, dotyczących kupna nowego ubrania, kiedy wracał do domu, pachnąc perfumami innej kobiety, przysięgła sobie, że w przeciwieństwie do niego nigdy nikomu nie sprawi zawodu. Będzie osobą, na której można polegać bez względu na okoliczności. Nieregularny zaś dopływ i tak skromnych dochodów nauczył zarówno Sopię, jak i jej matkę, skąpić, oszczędzać i planować. Często widziały, jak nagły przypływ szczodrobliwości ze strony ojca może wpłynąć na jakość ich posiłków w następnych długich miesiącach, nie wspominając o tym, że mógł on także spowodować, iż stać je było na ogrzewanie niektórych tylko pomieszczeń.

Do tej chwili Sophia zawsze uważała, że panowanie nad sobą i własnymi uczuciami oraz umiejętność

organizowania i planowania to coś dobrego. Teraz jednak zaczęła w to powątpiewać. Czyżby traciła coś, myśląc najpierw, a dopiero potem reagując? Czy zagubiła gdzieś radość życia, starając się unikać skrajności? Czy to możliwe, że jej dążenie do działań racjonalnych nie jest niczym innym jak zimnym wyrachowaniem i że próbując zostać osobą poważną i godną zaufania, zdołała tylko stać się mniej godna miłości i mniej twórcza?

Lord Harry bez wątpienia naraził swoją żonę i córkę na wiele ciężkich prób, ale dla reszty świata, której nie musiał karmić, przyodziewać ani też utrzymywać, był uroczym kompanem. W najgłębszych zakamarkach pamięci Sophia przechowywała obraz ojca jako ulubieńca wszystkich, a jego żołnierze zawsze przechwalali się swoim kolegom, jak to kapitan lord Harry świetnie jeździ konno, jaki jest odważny, jakich szaleńczych czynów potrafi dokonać, by wyróżnić się w bitwie, by dotrzeć jak najdalej w głąb linii obrony Francuzów. Sophia nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktokolwiek był w stanie zrozumieć, że dla własnej żony i córki życie stało się znacznie mniej denerwujące bez szalonego lorda Harry'ego, tak szczerze opłakiwanego przez kolegów z pułku dwudziestego trzeciego.

Sophia z westchnieniem sięgnęła po pędzel, mając nadzieję, że wszystkie te refleksje ulecą z jej świadomości, gdy tylko zajmie się malowaniem, ale udało się jej to osiągnąć tylko po części. Co jakiś czas powracała myśl, że może gdyby mniej pomagała matce w pracach domowych, malowałaby lepiej i z większą łatwością; potrafiłaby oddać dzikie piękno tych oko-

lic zamiast tworzyć blade ich imitacje, co właśnie w tej chwili miało miejsce.

W końcu zrezygnowała z niezadowoleniem i, spakowawszy swoje przybory malarskie, powoli powędrowała do domu, wciąż zadając sobie pytanie, czy major rzeczywiście tak o niej myślał, czy też jego uwagi wynikały z frustracji wywołanej tym, że przegrał z kobietą.



## 12

Przez kilka dni Sophia nie miała nic innego do roboty i mogła do woli rozmyślać nad swoim problemem, podczas gdy Mark, bezustannie wożący wiadomości do i od oddziałów oblegających San Sebastian, nie miał ani jednej wolnej chwili aż do wieczora, kiedy to Graham, rozwijając kartkę z najnowszymi rozkazami Wellingtona, zauważył:

- Książę ma wielkie szczęście, że to ty jesteś jego posłańcem, Adair, nie ma lepszego ani szybszego niż ty jeźdźca na całym Półwyspie Iberyjskim.

Podziękowawszy generałowi, Mark skierował Cezara w stronę Lesaki i wtedy w jego wyobraźni pojawiła się wysmukła postać w ciemnoszarej amazonce, pochylona nad karkiem szybkiej, gniadej klaczy, jaki zakończyłyby się ich wyścig, gdyby trasa była o kilkaset jardów dłuższa? Kto okazałby się lepszym jeźdźcem? Spóźniony start Sophii wynikał z faktu, że miała mniejszego konia, ale to, że tak szybko nawiązała walkę z majorem, świadczyło o jej wysokich umiejętnościach. A on, jak ostatni gbur, nie chciał jej tego przyznać. Czy zachowywałby się podobnie, gdyby chodziło o oficera? Mark parsknął ironicznie, pochylając się nad karkiem Cezara i galopując w zapadający zmierzch. Nie. Gardziłby takim żałosnym zacho-

waniem, wręcz przeciwnie - zadbałby o to, by wyrazić należyty podziw, a nawet zachwyt dla wspaniałej jazdy i doskonałych umiejętności strzeleckich kolegi. Dlaczego więc nie zachował się tak wobec kobiety?

Teraz, kiedy przestała go irytować sugestia Sophii, iż jest nieodpowiedzialny i lekkomyślny, musiał przyznać, że jego własne zachowanie w najmniejszym stopniu nie było godne pochwały, i postanowił ją przeprosić przy najbliższym spotkaniu.

Okazja trafiła się wcześniej niż przypuszczał. Ku swojemu zdziwieniu, oddawszy wiadomość od Grahama do Wellingtona i wróciwszy do swojej kwatery, kogóż to ujrzał na wielkich kamiennych stopniach wieży, w której mieszkali oficerowie, zawiązującego wstążki u czepka, jak nie młodą damę w własnej osobie?

- Panno Featherstonaugh, co u licha tu pani wyrabia?

Sophia podniosła oczy i, poznając majora, uniosła z pewnym zdziwieniem brwi. Większość tutejszych wojskowych była tak przyzwyczajona do jej widoku, że żadnemu nie przyszłoby do głowy zadawać jej podobnego pytania. Opanowała irytację i odparła najłagodniej jak potrafiła:

- Pułkownik Taylor ma gorączkę, a że doktorzy mają teraz dużo rannych, mama i ja zajmujemy się jego pielęgnacją.

Mark przygryzł wargę.

- Przepraszam. Nie było moją intencją zwracać się do pani tak apodyktycznie. Tyle tylko, że właśnie myślałem o pani i dokładnie w tej samej chwili natknąłem się na nią.

- Myślał pan o mnie?

- Tak. - Uśmiechnął się ze skruchą. - Zdaję sobie

sprawę, że zachowałem się wobec pani w najwyższym stopniu niewłaściwie.

Sophia *otworzyła* usta, by mu odpowiedzieć, ale powstrzymał ją gestem.

- Niech pani pozwoli złożyć mi moje przeprosiny. Jest pani znakomitą amazonką i strzela pani doskonale, zaś ja nie wyraziłem pani należytego podziwu.

- Ależ dziękuję, majorze, ale nie musi pan tłumaczyć się, dlaczego nie wygłosił pan paru komplementów. - Przyjmując te przeprosiny, Sophia pomyślała, że zasadniczy punkt ich sporu został pominięty, a mianowicie, czy jej umiejętności kwalifikują ją na oficera zwiadowczego.

- Muszę. - Zmieszany nieco chłodem dziewczyny, Mark zszedł za nią po schodach. - Nie tylko nie uznałem pani niewątpliwych umiejętności, ale również zachowałem się, hm, ee, nie po rycersku.

Sophia popatrzyła na niego badawczo. Mówił szczerze. W jego głosie brzmiało zakłopotanie, a w jego całej postaci widać było skrępowanie. Bardzo dobrze. Odrobina refleksji nad własnym postępowaniem nie zawadzi śmiałemu majorowi lordowi Markowi Adair.

- Widzi pani - ciągnął Mark - nie spodziewałem się takiej klęski. Chociaż może wydam się pani zadufany w siebie, przywykłem wygrywać w takich zawodach nawet z moimi kolegami. Przegrana w strzelaniu i niewielkie tylko zwycięstwo w wyścigu to nie fraszka, a fakt, że moim rywalem była młoda kobieta, jeszcze bardziej pogarsza całą sprawę. Obawiam się, iż pragnąłem pomniejszyć pani osiągnięcia, insynuując, że jest pani sztywna i przesadnie opanowana.

- Niech się pan tym więcej nie trapi, majorze. To,

iż powiedział mi pan, że jestem sztywna, nie jest aż tak straszną obelgą, jak pan sugeruje. Poza tym prawdopodobnie ma pan rację: być może w istocie jestem właśnie taka.

- O, nie, to niemożliwe. Nie malowałyby pani nawet w połowie tak dobrze, gdyby to była prawda. Tylko że ja... - Urwał usiłując sprecyzować swoje myśli.

- Pan? - Teraz już Sophia nic nie rozumiała. Wyraz jego oczu i gorzki grymas ust mówiły jej, że chodzi o coś znacznie więcej niż wyścig konny i zawody strzeleckie.

- Przegrałem na całej linii i żeby jakoś się z tym pogodzić, przypisałem pani cechy, jakich sam nigdy nie chciałbym posiadać, określiłem panią jako osobę, którą uznałbym za godną wzdargy. Sztywni ludzie, którzy lubią dominować nad innymi, to coś, czego najbardziej nie znoszę. Prawdę mówiąc, właśnie z powodu takich osób wstąpiłem do armii i wyjechałem z Anglii.

- Co to za osoby?

Mark skrzywił się. Jest nazbyt bystra, by zbyć ją ogólnikami.

- Mój ojciec i brat. Przez całe życie próbowali zrobić ze mnie kogoś, kim nigdy nie zostanę, zmusić mnie do życia według długiej listy zasad i nakazów tradycji i konwenansu, stanowiących istotę ich egzystencji, ale ja zawsze z nimi walczyłem. Widziałem bowiem, jak ślepe poddanie się nakazom obowiązku i przyzwoitości potrafi zabić ciepło i radość życia, a nawet człowieczeństwo, i nie zamierzam stać się kimś podobnym.

- Z pewnością jest to przesada. Nie byli przecież aż tacy zimni i pozbawieni uczuć. A co z pańską mat-

ką? Czyżby jej obecność nie łagodziła ich srogości?

- Moja matka? - Gorycz w jego głosie stała się jeszcze wyraźniejsza. - Ona stała się ich główną ofiarą. Cała miłość i ciepło, które stanowiły zasadniczą cechę tej czułej i kochającej istoty, zostały zmrożone przez ich ciągłą dezaprobatę. *Nie psuj ich*, tak zawsze jej mówiono, ilekroć była hojna dla służby albo kiedy współczuła mi w jakimś dziecięcym strapieniu. Bez przerwy krytykowano ją za to, że nie postępuje, jak przystało księżnej, że nie zachowuje należytego dystansu i godności. W końcu musiała odsunąć się od wszystkich poza kilkoma osobami, które mój ojciec uważał za godne jej uwagi. Zaczęła chorować i umarła, przede wszystkim z powodu swojej samotności.

- Jakie to smutne. - Sophia położyła dłoń na ramieniu majora. - Przykro mi.

Mark przytrzymał jej rękę, zastanawiając się, ile współczucia może zawierać się w jednym drobnym geście. Łagodnie ujął jej długie, smukłe palce i podniósł je do ust.

- Dziękuję pani. Nikt inny nie jest w stanie tego zrozumieć. Zazwyczaj składają winę na klimat albo twierdzą, że przesadzam, ale...

- Ale jeśli jako kochający syn wyczuł pan właśnie coś takiego, z pewnością miał pan rację. Zbyt często ludzie szukają wyrozumowanych wyjaśnień zamiast od razu przejść do sedna sprawy. My, Brytyjczycy, szczególnie jesteśmy tu winni, bo nie lubimy wyrażać ani też analizować naszych uczuć i w rezultacie bardzo wiele tracimy.

Mark uściśnął lekko dłoń Sophii.

- Pani jednak nie jest taka. Widzi pani ukryte uczu-

cia i potrafi uchwycić je w taki sposób, że przenikają obraz przez panią namalowany. Wie pani, jak silne emocje potrafią wpłynąć na charakter człowieka.

- Aż nazbyt dobrze. - Tym razem to w głosie Sophii zabrzmiało rozgoryczenie. - Widziałam, jak samopobłażanie prowadzi do egoizmu i utraty hamulców, co może okazać równie, jeśli nawet nie bardziej szkodliwe dla innych, jak nadmierny chłód i obojętność. - W zamyśleniu zapatrzyła się w gęstniejący mrok, kontrastujący z blaskiem dobiegającym z okien oficerskich kwater, ale Mark dostrzegł nieznaczące drżenie jej warg i trzepotanie gęstych, ciemnych rzęs, jakby dziewczyna chciała powstrzymać niepożądane łzy.

Jakże bardzo musiała cierpieć w wyniku bezmyślności lorda Harry'ego. Jako mała dziewczynka z pewnością uwielbiała ojca, słynącego z uroku osobistego w równym stopniu jak ze swojej niesolidności, i niewątpliwie tysiące razy czuła do niego żal, gdy nie wrócił do domu albo zapomniał o danej obietnicy. Ojciec Marka, zimny i trzymający dzieci na dystans, przynajmniej zachowywał się w sposób możliwy do przewidzenia i tym dawał wrażenie bezpieczeństwa, jeśli nawet nie przywiązania. Owo poczucie bezpieczeństwa było tak silne, że Mark przez dłuższy czas mylił je z miłością do rodziciela, dopóki nie dorósł i nie nauczył się tych uczuć od siebie odróżniać. Sophia nie dostała od swego ojca nawet tego.

- Niepohamowane korzystanie z przyjemności życia może sprawić, że człowiek staje się tak zapatrzony w siebie, iż może się wydawać znacznie zimniejszy i bardziej wyzbyty z uczuć niż ktoś, kto poświęca się dla obowiązku, gdyż taka osoba przynajmniej zwraca

uwagę na innych, czując się do tego zobowiązana konwenansem. - Mark poczuł, jak palce dłoni, spoczywającej na jego rękawie, zaciskają się mimo woli ich właścicielki.

Sophia nie patrzyła już gdzieś w dal, lecz przyjrzała mu się ze zdziwieniem szeroko otwartymi oczami, w których widniało pytanie.

Mark nie potrafił ukryć uśmiechu na widok jej zaskoczenia.

- Cóż, ja też coś czasem potrafię zauważyć.

Dopiero gdy Sophia wydała z siebie głębokie westchnienie, zdała sobie sprawę, że przez jakiś czas wstrzymywała oddech.

- Tak. Wiem. Nie mógłby pan być oficerem zwiadowczym, gdyby pan tego nie umiał. Tylko... - urwała, a na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec, prawie niezauważalny w słabym blasku dochodzącym zza okien. - Tylko że nie spodziewałam się, że pan może okazać mi... tyle zrozumienia.

- Proszę mi wierzyć, że doskonale panią rozumiem. I gdybym mógł, chętnie bym pani wszystko wynagrodził. - Raz jeszcze usta jego spoczęły na jej dłoni, tym razem przez dłuższą chwilę.

Sophia stała bez ruchu, porażona wyrazem jego oczu, ciepłem jego warg, a także mnogością własnych odczuć, niemożliwych do opisanania ani nazwania. Miała wrażenie, jakby nikt jej nie rozumiał aż do tej właśnie chwili, gdy ten mężczyzna, którego prawie nie знаła, pojął tajniki najgłębszych otchłani jej duszy. Było to cudowne, ale zarazem przerażające, że ktoś przeniknął jej sekrety.

-Ja... ja... muszę już iść. - Sophia odebrała mu dłoń.

Nawet w jej własnych uszach jej głos zabrzmiał niepewnie i bez tchu. - Mama z pewnością się o mnie niepokoi. - Odwróciła się i pobiegła schodami w dół tak szybko, że wydawało się, iż przed czymś ucieka.

Mark uśmiechał się, wchodząc na górę. A więc udało mu się sprawić, iż chłodna i niezależna Sophia Featherstonaugh poczuła się co najmniej niepewnie. Perspektywa napotkania żołnierzy wroga lub też hiszpańskich partyzantów nie poruszały jej w najmniejszym stopniu, lecz współczucie, zrozumienie i wynikająca z nich bliskość - to było coś zupełnie innego.

Mark poznał w swoim życiu dostatecznie wiele kobiet, by umieć rozpoznawać charakterystyczne symptomy: rozszerzenie oczu, lekkie drżenie palców, rumieniec, i wszystko to mówiło mu, że Sophia nie nawykła do tego rodzaju bliskości z mężczyzną i że zbijało ją to z tropu. Bardzo dobrze. Zatrzymał się na najwyższym stopniu i odwrócił, by ujrzeć, jak dziewczyna szybko się oddala. Był rad, że zdołał przeniknąć przez powłokę jej pewności siebie, gdyż jej bez wątpienia udało się to wobec niego, a niemiła mu była świadomość, iż jakaś młoda pannica uzyskała nad nim przewagę.

Wystarczająco przykre było to, że pokonała go w strzelaniu i o mały włos także w jeździe konnej, ale żeby miała jeszcze czytać w jego najtajniejszych uczuciach! To go deprymowało i było najzupełniej nie do przyjęcia. A może jednak jest w stanie się z tym pogodzić? Mark cofnął się pod kolumnadę, na której wspierał się ganek. Oparł się ramieniem o niestarannie wy-ciosaną kamienną kolumnę, wydobył cygaro, zapalił je i przez chwilę stał bez ruchu w milczeniu. Prawdę mówiąc, możliwość podzielenia się swym bólem z kimś,



kto ze skrótowego opisu jego rodziny potrafi w lot od-  
tworzyć całą prawdę, było dla niego wielką ulgą.

W ciągu kilku minut, jakie zużył na krótką charak-  
terystkę swego ojca i brata, Sophia wytworzyła so-  
bie obraz sytuacji na tyle dokładny, że mogła wskazać  
kluczowy problem: śmierć matki - pięknej, namiętnej  
i kochającej Isabelli, księżnej Cranleigh, która powo-  
li i bezlitośnie została pozbawiona jakiegokolwiek moż-  
liwości uzewnętrznienia swej czułej natury.

Mamrocząc przekleństwo, Mark rzucił cygaro na  
ziemię i rozgniótł je obcasem. Nie chciał o tym  
wszystkim pamiętać: o starych ranach, smutku i własn-  
ej bezradności. Na wiele lat wypchnął te sprawy ze  
swej świadomości i wcale o nich nie myślał, ale teraz  
Sophia sprawiła, że wszystko sobie przypomniał,  
przemyślał i znowu wróciło cierpienie. Jednak tym  
razem nie był sam. Znalazł się ktoś, kto je z nim po-  
dzielił, ktoś, kto został zraniony równie dotkliwie  
i był równie bezradny, ktoś zdolny do współczucia,  
kto jednym dotknięciem i jednym ciepłym spojrze-  
niem sprawił, iż ból, który wywołały wspomnienia,  
znacznie złagodniał. Po raz pierwszy Mark mógł  
wreszcie zastanowić się nad przeszłością, nie czując  
się nią przytłoczony. Raz jeszcze przydeptał dawno  
zagasłe cygaro i ruszył do swego mieszkania w poszu-  
kiwaniu solidnej butelki madery.

Sophia cicho zamknęła za sobą drzwi i, widząc matkę i ojczyrna siedzących przy kominku i zagłębiomych w rozmowie, pobiegła na górę, nawet nie zapalając sobie świeczki. W stanie poruszenia, w jakim się znajdowała, ciemności i samotność, które mogła znaleźć we własnej sypialni, były tym, czego potrzebowała przede wszystkim.

Zdjęła czepek i lekki, zielony płaszcz, który narzuciła przedtem na ramiona dla ochrony przed wilgotnym nocnym powietrzem i odwiesiła je na przymocowanym do drzwi kołku, po czym opadła na stojące przy oknie krzesło. Lekki powiew wiatru miłe chłodził jej zarumienione policzki, zaś blask księżyca łagodnie oświetlał kryte czerwoną dachówką dachy, nadając im atmosferę spokoju, jakże kontrastującą z zamętem panującym w duszy dziewczyny. Pracownicy mieszkańcy Lesaki chodzili spać wcześniej i tylko kilka okien, w których paliły się jeszcze światła, oraz nieliczne przytłumione dźwięki zakłócały spokój, jaki opanował miasteczko.

Sophia odetchnęła głęboko, starając się poddać otaczającej ją kojącej atmosferze, ale nadaremnie. Serce biło jej jak młotem, nogi miała jak z waty, a w żołądku czuła nieznane dotąd drżenie. Nie wiedziała, co

się z nią dzieje. Czyżby spotkanie z majorem Adairem wywarło na niej tak silne wrażenie? Przecież nieraz zdarzyło jej się wymieniać myśli z mężczyzną, co więcej, bardziej nawykła do męskiego towarzystwa niż kobiecego, ale żaden mężczyzna nie sprawił, by doznawała tego, co teraz. Sposób, w jaki na nią patrzył, tak jakby czytał w jej myślach i uczuciach... uczuciach, których ona sama była prawie nieświadoma... zarazem sprawiał jej przyjemność i budził w niej niepokój. Jego pełen goryczy, ale zarazem także współczucia uśmiech dodał jej otuchy, lecz przerażało ją to, iż została tak dobrze zrozumiana. Sama nie zdawała sobie sprawy, jak wielki gniew czuła wobec swego ojca, dopóki major nie powiedział tego na głos. Cudownie było znać kogoś tak dobrze, by porozumiewać się z nim w pół słowa, ale z drugiej strony świadomość, iż człowiek ten przejrzał ją na wylot, budziła w niej lęk. Skan Anula43, przerobienie pona.

Współczucie, które wyczytała w oczach majora oraz w tonie jego głosu, zbliżyło ich do siebie bardziej niż pocałunek. Sophia westchnęła, wspominając mocny uścisk jego ręki i ciepło, jakie ogarnęło całe jej ciało, gdy jego wargi dotknęły jej dłoni. Było to niezmiernie krzepiące, ale, co musiała sama przed sobą przyznać, oprócz tego obudziło się w niej inne uczucie, które niewiele miało wspólnego ze spokojem. Był w nim i ból, i tęsknota, czarowna i zarazem niepokojąca, gdyż Sophia nie miała pojęcia i wolała nie zgadywać, w jaki sposób można ją ukoić.

Wstała i powoli zaczęła się rozbierać, powtarzając sobie w duchu, że powinna wyrzucić z pamięci te kłopotliwe myśli, ale prawdę mówiąc, wcale tego nie

chciała. Pragnęła rozpamiętywać każdą chwilę ich spotkania, delektować się bliskością, na nowo przypominać sobie wyraz troski w oczach majora i czułość jego dotyku.

Zdegustowana własną słabością, podeszła do umywalni, nalała do niej wody i zmoczyła sobie twarz. Nie chodziło tylko o to, że major Adair okazał jej zrozumienie, bądź co bądź o wiele dłużej znała Andrew Leith Haya i mieli znacznie więcej wspólnych zainteresowań. Oboje stale coś rysowali albo malowali, od najprzemysłowszych scen życia wojskowego po najbardziej majestatyczne krajobrazy, jednak nie czuła, by łączyła ją z nim więź tak silna, jak z majorem. W obecności Andrew nie brakowało jej tchu ani też nie doznawała tych dziwnych sensacji żołądkowych, tego dziwnego drżenia, które opanowywało ją, ilekroć major lord Mark Adair uśmiechnął się do niej.

Sophia położyła się i naciągnęła na siebie kołdrę. To był ciężki dzień. Może jest po prostu zmęczona. Może ta słabość, która ogarnia ją na wspomnienie jego warg, dotykających jej skóry, wynika po prostu z wyczerpania i niczego więcej.

Tak, właśnie, jest dziś bardzo zmęczona. Zaraz zaśnie, jak zwykle rozmyślając o obrazach, które jutro namaluje, a rano obudzi się rześka i jak zawsze odpowiedzialna i opanowana.

Sophia nie była jedyną osobą w domu generała Curtisa, która poszła spać, mając w głowie wiele pytań. Chociaż lady Curtis ani słowem nie napomknęła o tym mężowi, była raczej dosyć zdziwiona, że Sophia poszła prosto do swojej sypialni. Zawsze przecież mó-

wiała matce dobranoc i zazwyczaj zostawała jeszcze na chwilę, by porozmawiać o wydarzenia dnia i zaplanować następny. To było do niej najzupełniej niepodobne, tak iść bez słowa do siebie, ale gdy lady Curtis usłyszała lekkie skrzypnięcie desek nad głową, uznała, iż właśnie to uczyniła jej córka.

Lady Curtis nie naruszyła samotności, jakiej wyraźnie pragnęła Sophia, ale pewien niepokój, jaki odczuwała w związku z nietypowym jej zachowaniem, sprawił, iż gdy wraz z mężem udawali się wieczorem na spoczynek, lekko zastukała do jej sypialni. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, więc uchyliła drzwi i zajrzała do środka. W bladym świetle księżyca widziała tylko leżącą postać, a spokojny oddech dziewczyny upewnił ją, że jeśli nawet córka miała jakieś tajemnice przed nią, to nie były one na tyle poważne, by nie dać jej zasnąć. Delikatnie zamknęła drzwi i udała się do własnej sypialni, by położyć się spać u boku swego małżonka.

Sophia spała, ale jej matka leżała przez jakiś czas, obracając w myślach wypadki minionego dnia i starając się zgadnąć, jakie to wydarzenie stanowi przyczynę niezwykłego postępowania jej córki. Jedyną odmianą w ich zwykłym trybie życia było to, że Sophia spędziła wieczór przy chorym pułkowniku Taylorze, ale to też nie stanowiło wielkiej odmiany, gdyż i ona, i matka tyle razy już odwiedzały złożonych niemocą i rannych, że choć nigdy nie zubożyły na widok cierpienia i bólu, widziały już chyba wszystko. Jeśli miałyby wydarzyć się coś nieprzyjemnego, Sophia z pewnością podzieliłaby się tym z matką, a nie zachowała dla siebie. Nie, to musi być coś innego, ale

lady Curtis nie potrafiła sobie wyobrazić, co. W życiu Sophii tak często miały już miejsce nagłe zmiany i tak wiele dziewczyna musiała znosić rozmaitych niewygód, że nauczyła się łatwo dostosowywać do każdej sytuacji. Im bardziej lady Curtis rozmyślała nad tym problemem, tym większą zyskiwała pewność, że ma on związek z wizytą Sophii u pułkownika Taylora, gdyż resztę dnia córka spędziła spokojnie, wykonując swe zwykle obowiązki, nie szukając ani też nie unikając nikogo.

Sophia i jej matka przez długie lata mogły polegać wyłącznie na sobie nawzajem i liczyć tylko na siebie, tak że pozostało bardzo niewiele rzeczy, których o sobie nie wiedziały. Tym bardziej dziwna wydawała się w tym świetle niechęć Sophii do rozmowy z matką. Zapadając nareszcie w sen lady Curtis postanowiła, że musi baczniej przyrzeć się poczynaniom swej córki.

W ciągu następnych kilku dni lady Curtis stwierdziła, że Sophia stała się jakby bardziej zamyślona niż zwykle. Widziała też kilkakrotnie, jak ręka jej córki zawisa nad kartką papieru, zaś dziewczyna wpatruje się w jakiś niewidoczny punkt daleko przed sobą, a na jej czole pojawia się zmarszczka. Czasami Sophia przerywała jakąś czynność i wyglądała przez okno albo drzwi, jednak matka gotowa byłaby dać słowo, że nie widziała nic z tego, co się za nimi znajdowało.

W końcu lady Curtis nie była dłużej w stanie zachować milczenia i pewnego ranka, gdy obie zajęte były łątaniem pościeli i Sophia przez kilka minut nie wykonała ani jednego ściegu, zwróciła się do córki:

- Sophio?

Dziewczyna drgnęła, jakby zaskoczona, i wbiła igłę w tkaninę z taką siłą, że ukłuła się w palec.

- Tak, mamó?

- Czy stało się coś niezwykłego? Wydaje mi się, że ostatnio bardzo często popadasz w zamyślenie.

- Ja? Wpadam w zamyślenie? Nie, mamó, nic się takiego nie stało. - Policzki młodej kobiety pokryły się lekkim rumieńcem, który zadawał kłam jej słowom, zaś jej oczy utkwione były w leżącą przed nią robotę.

- Cieszę się, że to słyszę. - Lady Curtis musiała zadowolnić się udzieloną jej odpowiedzią, ale tym bardziej uznała za stosowne dokładnie przyglądać się poczynaniom córki. Sophia nigdy dotychczas nie kłamała, nigdy nawet nie odpowiadała wymijająco; aż do tej chwili. Matka nie potrafiła zgadnąć, co mogło stać się przyczyną obecnej tajemniczości, ale wiedziała, że, cokolwiek by to miało być, sprawa jest poważna.

## 14

W ciągu następnych kilku dni jednakże nikt, a zwłaszcza lady Curtis i jej córka, nie miały czasu ani energii, by zastanawiać się nad czymkolwiek, gdyż armia ruszyła przez Pireneje do Francji. Generał Curtis bezskutecznie perswadował żonie:

- Moja droga, ty i Sophia macie w Lesace względne wygody, nie mówiąc już o tym, że będziecie tu bezpieczne. My zaś, jeśli nam się poszczęści, znajdziemy się we Francji na krótko przedtem, zanim pogoda zmieni się na gorsze, i będziemy musieli organizować sobie nowe kwatery na zimę. Lepiej zostańcie tutaj aż do wiosny; w ten sposób unikniecie wielu niewygód i zamieszania. Po co przeprowadzać się teraz, kiedy lada chwila pogoda stanie się w najlepszym razie niepewna?

- Od kiedy to bezpieczeństwo i wygoda były dla nas ważniejsze od naszych bliskich? Pogoda, jak sam mówisz, zaraz się zmieni na gorsze. Jeśli zostaniemy jeszcze trochę, utkniemy tu na czas dłuższy. Sophia i ja jedziemy z tobą i tyle, mój panie! - Lady Curtis spojrzała na córkę, szukając wzrokiem jej poparcia.

Sophia żywo pokiwała głową.

- Zgadzam się z mamą, a poza tym zaczyna mi tu brakować tematów do rysowania.



Generał Curtis uśmiechał się z wyrzutem.

- Wiedziałem, że mam niewielkie szanse, by was przekonać, moje panie. Dobrze więc, ale musicie mi obiecać, że cały czas będziecie na tyłach, z dala od wszelkich walk.

- Tak jest. - Matka Sophii obiecała za nie obie.

- Tak jak pod Vitorią, co? - W głosie generała slychać było niezawołowaną ironię. - Ranni ledwo zdążyli upaść na ziemię, kiedy wy już przy nich byliście, niosąc pomoc.

Żadna z kobiet nie odezwała się ani słowem, ale odpowiedź wyraźnie malowała się na ich twarzach.

- Czy istnieje jeszcze jakiś mężczyzna, tak bardzo jak ja udręczony przez dwie uparte kobiety? - Generał zaśmiał się. - Możecie jechać z nami i pomagać; wiem, że wszelkie próby przekonania was, byście zatroszczyły się o własne bezpieczeństwo, to tylko strata czasu.

Jednak łatwiej było powiedzieć niż wykonać, gdyż droga przez most koło Very, jedyny most na rzece Bidasoa, który nie został zniszczony przez Francuzów, prowadziła prosto na silnie bronione stoki gór dzielących Francję od Hiszpanii.

- Musicie zaczekać, aż zdobędziemy ich fortyfikacje i opanujemy okolicę - poinstruował żonę generał. - Jednak nawet gdy Francuzi nie będą stanowili zagrożenia, nie jestem pewien, jak kareta zdoła pokonać ten teren. Gdyby nie spalono mostu pod Behobie, mogłybyście bez kłopotu pojechać drogą, która prowadzi z Irun do Bayonne, gdyż jest ona doskonała, ale jeszcze trochę czasu upłynie, zanim most ten zostanie odbudowany. Właściwie najrozsądniej byłoby właśnie na to poczekać.

Sophia i jej matka były niezbyt zachwycone tą propozycją. Perspektywa spędzenia zimy w niewielkiej hiszpańskiej wiosce, bez towarzystwa innych Anglików, nie uśmiechała im się w najmniejszym stopniu. Sophia tak właśnie skomentowała sytuację pewnego poranka, spotkawszy przypadkiem Marka na ulicy przed kwaterą główną.

- Dzień dobry, panno Featherstonaugh. - Major z niejakim zadowoleniem dostrzegł wyraz zmieszania w orzechowych oczach i lekki rumieniec, jaki pojawił się na policzkach panny. Od czasu ich ostatniego spotkania myślał o niej o wiele za dużo i pewną satysfakcją napawało go to, że najwyraźniej dziewczyna zaznała tego samego.

- A gdzie to pani szkicownik i tornister pełen kredek i farb? Co się z panią dzieje?

- Nie mam teraz czasu na malowanie. Muszę zajmować się mnóstwem najrozmaitszych spraw, bo mama i ja wkrótce, stąd wyjeżdżamy. - Dumnie wzniesiona głowa i zaciśnięte usta świadczyły o tym, że z wyjazdem związane są jakieś problemy.

- Rozumiem, że nie chce pani opuszczać miejsca, w którym już się pani na dobre rozgościła. .

- Wręcz przeciwnie. - Sophia rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. - Chcemy znaleźć się we Francji równie szybko jak reszta armii, ale generał utrzymuje, że jedyny ocalały most prowadzi na drogę, której żadna karetka nie jest w stanie pokonać. Nie martwię się o siebie, bo rzadko podróżuję kareta, ale mama inaczej nie może.

- Rozumiem. - Mark milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien się wtrącać. Jednak wie-

dział, że Sophia wkrótce sama się dowie, że można przekroczyć Bidasoę na kilka innych sposobów. - Mam pewne wiadomości na ten temat. - Uśmiechnął się, widząc, jak wyraz pogardy znika z twarzy dziewczyny, zastąpiony przez namiętną prośbę.

- Naprawdę? A więc można inaczej przedostać się do Francji? Mama jest bardzo dzielna, ale zawsze bardzo się niepokoi, jeśli musi rozstać się z generałem na dłużej.

Ku swojemu zdziwieniu Mark dosłyszał w głosie Sophii nutkę żalu. Gdyby miał czas się nad tym zastanawiać, być może uznałby, że dziewczyna odczuwa pewien cień zazdrości wobec nowo odnalezionego szczęścia matki, ale zbyt był zajęty wymyślaniem sposobów obrony przed niewątpliwym gniewem generała Curtisa, gdy ten się dowie, że Sophia i jej matka brały osobiście udział w inwazji Brytyjczyków na Francję. Jedno mógł tylko uczynić: zaproponować, że sam zatroszczy się o bezpieczeństwo obu pań.

Poprzedniego wieczoru Wellington sprawił Markowi ogromną radość, zwalniając go na pewien czas z obowiązków. *Zbyt przypominasz Hiszpana, żeby przydać mi się we Francji, Adair. Musisz chodzić w mundurze, bo inaczej prędzej czy później ktoś zastrzeli cię, myśląc, że jesteś partyzantem. Nie* - książkę dobrze zrozumiał wyraz nadziei, jaki pojawił się na twarzy oficera kawalerii, i pospieszył, by rozwiać jakiegokolwiek złudzenia, iż pozwoli mu wrócić do służby liniowej - *nie mam zamiaru marnować twoich talentów, odsyłając się do pułku. Jak tylko znajdziemy się we Francji, będziesz znowu zajmował się zwiadem, ale bez przebrania. Na razie oznacza to, że zo-*

*staniez z nami i zadbasz, żebyśmy gładko przedostali się na drugi brzeg tej przekłętej rzeki.*

- Majorze? - odezwała się Sophia, pragnąc zwrócić jego uwagę na sprawy bieżące.

- Ależ tak, oczywiście. Wiem od miejscowych rybaków, nie fałszywych jak Miguel, lecz prawdziwych, że podczas odpływu można w kilku miejscach przekroczyć Bidasoę w bród.

- Myślałam, że rzeka ta jest bystra i głęboka.

- I owszem, ale kilku rybaków zapewniało mnie, że kiedy odpływ osiągnie apogeum, poziom wody opada o szesnaście stóp. Z największą przyjemnością pomogę paniom bezpiecznie przedostać się przez rzekę, jak tylko pierwsza i piąta dywizja opanują jej drugą brzeg.

- Naprawdę? Przecie z pewnością przydzielono panu ważniejsze zadania?

- Wellington nie potrzebuje moich usług, dopóki nie ustalimy się we Francji, więc okazanie pomocy pani i jej matce jest najpoważniejszym zatrudnieniem, jakie mogę znaleźć w chwili obecnej.

- Dziękuję. Dziękuję panu.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc taki zapł. Wszystkie inne znane mu kobiety uskarżałyby się na utratę wygodnej kwatery, podczas gdy ta dziękowała mu za pomoc w podjęciu ryzykownej i niewątpliwie pełnej trudów podróży na terytorium wroga.

- Piąta dywizja będzie przekraczała rzekę około wpół do ósmej, podczas kulminacji odpływu. Przedtem rozłożą się obozem pod Fuenterrabia. Proponuję, żeby znalazły się panie w Fuenterrabia wieczorem następnego dnia po ich przeprawie. To niedaleko od

Lesaki i po odejściu wojsk powinno być łatwo znaleźć tam kwaterę.

Lady Curtis z mniejszym entuzjazmem powitała przyniesione jej przez córkę wiadomości.

- To chyba trochę nierozważne, polegać wyłącznie na odpływie. Poza tym nie chciałabym niepotrzebnie niepokoić generała.

- Ależ mammo, major Adair zapewnił mnie, że będzie nam towarzyszył podczas przeprawy.

Lady Curtis odłożyła skarpetkę, której cerowaniem się zajmowała, i z ciekawością popatrzyła na swoją córkę.

- To bardzo rycerskie ze strony majora, ale ma on niewątpliwie wiele ważniejszych obowiązków niż przeprowadzanie nas na drugi brzeg rzeki.

- Major twierdzi, że dopóki nasze siły nie umocnią się we Francji, jego usługi nie są potrzebne.

- Dobrze więc. - Lady Curtis zakończyła dyskusję, ale lekki rumieniec, który ukazał się na policzkach jej córki na wzmiankę o majorze Adair, nie umknął jej uwagi. Był on niezmiernie podobny do tego, który ujrziała podczas rozmowy z Sophią nazajutrz po wieczorze, kiedy to poszła spać, nie mówiąc matce „dobranoc”. A zatem tutaj był pies pogrzebany. Lady Curtis dostatecznie długo była żoną wojskowych, by wiedzieć, że mężczyźni na ogół unikają wszelkich komplikacji, jakie mogłyby powstać w wyniku ich kontaktów z damami, zwłaszcza podczas działań wojennych. A tu proszę, major sam oferuje się wziąć odpowiedzialność za nie obie, ich bagaż, służbę i wszystkie możliwe katastrofy. Mogła więc jedynie wnioskować, że istnieją

jakieś poważne motywy, które skłaniają młodego człowieka do udziału w takim przedsięwzięciu. Raz jeszcze rzuciwszy okiem na twarz córki, uznała, że to właśnie ona jest źródłem owej motywacji.

Aby ukryć uśmiech, lady Curtis co prędzej pochyliła się nad swoją robotą. Od dawna zastanawiała się, kiedy wreszcie jeden z tych młodych śmiałków, którzy towarzyszyli im wszak na co dzień, zdoła zrobić wrażenie na jej córce. Do tej pory sądziła, że Sophia nazbyt przywykła do wojskowych i traktowała wszystkich młodzieńców w czerwonych kurtkach jak braci, ale teraz sytuacja zdawała się nieco zmieniać. Niewątpliwie trzeba będzie zachować pewną dozę czujności.

Lady Curtis zwinęła naprawioną parę skarpetek i odłożyła igłę i nici do koszyczka.

- Musimy zatem zadbać, żeby wszystko było popakowane, a my gotowe do wymarszu na każde wezwanie.

## 15

Kilka dni później, pewnego ponurego poranka, dopilnowały ostatecznego załadunku ich bagażu do drugiej karety, w której śródku ledwo zostało miejsca dla Jorgego, zaś Luis wspiął się na kozioł. Pożegnały się z zapłakaną Marią i Teresą i wyruszyły powoli drogą na Fuenterrabia, gdzie miał ich oczekiwać Mark.

Kiedy zbliżały się do miejsca przeznaczenia, niebo zaczęło się coraz bardziej chmurzyć. Potem strzeliła błyskawica, a grzmot rozległ się echem pośród szczytów gór. Sophia, jadąca wierzchem na Atalancie, popatrzyła na pędzące po niebie chmury i nastawiła się na to, że przemoknie do suchej nitki. Obie z matką miały nadzieję, że dojadą do Fuenterrabii, zanim drogi zupełnie rozmiękną. Musiały znaleźć się nad Bidasoą następnego dnia, kiedy odpływ będzie najniższy, albo nie zdołają się przedostać na drugi brzeg, a nikt nie potrafił powiedzieć, ile czasu zabierze inżynierom budowa nowego mostu.

Następny, znacznie donośniejszy grzmot zabrzmiał tuż nad ich głowami, a potem rozpoczęło się oberwanie chmury. Ulewa była tak gęsta, że Sophia ledwo co widziała przed sobą.

Lady Curtis otworzyła okienko w drzwiczkach karety i wystawiła głowę.

- Sophio, proszę cię, wejdź do środka. Przemokniesz i przeziębisz się śmiertelnie.

- To tylko deszcz, mamó - odkrzyknęła Sophia między jednym grzotem a drugim. - Nie roztopię się, a poza tym i tak w środku nie ma dla mnie miejsca.

- Nie musimy wieźć wszystkiego. Są tu pewne rzeczy, które można by wystawić na zewnątrz. Z pewnością doskonale obejdę się bez lustra, które spoczywa obok mnie na siedzeniu. Mogłybyśmy przywiązać je do karety.

- Nic z tego, potłucze się, a przecież jeździ z nami wszędzie od czasu, gdy opuściliśmy Anglię.

- A więc niech Jorge siądzie razem z Luisem, a ty wsiądziesz do drugiej karety.

- Lepiej, żebym to ja była na zewnątrz. Jorge ma reumatyzm i tak bardzo cierpi.

Matka zamknęła okienko. Wiedziała od początku, że nie przekona swojej córki. Sophia była równie uparta jak muły, które ciągnęły wojskowe podwozy, zwłaszcza gdy chodziło o spełnianie próśb członków własnej rodziny. Lady Curtis pocieszyła się myślą, że jeśli nie ona, to może major Adair zdoła wpłynąć na upartą pannicę.

W istocie, Mark był stosownie zgorszony, ujrzałszy Sophię, gdy wraz z matką weszła do baru w Venta del Rey, w zacisznej oberży przytulonej do potężnego zamku Karola V.

- Ależ droga panno, pani jest cała mokra! - zawołał i pospieszył zdejmować z niej ociekającą wodą pelerynę, którą Sophia narzuciła na amazonkę, gdy pojawiły się pierwsze krople deszczu. - Ja się tym zajmę - ciągnął, odwiązując tasiemki jej kapelusza, gdyż rę-



ce dziewczyny były zbyt skostniałe, by wykonywać tak precyzyjne czynności. - Skąd pani przyszło do głowy, żeby jechać konno w taką ulewę? - Wydobył chusteczkę z kieszeni i delikatnie otarł jej twarz. - No. Proszę usiąść przy ogniu. - Ujął ją pod ramię i poprowadził do małej salki dla specjalnych gości, podczas gdy lady Curtis przyglądała się tej scenie z niejaką satysfakcją. Jeśli major aż tak bardzo troszczy się o wygodę córki, że zupełnie zapomniał o matce, jest to niewątpliwy znak, iż jest Sophią zainteresowany równie mocno, jak ona nim. - Najmocniej przepraszam, ale pozwoliłem sobie zamówić kolację, żeby czekało na panie coś ciepłego do zjedzenia, gdy tylko panie przybędą. - Mark poprawił drewno w kominku, by ogień rozgorzał silniej, a potem odwrócił się do oberżysty, który czekał w drzwiach. Po krótkiej chwili pojawiła się jego żona, niosąc półmisek z pieczonym kurczakiem, a za nią jej córki z winem i świeżym chlebem.

Dopiero gdy Sophia rozgrzała sobie dłonie w ciepłym kominku i poczuła rozkoszny zapach gorącego jedzenia, zdała sobie sprawę, jak niezmiernie jest głodna, a zmęczona tak bardzo, że nawet nie zmieniła wilgotnego ubrania na suche. Nie była w stanie się ruszyć i najpierw chciwie przyglądała się, jak Mark kroi mięso, a potem rzuciła się na nie, gdy tylko jedna z córek oberżysty postawiła przed nią pełen talerz. Jednak nie tylko ona była głodna; i matka, i major również skwapliwie zabrali się do posiłku i przez pewien czas przy stole panowało kompletne milczenie.

Wreszcie, przypomniawszy sobie o dobrych manierach, lady Curtis odłożyła widelec.

- Czy atak na drugi brzeg rzeki się powiodł? Przy-

puszczam, że tak, skoro w Fuenterrabii nie widziałyśmy prawie wcale angielskich żołnierzy.

Mark wypił łyk wina.

- Tak, wszystko udało się jak najlepiej. Dziś rano, o wpół do ósmej, piąta dywizja poprowadziła przeprawę, o ósmej rakietą wystrzeloną z wieży kościoła oznajmiła rozpoczęcie ataku dywizji pierwszej, zaś piąta opanowała Hendaye i wdarła się na zbocza góry Caŕvaire.

Sophia odłożyła widelec.

- A więc armia brytyjska nareszcie wkroczyła do Francji. Pewnie miał pan ogromną ochotę znaleźć się pośród żołnierzy, którzy zdobywali ten przyczółek na terytorium Bonapartego. Jesteśmy zaszczycone, że zechciał pan zająć się nami.

Mark podejrzliwie spojrział na pannę znad swojego kieliszka, ale na jej twarzy malowała się absolutna szczerłość. Tak, istotnie, ona rzeczywiście rozumiała, ile kosztuje go to, że nie znalazł się pośród tych, którzy pierwsi postawili stopę na francuskiej ziemi. Większość znanych mu kobiet narzekałaby teraz na trudy podróży, ale ta, która wzgardziła nawet wątpliwym co prawda komfortem jazdy kareta, zdołała zapomnieć o swoich troskach na tyle, by spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia. Poczuł, iż to zrozumienie bardziej go rozgrzało niż doskonała madera, której oszalałym aromatem właśnie się delektował.

- Niech pan powie nam coś więcej na temat ataku, majorze. Czy bardzo trudno było przekroczyć rzekę? Czy jutro odpływ będzie na tyle niski, żebyśmy i my mogły się przez nią przedostać? - Mniej świadoma niż córka, jaka jest stan umysłu majora, lady Curtis interesowała się przede wszystkim praktycznymi aspektami sytuacji.

- Moim zdaniem Bidasoa nie będzie groźna, jeśli spróbują panie ją jutro przejechać, ale mimo to nalegam, aby zaczekały panie, aż inżynierowie zbudują odpowiedni most. Teraz, kiedy opanowaliśmy tereny pod drugiej stronie rzeki, możemy zmontować most pontonowy, który mamy w częściach. To kwestia kilku dni.

-Jeśli uważa pan, że możemy przeprowić się jutro, chciałabym jak najprędzej dołączyć do męża. A teraz wybaczy pan, majorze, ale ja i moja córka jesteśmy bardzo zmęczone, a mając perspektywę dalszej podróży, musimy trochę odpocząć.

Mark wstał również i dał gestem znak jednej z dziewcząt, która pojawiła się, niosąc następną butelkę wina.

- Córka oberżysty pokaże paniom wasz pokój, który, jak mam nadzieję, okaże się zadowalający.

- Jestem tego pewna. Dziękuję, majorze, za pańską troskę. - Lady Curtis mimo zmęczenia zdobyła się na uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame. - Młody człowiek mówił do matki, ale jego oczy spoczyły na córce, która wyglądała na kompletnie wyczerpaną po całym dniu spędzonym w siodle.

Mark nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina i podszedł do okna. Zapadły już ciemności, a deszczowe chmury zasłoniły gwiazdy i księżyc. Wciąż jeszcze mżyło. Ciekawe, jak radzą sobie oddziały po drugiej stronie, pomyślał. Ulewa na pewno sprawiła, że strome brzegi rzeki stały się bardzo błotniste. Kawaleria na nic się tam nie przyda. Jednak major żałował, dokładnie tak jak mówiła Sophia, że nie ruszył razem z pierwszą falą ataku Brytyjczyków na Francję. Cóż,

nie warto płakać nad rozlanym mlekiem. Wellington jasno wytłumaczył mu, na czym mają polegać jego obowiązki. Wykonał je i dalej będzie robił, co do niego należy, a to oznaczało, że musi jak najprędzej udać się na spoczynek. Jednak przedtem powinien dopilnować, by zadbano o konie. Odstawił kieliszek, sięgnął po wiszącą przy drzwiach latarnię i poszedł do stajni po przeciwnej stronie dziedzińca.

Wchodząc do środka, ku swojemu zdumieniu dostrzegł blask drugiej lampy w jednej z przegród i usłyszał czyjś przyciszony głos. A przecież służba już dawno powinna była zatroszczyć się o konie. Mark podkraść się do źródła dźwięków i światła. Teoretycznie znajdował się na terytorium sojusznicznym, gdyż Brytyjczycy wyparli już Francuzów z tych okolic, ale lepiej było zachować ostrożność.

Ostrożnie wyjrzał zza węgła i za przegrodą ujrzał, jak Sophia, wciąż w mokrej amazonce, najspokojniej w świecie gawędzi z Atalantą, oglądając przy tym jej kopyta, jak w końcu klepie ją po szyi, a następnie zbliża się do siodła i uzdy, wiszących na ścianie, i starrannie sprawdza, w jakim są stanie.

Patrzył jak zauroczony. Nie widział dotąd, by kobieta czuła się tak swobodnie w miejscu, które stanowiło domenę służby, a raczej służących płci męskiej, ani też nie spotkał się z tym, żeby kobieta z podobnym zapalem oddawała się tak przyziemnym zajęciom. Było coś szalenie atrakcyjnego sposobie, w jaki smukłe, sprawne dłonie dotykały każdego cala uzdy i sprawdzały każdą sprzączkę.

Skończyła wreszcie i odwiesiła siodło i uzdę na swoje miejsce, ale wciąż nie wychodziła. Co jeszcze

chciała zrobić? Mark nie potrafił tego odgadnąć. Szybko ukrył się w sąsiedniej przegrodzie i patrzył, jak Sophia mówi dobranoc Atalancie i zabierając latarnię, przechodzi cło przegrody naprzeciwko, by zając się końmi, które ciągnęły karetę.

Mark nie mógł już tego dłużej wytrzymać.

- Niewątpliwie można chyba liczyć, że woźnica, jeśli już nie stajenni, zadbali o wasze konie?

Sophia odwróciła się gwałtownie.

- To pan! Co pan tutaj robi?

- Ja? - Major ze zdziwieniem uniósł brew. - To samo, co pani, jak sądzę. Chcę sprawdzić, czy Cezar został dobrze ulokowany i nakarmiony.

Sophia przygryzła wargę. Wnioskując z wyrazu twarzy majora, nie był on przyzwyczajony do tego, by damy zwracały się do niego tak stanowczym tonem. Niewątpliwie na jego widok większość z nich uśmiechała się omdlewająco i trzepotała rzęsami, ale ona spędziła miniony dzień w sposób wielce męczący i nie miała ochoty być przez kogoś zaskakiwana znienacka ani też obserwowana potajemnie, co najwidoczniej musiało mieć miejsce. Poczwała niepokój i skrępowanie.

- Przepraszam najmocniej. Nie jestem nazbyt uprzejma. Myślałam jednak, iż udał się już pan na spoczynek. - A niech to! Sophia oblała się rumieńcem, zdawszy sobie sprawę, jak zabrzmiały jej słowa; można, by mniemać, że śledzi każdy jego krok. Jeszcze gorsze było to, że w istocie często o nim myślała, a teraz widok ostrych płaszczyzn jego twarzy, stanowczej szczęki oraz głęboko osadzonych oczu podkreślonych blaskiem latarni sprawił, że zrobiło jej się gorąco. - Ja... eee... ma pan rację, przyszłam sprawdzić, co z koń-

mi. Owszem, woźnica zajął się nimi wcześniej, ale zawsze sprawdzam osobiście.

- Ach.

- Wcale nie dlatego, że jestem sztywna albo muszę panować nad wszystkim - zaczęła buntowniczo.

- Nic takiego nie powiedziałem

- Nie musi pan. - Mimo to widząc, jak łobuzerski uśmiezek unosi kącik jego ust, nie mogła nie odpowiedzieć tym samym. - Jednak nawet papa, który nie zwykł był troszczyć się o cokolwiek innego, zawsze dbał, żeby jego zwierzęta miały dobrze.

Chociaż Sophia usiłowała mówić niedbale, nie potrafiła ukryć goryczy. Mark znienacka zapragnął chwycić dziewczynę w ramiona i zapewnić, że kiedy ona i jej matka znajdują się pod jego opieką, ich dobro jest dla niego zadaniem nadrzędnym. Opanował jednak tę chęć. Sophia Featherstonaugh nie należała do kobiet, które potrzebują, a tym bardziej spodziewają się czyjejkolwiek pomocy, i mogłaby uznać taki gest jako podważający jej samodzielność, a nie wyraz troski.

- Niewątpliwie uważał, że pani matka i pani sama są w stanie lepiej o siebie zadbać niż jego zwierzęta, i dlatego zostawiał was same sobie. Jestem pewien, że radziły sobie panie doskonale, w ten sposób wykazując, że miał rację i uwalniając go od wszelkich wyrzutów sumienia.

Sophia lekko przechyliła głowę i przez chwilę rozważała jego słowa.

- Bardzo pan domyślny. Taki właśnie był mój ojciec. Nawet go nie znając, dokładnie przedstawił pan jego charakter.

- Może to dlatego, że jego córka tak dobrze mi go

odmalowała. - Przysunął się do niej nieco bliżej, tak że poczuła ciepło jego oddechu na swoim policzku. - Ale chociaż on oczekiwał, że będą panie dbały o siebie w podróży, nie oznacza to, że każdy inny mężczyzna, w którego towarzystwie się panie znajdują, sądzi podobnie. Jak długo znajdują się panie ze mną, nie muszą się o nic troszczyć. Nie - gestem dłoni powstrzymał jej protesty - nie stanowi to dla mnie najmniejszej niedogodności; jestem w stanie dopilnować wszystkiego równie dobrze, a może nawet lepiej niż wy. Co więcej, chciałbym oszczędzić paniom trudu. A ponadto - tym razem położył dziewczynie palec na ustach, gdy otworzyła je, by zaprotestować - przyda się paniom nieco odpoczynku i ktoś, kto o wszystko się za panie zatroszczy. A teraz - łagodnie ujął ją za ramiona i skierował do wyjścia - proszę, by pani jak najrychlej udała się do swego pokoju, przebrała się w coś suchego i poszła spać.

Sophia odwróciła się do niego.

- Nie mogę na to pozwolić.

- Czemuż to? - Dłonie Marka przesunęły się z ramion dziewczyny na jej ręce. - Wciąż jeszcze jest pani mokra, a chyba nie chce przeziębic się pani na śmierć na samym początku podróży.

- Ja... to jest... - Czując ciepło jego rąk przenikające przez wilgotną amazonkę, Sophia urwała, zmieszana. - To nieuczciwe.

- Nieuczciwe? - Rozbawienie majora ustąpiło miejsca zdziwieniu.

- Tak. To nieuczciwe. Pan też cały dzień pracował i jest pan także zmęczony. Dlaczego miałby pan zajmować się końmi i kareta, zwłaszcza że są to nasze konie i nasza kareta?

- Dlaczego? - Mark poczuł zaskoczenie. Nigdy dotąd żadna kobieta, poza jego matką, nie zatroszczyła się o jego wygodę. Wrażenie było całkiem nowe i jakby wrzuszające. Na twarzy mężczyzny powoli pojawił się uśmiech. - W istocie, miałem trudny dzień, ale jestem do tego przyzwyczajony.

- Ja też.

- Jest pani niepoprawna. - Odsunął ciemny lok, który przylgnął jej do czoła. - Zaczynam coraz bardziej współczuć pani służącemu, temu, który uzbrojony po zęby, pilnował pani w dniu, kiedy się spotkaliśmy.

- Ach, Luisowi - Sophia uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Tak, obawiam się, że przysparzam mu wielu kłopotów.

- Pora więc nauczyć się, jak taką nie być. A teraz proszę już iść - powiedział i, ujmując ją za ramiona, poprowadził w stronę drzwi.

Jednak kiedy znaleźli się już przy nich, Sophia odwróciła się.

- Nie wiem, dlaczego tak się pan dla nas stara, ale dziękuję.

Mark musiał zwalczyć pokusę, by pocałować jej rozchylone wargi i obiecać, że uczyni dla niej wszystko. Większość znanych mu kobiet uskarżała się na jego brak galanterii. Paradoksalnie, im bardziej ta dziewczyna pragnęła robić wszystko sama, bym bardziej on chciał jej pomagać.

- Powiedzmy, że po prostu zawsze jestem gotów służyć pięknym młodym damom.

To było coś, czego nie powinien mówić. Sophia zeszytniała, a z jej twarzy zniknął wyraz oszołomienia i zdziwienia.



Ich chwilowa bliskość gdzieś znikła. Panna na powrót stała się chłodna i opanowana, a dystans między nimi znacznie się powiększył. Każda inna kobieta dążyłaby do tego, by wykorzystać moment zauroczenia. Ale nie Sophia.

- Zapomniałem, że zbyt dobrze zna pani oficerów kawalerii, by przyjąć za dobrą monetę jakiegokolwiek komplementy. Szczerze mówiąc, Wellington zwolnił mnie na pewien czas z obowiązków, więc będąc spragnionym jakiegokolwiek niebezpiecznej przygody, poprosiłem o jakieś straszliwie trudne zadanie, i oto jestem.

Sophia zachichotała, a Mark, otwierając przed nią drzwi, odetchnął w duchu z ulgą. Niewiele brakowało do katastrofy, ale jakoś udało mu się wybrnąć.

Weszli do karczmy. Mężczyzna zatrzymał się przy schodach.

- Dobranoc. Musimy wyruszyć wcześniej, żeby znaleźć się nad rzeką, kiedy odpływ osiągnie kulminację.

- A pan, majorze? Nie udaje się pan na spoczynek?

- Muszę jeszcze dopilnować tego i owego. Niech mi pani wierzy, jestem przyzwyczajony, by spać o każdej porze dnia i nocy i w rozmaitych miejscach. Proszę się o mnie nie martwić. Na panią już pora.

- A zatem dobranoc panu.

- Dobranoc.

## 16

Sophia niechętnie wspięła się na górę do sypialni, gdzie matka, zmęczona po dniu podróży, dawno już mocno spała. Żałowała, że nie przyszła jej do głowy żadna wymówka, dzięki której mogłaby dłużej rozmawiać z majorem, ciesząc się łączącym ich uczuciem bliskości. Jego obecność i to, że potrafił wyobrazić sobie, jak musiało wyglądać życie z lordem Harrym, stanowiło dla niej coś budzącego zaufanie i pocieszającego. Prawdę mówiąc, w chwili gdy delikatnie wycierał krople deszczu z jej twarzy, zapomniała o zmęczeniu. Jak on to powiedział? *Chciałbym oszczędzić pani trudu*. Mężczyźni niejedną raz ofiarowali Sophii swoją pomoc, ale zazwyczaj czynili to nie dlatego, by dbali o jej dobro, lecz dlatego, iż sądzili, że zrobią to lepiej. Major lord Mark Adair zaś wyraźnie stwierdził, że kieruje się troską o jej wygodę, a nie dlatego, iż wątpi w jej umiejętności.

Westchnęła, rozpinając guziki amazonki. Troska i chęć opieki majora były prawie namacalne. Wyczuła ją w ciepłe jego dłoni, gdy odbierał od niej płaszcz, w napięciu mięśni, gdy ogarniając ją ramieniem, wyprowadzał ze stajni. Wyczytała ją w jego oczach, gdy przyglądał się jej, szukając śladów zmęczenia i wziębienia.

Wydostała się ze swej wciąż wilgotnej sukni i odwiesiła ją starannie, mając wbrew doświadczeniu nadzieję, że rano będzie trochę suchsza. Jakie to przyjemne, kiedy ktoś troszczy się tylko i wyłącznie o nas. Generał Curtis w dużym stopniu sprawił, że ich życie stało się szczęśliwsze i bezpieczniejsze, ale chociaż wobec Sophii zachowywał się w sposób niezmiernie życzliwy, jasne było, iż czyni tak przede wszystkim ze względu na jej matkę, z czego dziewczyna była bardzo zadowolona, lecz jednak czuła się odrobinę poza nawiasem. Tym razem ktoś uznał jej własną wygodę i szczęście za przedmiot swej troski.

Przebijając się w koszulę nocną i kładąc się do łóżka, powtarzała sobie, że major prawdopodobnie uczyniłby dokładnie to samo dla każdej, jak to sam określił, „pięknej młodej damy”. Łatwość, z jaką przyjął jej podziękowania, bezwzględnie wskazywała na to, że znajdował się w podobnej sytuacji już wiele razy, więc korzystniej będzie, jeśli ona, Sophia, nie pozwoli, by jego słowa wzbudzały w niej jakiegokolwiek cieplejsze uczucia. Przykrywając się kołdrą, pomyślała, że może jednak nie jest dla niego pierwszą lepszą „piękną damą”. Chociaż starała się całą sytuację traktować chłodno i z dystansem, czuła, że jej serce pragnie wierzyć, iż major troszczy się o nią, gdyż mu na niej zależy. Nie mógłby przecież z taką łatwością czytać w jej myślach, gdyby była mu najzupełniej obojętna?

Sprawa była jednak niepewna, tym bardziej że Sophia przecież aż za dobrze wiedziała, z jaką łatwością może się zdarzyć, iż szarmancki kawaler, jednego dnia otaczający swą wybrankę atencją i troską, na-

stępnego całkowicie zapomina o jej istnieniu. Lepiej od razu *wyżyć* się złudzeń i zająć się kwestiami czekającej ją dalszej podróży.

Następnego ranka Sophia i jej matka wstały przed świtem, ale gdy zeszyły na dół, major już na nie czekał w saloniku.

- Pozwoliłem sobie zamówić śniadanie - wskazał kubki z czekoladą i koszyczki ze świeżym chlebem, stojące na stole przy kominku. - Obawiam się, że nie mają panie zbyt dużo czasu na posiłek, gdyż poleciłem, by zaprzęgano konie i przyprowadzono karety. Powinniśmy znaleźć się przy brodzie, zanim odpływ osiągnie kulminację, żeby móc przekroczyć rzekę w chwili, gdy będzie najpłytsza.

Pomagając paniom usiąść, uśmiechał się do nich mile, ale z bliskości, która pojawiła się poprzedniego wieczoru, nic już nie pozostało. Nalewając sobie czekolady, Sophia obserwowała majora spod rzęs, ciesząc się, że zdołała sobie wczoraj wieczorem wyperswadować wszelkie złudne wyobrażenia na temat grzeczności, jakie jej czynił. Starając się nie zwracać uwagi na to, jaki wpływ sama myśl o majorze miała na jej żołądek, dziewczyna sięgnęła po spory kawałek chleba.

Mała grupka w milczeniu pokonała wąskie, kamienne uliczki Fuenterrabii. Nieliczni pozostali w miasteczku żołnierze pomału zaczęli się ruszać, gdy podróżnicy znaleźli się na wielkiej łące nad rzeką i skierowali do przerwy w umocnieniach, które jeszcze niedawno chroniły teren przed nieprzyjacielskim ogniem z drugiego brzegu.

- Widzicie - Mark wskazał leżące na piasku pływa-

**ki, które stanowiły** początek mostu. - Gdybyśmy zaczekali **kilka dni**, przekroczylibyśmy tę rzekę suchą nogą.

- Owszem, ale w ciągu kilku dni wiele się może wydarzyć, majorze. Sophia i ja nigdy nie wybaczyłybyśmy sobie, gdybyśmy nie dołożyły wszelkich starań, by jak najprędzej zapewnić generałowi ciepłe posiłki i domowe ognisko.

Mark uśmiechnął się.

- Prawdziwy z pani frontowiec. Dobrze więc, ruszajmy. - Pochylił się, by chwycić uzdę konia przy pierwszej karecie, a potem powoli poprowadził go przez rwącą wodę. Zwierzę parskło z niepokojem i nerwowo wywracało oczami, ale stosunkowo posłusznie ruszyło w ślady Cezara.

Na początku Mark poświęcił całą swoją uwagę własnemu wierzchowcowi i koniom ciągnącym karete i nie mógł zajmować się Sophią. Kiedy wreszcie mógł spojrzeć w jej kierunku, okazało się, że ona i Atalanta znajdują się pośrodku rzeki. Woda sięgała już do brzucha klaczy, ale i amazonka, i koń były najzupełniej spokojne, jakby promenowały po Hyde Parku.

Mężczyzna poczuł przypływ niezrozumiałej dumy na ten widok. Poprzedniego dnia wielu doświadczonych oficerów kawalerii z trudem zmusiło swoje wierzchowce, by wkroczyły do bystrej wody, ale Sophia nawet nie mrugnęła okiem, a jej spokój udzielił się Atalancie, która mozolnie przebijała się przez masy wodne, nadstawiając czujnie uszu i wpatrując się uporczywie w drugi brzeg.

Ostatnim silnym pociągnięciem konie wydostały się na drugą stronę i tam zatrzymały się, parując w po-

rannym słońcu. Druga karetka podążyła ich śladem i po chwili wszyscy stali na brzegu, łapiąc oddech i patrząc za siebie na rzekę, którą dopiero co przekroczyli.

- Nareszcie Francja! - zawołała Sophia, podjeżdżając do karety. - Mamo, czy myślałaś, że dożyjemy tego dnia?

- Nie, moja droga, nie śmiałam o tym marzyć. - Lady Curtis wychyliła się z karety. - Jednak sukces nasz w dużym stopniu zawdzięczamy panu, majorze. Dziękuję.

- Tak, dziękujemy panu - dodała poniewczasie Sophia, bardziej zainteresowana ożywioną działalnością, która miała miejsce na tym brzegu. Osłaniając oczy dłonią, przyglądała się znajdującemu się przed nimi urwistemu zbocz. - O ile się nie mylę, na szczycie tego wzgórza założono obóz.

- Tak. Francuzi opuścili go wczoraj w wielkim pośpiechu, więc nasi chłopcy po prostu go zajęli. Mówiono mi, że jest tam bardzo wygodnie, a widok, sięgający Zatoki Biskajskiej, prawdziwie wspaniały.

- A więc na co czekamy? - Sophia sięgnęła po wodze, które wypuściła była z ręki, gdy, przekroczywszy rzekę, zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu i zorientować się w okolicy.

- Na co, w istocie? - Major nie mógł ukryć zdziwienia. To, że przed chwilą musiała walczyć z silnym prądem rzeki i prowadzić konia po kamienistym dnie, znajdującym się na cztery stopy pod wodą, nie zniechęciło jej do dalszych wysiłków. Była gotowa natychmiast ruszyć dalej i zmierzyć się ze stromym, porośniętym lasem górskim grzbietem. Mark ponaglił Cezara i podjechał przed pierwszą karetką, skinał gło-

wą woźnicy i poprowadził całą grupkę pełną wyboi drogą, wiodącą na wierzchołek.

Posuwali się powoli do przodu w kompletnej ciszy, gdyż tak zwierzęta, jak i ludzie musieli skupić całą uwagę na nierównościach terenu, aż wreszcie dotarli na szczyt, gdzie ujrzeli przed sobą coś jakby wioskę. Ulice i place zostały ponazywane imionami drogimi dla ich poprzednich użytkowników: *RUE DE PARIS*, *RUE DE VERSAILLES*, a jej nowi mieszkańcy rozgaszczali się w porzuconych chatach.

Sophia wstrzymała Atalantę i głęboko wciągnęła w płuca chłodne, rześkie powietrze, pachnące sosną i ogniskiem oraz apetycznym zapachem potraw, gotowanych w całym obozie. Żołnierze czyścili broń, przeglądali uprząż i zagospodarowywali swoje nowe kwatery tak spokojnie, jakby stacjonowali tu już od wielu miesięcy, a nie od wczoraj, i to po trudnej przeprawie przez rzekę i walce, która nastąpiła potem. W dali rozciągała się żyzna równina, nawadniana przez rzeki Nive i Nivelle, a po lewej stronie, tak, jak obiecywał major, pobłyskiwały w jesiennym słońcu ciemnobłękitne wody Zatoki Biskajskiej.

Gdy znaleźli się już blisko obozu, Mark zwrócił się do woźnicy.

- Zaczekaj tu, aż znajdę twojego pana. - I odjechał w poszukiwaniu generała Curtisa. Nie było go przez jakiś czas i konie zaczęły nerwowo szarpać się w uprzęży, gdy wreszcie zjawił się generał, śpiesząc powitać swe damy.

- Bardzo szybko się z tym uwinęliście, moja droga! - zawołał, podając dłoń żonie, wyłaniającej się z karety. - Wszystko poszło gładko?

- Jak najbardziej. A nasz rychły przyjazd zawdzięczamy wyłącznie majorowi. - Lady Curtis skinęła głową ich przewodnikowi, ale on tego nie zauważył, gdyż właśnie skierował się do Sophii, by pomóc jej zsiąść z konia.

- Mam nadzieję, że nie uważa mnie pan za żalosną istotę, która nie potrafi zrobić tego samodzielnie. - Dziewczyna zignorowała wyciągniętą rękę i zgrabnie zsunęła się na ziemię, po czym, wygładziwszy spódnicę, podeszła do generała i swojej matki.

Markowi nie pozostało nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry i przyjąć podziękowania generała.

- Cieszę się, że zaopiekował się pan moimi paniami, majorze - rzekł ten ostatni. - Świadomość, że pan się o nie zatroszczy, była mi wielką ulgą, bo zapewniam pana, że o wiele łatwiejsza wydaje mi się walka o zdobycie drugiego brzegu Bidasoa niż czuwanie nad dwiema upartymi kobietami. Wdzięczność moja nie zna granic. - Mrugnął porozumiewawczo do Marka, a potem zwrócił się do żony. - Chodźmy, muszę pokazać ci naszą kwaterę. Jest bardzo skromna, ale Speen już tam jest i działa. To domek niewiele większy niż chaty dla żołnierzy, ale ma kominek i solidny dach. Ufam, że będzie ci tam wygodnie, ale pamiętaj, że to ty nalegałaś, aby tutaj przyjechać.

- Wiem. - Lady Curtis uśmiechnęła się czule do męża, pozwalając prowadzić się przez prymitywne uliczki.

Sophia już miała ruszyć za nimi, gdy wzrok jej padł na majora, który właśnie odwiązywał Cezara od pnia drzewa. Widok jego lekko przygarbionych jakby ze zmęczenia ramion wywołał w niej przypływ nieoczekiwanej czułości. Walka z prądem podczas przepra-



wy, a potem trudności wspinaczki po nierównym terenie sprawiły, że prawie całkiem zapomniała o jego istnieniu. Czując zaś ogarniające ją coraz silniej zmęczenie, pomyślała, iż on musi być jeszcze bardziej utrudzony, gdyż na nim to spoczywała odpowiedzialność za losy ich małej grupki.

- Majorze?

Mark odwrócił się z pewnym zdziwieniem. Lekceważenie, z jakim przyjęła jego propozycję pomocy przy zsiadaniu z konia, sugerowało, że dziewczyna chce jak najprędzej pozbyć się jego towarzystwa. Od początku podróży wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że jest ono dla niej niepożądane. Sophia Featherstonaugh doskonale sama dałaby sobie radę i chociaż nie pogardziła jego pomocą, wcale też jej nie wymagała. I, co najdziwniejsze, on, który miał mniej tolerancji dla bezradnych kobietek niż większość mężczyzn, teraz żałował, że ta nie pragnęła więcej jego pomocy.

*Ma pan moją dozągonną wdzięczność...* Nie, to brzmi okropnie oficjalnie i zarozumiale. *Był pan dla nas niezmiernie uprzejmy...* Jeszcze gorzej. Sophia mięła w dłoniach rękawiczki, próbując dobrać właściwe słowa, by powiedzieć mu, że jego obecność bardzo dodawała jej ducha, zwłaszcza wtedy, gdy mieli wkroczyć do rwącej rzeki, albo wtedy, gdy stanęli u stóp drogi wijącej się po stromy zboczu, a ona czuła, że lada moment zabraknie jej odwagi.

Mark uniósł pytająco brew. Taka niepewność nie pasowała do zawsze opanowanej Sophii Featherstonaugh.

- Słucham?

- Ja... ach, nic. Dziękuję panu. Chciałam panu po prostu podziękować.

- Za co? Przecież nie zrobiłem nic, czego pani nie zdołałaby uczynić samodzielnie.

- Wiem. - Sophia przygryzła wargę. Jej słowa zabrzmiały arogancko i zarozumiale. - To znaczy, tak, mogłabym, jak sądzę, ale było mi o wiele przyjemniej mieć świadomość, że jest pan z nami.

Usta majora zadrgały. Dziewczyna mówiła szybko, jednym tchem. Widać było, że nie nawykła do wyrażania wdzięczności za pomoc, i Mark nie potrafił ukryć uśmiechu.

- Ach, nie ma za co. Muszę jednak wyznać, że wyrazy podziękowań od kogoś, kto jest przyzwyczajony do panowania... to znaczy... do samodzielnego wykonywania zadań w sposób dla siebie zadowolający, to wielki zaszczyt.

Sophia zeszywniała.

- Nie panuję...

- Spokojnie, panno Featherstonaugh, ja sobie tylko żartowałem. Wypowiedzenie słów podziękowań za coś, co stanowiło dla mnie największą przyjemność, sprawiło pani tyle trudności, że nie mogłem się powstrzymać.

- Naprawdę była to dla pana przyjemność? - Zmarszczyła brew z takim zdziwieniem, że Mark wybuchnął śmiechem. Nie miał już teraz najmniejszej wątpliwości, że niezwykle samodzielna Sophia Featherstonaugh jest równocześnie bardzo naiwna. Nigdy dotychczas nie spotkał panny, która byłaby tak czarująco szczerą i bezpretensjonalną.

- Niech mi pani wierzy, byłem zaszczycony, mogąc wam towarzyszyć. Nie, proszę się nie obrażać. To nie są puste komplementy. Jeśli mam być szczerą, to powiem, że gdyby poproszono mnie o zaopiekowa-

nie się jakimikolwiek innymi kobietami niż pani i jej matka, postarałbym się uniknąć tego zadania bez względu na to, kto by mnie prosił. Ale poznałem już panią na tyle, by wiedzieć, że byłaby pani w stanie odbyć tę podróż najzupełniej samodzielnie, więc, paradoksalnie, zaprzagnąłem pani pomóc, chociaż w rzeczywistości przydałem się niewiele.

- Ależ skąd. Przez całą drogę miałam świadomość, że jeśli coś mi się stanie, pan wszystkim się zajmie. Dotychczas nigdy tak nie bywało. Tak, mama jest bardzo dzielna, ale nie zna się na koniach i karetach. Owszem, jest też generał, ale on ma swoje obowiązki. Luis i cała reszta wykonują, co do nich należy, ale nie potrafią myśleć i planować. Robią to, co im się poleci, i chociaż są wierni i pracowici, nie uczynią nic ponad to, co im się powie. To po prostu nie leży w ich naturze. Pan zaś od lat znajdował się w niebezpieczeństwie i wie, jak sobie radzić, gdy wydarzy się coś nieprzewidzianego. Nie ma pan pojęcia, jak to jest, kiedy można polegać na kimś drugim.

Wielkie, orzechowe oczy patrzyły na niego prosząco, jakby ich właścicielka ze wszystkich sił chciała, by zrozumiał, ile to dla niej znaczyło. Mark odetchnął głęboko i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że to, iż podczas drogi rozumieli się tak doskonale i współpracowali tak gładko, liczyło się dla niego nie mniej.

Ujął jej dłoń, która wciąż bawiła się nerwowo rękawiczką, i uniósł sobie do ust.

- Cieszę się, że odczuła to pani w taki sposób, gdyż ja sędzę o pani dokładnie to samo. Chociaż mam do czynienia z mężczyznami, którzy zostali wyuczeni do wykonywania zawodu żołnierza, nie spotkałem

wśród nich wielu, na których mógłbym bezwzględnie *liczyć* w trudnych chwilach w takim stopniu, jak na panią. - Przycisnął usta do ciepłej, gładkiej skóry jej dłoni. Potem wykonał zarys ukłonu, wskoczył na Cezara i odjechał w stronę kwatery głównej.

Teraz Sophia powoli wypuściła powietrze z płuc. A więc on zrozumiał, co to znaczy odnaleźć osobę, do której można mieć zaufanie i na której można polegać w niebezpieczeństwie. Jakimż cudem jest takie zrozumienie i jakże rzadko się ono zdarza, a jednak oto właśnie miało miejsce. Była tego świadkiem, ilekroć generał i jej matka wymieniali spojrzenia, i zawsze im zazdrościła.

Wspinając się na grzbiet Atalanty, która cierpliwie przeczekała rozmowę swej pani, Sophia udała się w kierunku, w którym oddalili się generał i jej matka.

## 17

Przez następnych kilka dni Sophia i jej matka były tak zajęte przekształcaniem pasterskiej chaty w wygodny apartament, że nie miały czasu na nic innego i przebywały głównie we własnym towarzystwie, podczas gdy armia szykowała się do następnego posunięcia. Wellington, jego doradcy i generał Curtis spędzali mnóstwo czasu w siodle, porozumiewając się z oddziałami rozciągniętymi wzdłuż łańcucha wzgórz, górującego nad równinami Gaskonii. Ku swojemu zadowoleniu, Mark dostał rozkaz powrotu do dawnego oddziału jako oficer kawalerii i delectował się tym, że nie jest już oficerem zwiadowczym.

Tak się wkrótce zagłębił w przygotowaniach do ofensywy przeciwko Francuzom, zamkniętym w forcie Saint-Jean-de-Luz i broniących kamiennych redut rozmieszczonych wzdłuż rzeki Nivelle, że nie miał wiele czasu, by myśleć o Sophii, poza rzadkimi chwilkami, kiedy znajdując się na stromej grani, podziwiał rozciągającą się w dole panoramę i wyobrażał sobie, jakież byłyby to świetny temat dla kogoś, kto doskonale potrafi malować romantyczne krajobrazy. Podświadomie oczekiwał, że ujrzy gdzieś smukłą postać, usadowioną przy sztalugach, ale daremnie, gdyż Sophia nigdy się nie pojawiła.

Spotkał ją przy jej artystycznym zajęciu w zupełnie innym miejscu. Nie pracowała nad oddaniem uroku rozległego pejzażu, lecz borykała się z brakiem dobrego światła i zaduchem, jakie panowały w szpitalu polowym.

Nieco wcześniej tego samego dnia Sophia walczyła z paroma upartymi pajakami w ich kwaterze, gdy obok niej pojawił się Speen. Dziewczyna nawykła do jego miłkliwości i kompetencji, ale tak bardzo się zamysliła, iż nie zauważyła nawet jego obecności, dopóki nie chrząknął.

- Panno Sophio?

- Och! - Dziewczyna drgnęła nerwowo, upuszczając miotłę, której używała do usuwania pajęczyn. - Speen, ależ mnie przestraszyłeś.

- Najmocniej przepraszam, panienko, ale pewien młody chłopiec z sześćdziesiątego pułku piechoty został poważnie ranny. Znalazł się tam, gdzie nie powinien, i wpadł na wycieczkę Francuzów. Bardzo cierpi, a pan Henry, nasz chirurg, twierdzi, że nic mu już nie pomoże i proponuje podać mu opium. Ale pomyślałem, że to jeszcze dzieciak, z dala od domu, i może zechciałaby panienska go odwiedzić i trochę z nim pobyc.

- Mimo że wydajesz się takim służbistą, Speen, miękkie masz serce - Sophia uśmiechnęła się.

- Być może, ale to naprawdę jeszcze dzieciak.

- Dobrze więc. - Sophia odwiązała fartuch, powiesiła go na kołku i, szykując się na różne ewentualności, sięgnęła najpierw po Biblię, a potem po przybory do rysowania. - Jestem gotowa. Prowadź.

Speen powiódł ją do kolejnej pasterskiej chaty, nieco większej, ale mającej mniej okien niż kwatery generała Curtisa. Okna te zasłonięto, żeby zatrzymać

wewnątrz jak najwięcej ciepła, wytwarzanego przez dwa kominki znajdujące się na przeciwległych krańcach pomieszczenia. Przy obu dłuższych ścianach ustawiono prycze i oprócz urywanych oddechów kilku chorych w sali panowała śmiertelna cisza.

Ordynans zatrzymał się przy łóżku znajdującym się najbliżej drzwi i odszedł do innych swych obowiązków. Młodzieniec, dopiero co wyrosły z lat dzieciennych, leżał nieruchomo, zaciskając w pięści ułożone po bokach dłonie. Wilgotne od potu jasne włosy kleiły się do jego pobladłego czoła, a w błękitnych oczach malowało się wywołane nadmiarem bólu otępienie. Oddychał z trudem.

Sophia opadła na ustawiony obok łóżka taboret i łagodnie ujęła lepką dłoń rannego.

- Na imię mam Sophia. Speen powiedział mi, że nie jest z tobą najlepiej, więc przyszłam, żeby zapytać się, czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić. Mogę poczytać ci Biblię albo napisać list.

Chłopiec prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

- Nikt z moich nie potrafi czytać.

- Masz rodzinę?

- Mamusię. Bardzo się trapiła, kiedy się zaciągnąłem. - Urwał, by nabrać tchu. - I miała rację.

- To może narysuję ci portret.

- Portret? - W oczach młodzieńca pojawił się nikiły błysk zainteresowania.

- Tak. Mam tu papier i ołówki.

- Ale nie tak, jak teraz...

- Nie, nie taki, jak teraz wyglądasz, ale taki, jak byłeś, kiedy się zaciągnąłeś.

- Dobrze. - Było to bardziej technicznie niż odpowiedź.

Delikatnie uwolniwszy rękę, Sophia wydobyła szki-

ownik i ołówek i zaczęła pospiesznie odtwarzać zarys głowy młodego żołnierza. Wiedziała, że musi pracować szybko i często robić przerwy, by pokazywać mu, jak idzie praca.

Poza wysiłonym oddechem chłopca i szelestem ołówka na papierze w szpitaliku panowała cisza. Sophia starała się odtworzyć wygląd swego modelu z lepszych jego dni. Nie było to łatwe, a ona miała mało czasu. Młody człowiek gasł w oczach.

- Proszę. - Sophia wyprostowała się i podsunęła mu szkicownik. - To tylko zarys. Jak ci się podoba? Tak będzie dobrze?

- T-tak. - Na ustach rannego pojawił się blady uśmiech.

Dziewczyna na nowo wzięła się do pracy. Dumnie wyprostowany młodzieniec prężył się w swym mundurze, opierając jedną rękę na karabinie, a w tle rysowały się poszarpane grzbiety Pirenejów. Sophia pracowała pospiesznie, wrysowując szczegóły, gdy nagle coś jej przyszło do głowy.

- Muszę wiedzieć, jak się nazywasz ty i jak twoja matka, i dokąd mam posłać obrazek.

- Jestem Billy, proszę pani, Billy Barnes.

- A matka?

- Pani Barnes. Domek tuż obok oberży w Fingest.

- Dobrze. Postaram się, żeby to dostała. - Sophia znów podsunęła obrazek pod oczy rannego.

- Jest świetny, proszę pani. Na pewno jej się spodoba. Ale teraz muszę trochę odpocząć. - Dokończył prawie niedosłyszalnie.

Cicho i ostrożnie Sophia odłożyła swoje przybory rysunkowe, delikatnie ujęła dłoń umierającego i lekko pogładziła mu czoło.



- Mamo. - Słowo to zostało wypowiedziane tak cicho, że ledwo je usłyszała, ale towarzyszące mu spojrzenie, jakie posłał Sophii, odwracając do niej głowę, powiedziało jej, że udało jej się osiągnąć to, na co miała nadzieję.

Siedziała przez jakiś czas, trzymając za rękę martwego żołnierza. Piekły ją oczy, ale zdołała się opanować. Nie może się poddawać; ktoś musi być silny.

Nie tylko w oczach Sophii pojawiły się łzy. W drzwiach stał Mark, który od pewnego czasu przyglądał się, jak dziewczyna stara się ulżyć umierającemu.

Przyszedł, by sprawdzić, jak czuje się jeden z doradców Wellingtona, złożony gorączką, ale zatrzymał się w wejściu, widząc Sophię i jej pacjenta. W tej chwili Mark oddałby wszystko, by umieć rysować. W mdłym blasku światła dobiegającego od drzwi wejściowych dziewczyna wyglądała tak pięknie jak anioł. Mimo że major tyle razy zetknął się ze śmiercią, poczuł, że też ma mokre oczy. Coś zaczęło go dławić w gardle i nagle ogarnęła go dawno niezaznana tęsknota za matką. Zaraz jednak przed jego oczami pojawił się obraz ojca, który mówił surowo: *Tak tego chłopca rozpuszczasz, że wyrośnie na starą babę, i matki, z trudem panującej nad łzami, wybiegającej z pokoju, w którym leżał chory. Nie, ojczu, pomyślał ponuro Mark, nie stałem się starą babą. Wojna i śmierć mnie nie wzruszają, ale czułość i łagodność rozbijają mnie całkowicie.*

Z zamyślenia wyrwał go gest Sophii, łagodnie wysuwającej swoją dłoń z uchwytu zmarłego żołnierza i krzyżującej mu ręce na piersi. Gęsto mrugając oczami, dziewczyna zebrała swoje rzeczy i powoli ruszy-

ła do wyjścia, nie dostrzegając majora, dopóki ten nie wyciągnął dłoni, by pomóc jej przekroczyć próg.

- Och, to pan. - Nie okazała najmniejszego zdziwienia na jego widok. Prawdę mówiąc, jej słowa zabrzmiały tak, jakby spodziewała się go tu spotkać.

Ująwszy Sophię pod ramię, Mark zaprowadził ją do kępy drzew rosnących na skałach na tyłach szpitala. Bez słowa odebrał od niej tornister, oczyścił duży głaz i usadowił ją na nim, po czym, wciąż obejmując jej ramiona, usiadł obok.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, aż wreszcie Sophia odwróciła się do majora ze łzami w oczach.

- Dlaczego tylu młodych ludzi musi ginąć? I czy nigdy nie pozbędziemy się poczucia bezradności wobec takiej śmierci, tego zniszczenia i rozpaczy...

Mark powoli pokręcił głową, a przed jego oczyma pojawiły się obrazy przyjaciół, padających pod ogniem nieprzyjaciela, i podkomendnych, tratowanych przez końskie kopyta.

- Nie. Nigdy. Najpierw na widok takich rzeczy odczuwa się nagły gniew, który potem przemienia się w niegasnący płomień, i to właśnie sprawia, że wciąż walczymy, ryzykując życie.

- I nigdy nie pyta pan, po co to wszystko?

Łagodnie otarł łzę, która powoli spływała po jej policzku.

- Nie. Wiem, po co. Chodzi o to, żeby raz na zawsze z tym skończyć, żeby ludzie mogli żyć w pokoju, wrócić na swoje farmy i do swoich owiec bez lęku, że jakiś Francuz zechce przyjść i wszystko im odebrać. - Mark wolał się nie zastanawiać, jak będzie wyglądało jego własne życie, gdy wojna się skończy.

- Pan przynajmniej może działać.

Mark sięgnął do jej dłoni, które trzymała na kola-

nach, zaciskając je w pięści, ujął jedną z nich i podniósł do ust.

- Pani też dzisiaj miała możliwość coś uczynić. Moją odpowiedzią może być tylko śmierć i zniszczenie, pani ofiaruje pociechę. Co więcej, nie tylko pomogła pani temu nieszczęśliwemu umrzeć spokojnie, ale sprawiła pani, że pamięć o nim nie zginie na zawsze. To właśnie pani udzieliła właściwej odpowiedzi na swoje pytanie, nie ja.

Przycisnął usta do jej dłoni i chłód, który przenikał Sophię, nagle gdzieś zniknął. Ciepło pocałunku Marka wydawało się rozgrzewać całe jej ciało tak samo, jak jego słowa ogrzały jej serce. Sophia przez wiele lat czuła się jak zbędny dodatek, podczas gdy otaczający ją żołnierze naprawdę żyli, lecz teraz ten mężczyzna sprawił, iż ujrzała rzecz w innym świetle. Jego słowa spowodowały, iż uwierzyła, że i ona ma coś innym do zaoferowania.

To, co powiedział, wydawało się być echem jej myśli.

- Nie tylko przyczyniła się pani do tego, że pamięć o tym chłopcu nie zginie. Portret jest znakomity: to bardzo hojny dar.

- Dziękuję panu. Często miałam nadzieję... - Sophia urwała. Niewiele brakowało, a zdradziłaby mu swoje najgorętsze marzenie, coś, o czym nie mówiła nikomu, nawet matce. Zapatrzwszy się na majaczące w oddali góry, zastanawiała się przez chwilę, czy powinna o tym opowiadać. To, że jakaś osoba okazuje jej współczucie w szczególnie trudnej chwili, nie oznacza, że zaakceptuje jej szalone rojenia.

- Miała pani nadzieję... - Mark patrzył, jak panna rumieni się z zażenowania, ciekaw, jakiego to pragnienia wstydzi się zdradzić innym.

Sophia nie zareagowała na jego słowa, wciąż patrząc w dal przed siebie, dopóki stanowcza dłoń nie ujęła jej pod brodę i odwróciła jej twarz, zmuszając, by spojrzała na kogoś, kto był bardzo blisko. W oczach Marka malowało się zainteresowanie i jeszcze coś, czego nie potrafiła do końca odczytać. Nagle wydało jej się żałosne, iż wzdraga się zwierzyć komuś, kto do tej pory okazał jej tyle szacunku i zrozumienia.

Nie mogąc znieść badawczego wzroku majora, odwróciła oczy, wpatrując się z zainteresowaniem w kółka, które kreśliła czubkiem buta na ziemi.

- Ach, mam nadzieję, że... no cóż, że nauczę się na tyle dobrze malować, by stać się tak znana jak Elisabeth Vigee Lebrun i Angelica Kauffmann. - Słowa popłynęły strumieniem, jakby Sophia bała się, że w inny sposób nie zdoła ich wypowiedzieć.

- Maluje pani równie dobrze jak one.

Sophia podniosła na Marka zdziwione spojrzenie. Przez chwilę myślała, że robi sobie z niej żarty, ale jego uśmiech był szczery, a w oczach malowało się ciepło i aprobata.

- Widziałem kilka portretów Kauffmann... Frances Hoare, księżnej Richmond z synem, margrabiny Townsend... i zapewniam, że chociaż są znakomicie wykonane, osobowość modela nie jest w nich oddana tak doskonale, jak pani to potrafi.

- To być nie może. - Sophia popatrzyła na niego niepewnie. - Naprawdę pan tak myśli?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. - Dlaczego właśnie teraz ogarnęła go tak nieprzeparta chęć, by ucałować jej usta, które rozchyliły się lekko, a jej twarz ożywiła się nadzieją? Mark nie potrafi! sobie

tego objaśnić. Pocałunek to chyba nie najlepszy argument, by przekonać Sophię Featherstonaugh, że rzeczywiście ceni sobie jej talent. Wręcz przeciwnie, w rezultacie dziewczyna zwątpiłaby w jego szczerość. Przypomniał sobie, jak się zachnęła, kiedy nazwał ją „piękną młodą damą”. Jednak teraz właśnie zapragnął przyciągnąć ją do siebie, poczuć ciepło jej ciała w swych ramionach, wpleść palce w jej ciemne loki i miażdżyć pocałunkami jej usta, aż zabraknie jej tchu i zakręci się w głowie tak jak jemu.

By się opanować, Mark wziął głęboki wdech. Nic z tego nie rozumiał. Zawsze lubił, by kobieta była oszałamiająco piękna, prowokująca i wyrafinowana, a to młoda panna, jeszcze dziecko nieomal, nie mająca w sobie nawet cienia kokieterii, traktująca wszystkich mężczyzn jak kolegów i nic ponadto. On zaś od pewnego czasu nie myśli o niczym innym, jak tylko by ją całować, by uczyć się na pamięć jej ciała... To chyba przez surowe życie, jakie tu wiedzie, przez obowiązki żołnierza, które sprawiły, iż dawno już nie miał kobiety. Otóż właśnie. Mark bezlitośnie stłumił w sobie myśl, że przecież córka oberżysty w Fuenterrabia robi do niego słodkie oczy i podając do stołu pochyla się tak, by mógł dobrze się przyjrzeć, jaki ma dekolt, że żona alkada w Irun często napomyka, iż prawie przez cały dzień mąż jej pozostaje poza domem... Nie chciał teraz pamiętać, że na jego drodze stale pojawiały się jakieś kobiety, gotowe na jego skinięcie, i wolał się nie zastanawiać, dlaczego pragnie właśnie tej jednej.

Sophia pytająco przechyliła głowę, próbując odczytać wyraz twarzy majora. W tej chwili biła z niej jakaś

stłumiona energia. Oczy mu pociemniały, a pod opalenizną dawało się dostrzec napięcie, które sprawiało, że rysy mężczyzny zaostrzyły się, podkreślając wysokie kości policzkowe i orli nos. Ta niezwykła energia przyciągała dziewczynę jak magnes. Wiedziona impulsem Sophia położyła dłoń na ramieniu Marka.

- Dziękuję panu - szepnęła.

- Co?

- Dziękuję. - Tym razem udało jej się wydać głos, który jednak zabrzmiał jak skrzypnięcie. - Dziękuję, że wierzy pan w moje zdolności i nie wyśmiewa moich żałosnych aspiracji.

- Ach. - Mark z wysiłkiem oderwał wzrok od kuszących ust i łagodnego zarysu piersi, malującego się pod cienką, cytrynowej barwy taftą, z której wykonany był jej dopasowany płaszcz. Odetchnął głęboko i opanował się. Przyprowadził ją do tego ustronnego miejsca, by ją pocieszać, nie zaś wykorzystać. Co się z nim dzieje? Nigdy w życiu nie doznawał naraz tylu sprzecznych uczuć: tęsknoty za kojącym dotykiem matczynej dłoni, współczucia wobec umierającego żołnierza i smutku kobiety, która towarzyszyła mu do ostatniego tchnienia, a zaraz potem pragnień, które opanowały go w chwili, gdy ani się ich spodziewał, ani potrzebował. Ten stan był niepokojący i wysoce niepożądany. Odważny do granic ryzyka, lord major Mark Adair zawsze dotychczas panował nad swoimi uczuciami... do chwili, gdy poznał Sophię Featherstonaugh. Ona zaś, ten wzór opanowania i niezależności, wprowadziła jego uczucia i myśli w tak wielkie pomieszanie, o jakie nigdy by sam siebie nie podejrzewał.

Jeszcze jeden głęboki oddech i Mark znowu był dawnym sobą.

- Cieszę się, że mogłem... - Co on takiego zrobił? Mark rozpaczliwie usiłował znaleźć właściwe słowa, ale patrząc w wielkie, orzechowe oczy Sophii zrozumiał, że wcale ich nie potrzeba. - Ma pani wielki talent, ja zaś czuję się zaszczycony, iż pytała mnie pani o zdanie. Ale każdy powie pani to samo.

- Może. - Sophia jakby trochę posmutniała. - Jednak uznanie to jedno, a wiara i pewność siebie to drugie. Wiele osób przyznaje, że umiem odtworzyć na płótnie podobieństwo, ale mało kto skłonny byłby uznać, że mogłabym uczynić ze sztuki mój zawód. Pan rozumie różnicę między łatwością do czegoś a prawdziwym zamiłowaniem. Człowiek rodzi się z pewnymi zdolnościami, namiętności zaś trzeba poświęcić całe życie. Pan jeden wydaje się wiedzieć, na czym polega różnica.

Mark ponownie uniósł jej dłoń do ust.

- To prawda, panno Featherstonaugh, tak jest w istocie. - Nie mogąc już dłużej znieść napięcia, jakie go ogarnęło, Mark wiedział, że ma do wyboru dwa wyjścia: albo chwyci ją w ramiona, albo natychmiast stąd odejdzie. Niepewny własnych uczuć, uznał, że powinien oddalić się, zanim będzie za późno. Czuł, że jeszcze chwila, a posunie się za daleko i będzie gotów dać tej dziewczynie więcej niż jakiegokolwiek innej.

Do tej pory Mark wierzył tylko jednej kobiecie w tym samym stopniu co Sophii, czcił tylko ją jedną, a ona zostawiła go, a nawet, jak sądził jego ojciec, pozbawiła czci ich rodzinę i okazała się zdrajczynią. Nawet teraz, po tylu latach, które upłynęły od dnia, gdy



usłyszał niechęcy rozmawiających w bibliotece rodziców, potrafił dokładnie odtworzyć głos księcia Cranleigh, który z pogardą zarzucał żonie, iż poświęca zbyt wiele uwagi młodemu, osamotnionemu sekretarzowi nowego ambasadora Hiszpanii. Mark słuchał oskarżeń o schadzki w ogrodzie różanym, o rozmowy nad stawem i chociaż wiedział, że matka pozostała kobietą uczciwą, zdawał sobie sprawę, że spotkania, które księżę miał za złe swojej żonie, rzeczywiście miały miejsce.

Zebrał się na odwagę i wszedł do biblioteki, by przemówić w obronie matki, by przysiąc, że *señor* Alvarez jest bardzo miłym człowiekiem i zapewnić o jego szlachetności. Jednak choć dzielnie zniósł miażdżącą pogardę ojca, zaczął się zastanawiać, czy oskarżenie matki o niewierność nie było słuszne. Uciekł do swego pokoju, cierpiąc męki niepewności, których wcale nie zmniejszył fakt, że matka nagle odizolowała się od wszystkich, odmawiała widzenia kogokolwiek i zaczęła podupadać na zdrowiu, co w rezultacie skończyło się jej śmiercią. Nie chciał wierzyć ojcu, czekał, aż matka obali okropne pomówienia, ale zamiast tego ona odeszła... co wydawało się przyznaniem do winy... i zostawiła go samego, pozbawiła go swej miłości, swej troski i zainteresowania jego radościami i smutkami, nadziejami i lękami. Z latami pamięć o niej stawała się coraz bardziej mglista, lecz nie poczuł, iż został przez nią opuszczony. Przysiągł więc sobie, że nigdy w życiu nikomu nie zaufa, a gdy się ożeni, co, jak wiedział, kiedyś będzie musiało nastąpić, nie zrobi tego z miłości. Teraz zaś oto nie tylko był gotów zawierzyć drugiej osobie, co

więcej - pragnął tego z całego serca. Najwyższa pora opanować te chęci, zanim nie zrobi się za późno.

- A teraz, wybacz pani... - nawet dla niego samego słowa te zabrzmiały niepotrzebnie szorstko - książkę polecił mi wrócić nie później niż za godzinę, a ja nie mogę go zawieść. Jak pani sama dobrze wie, nie każe się czekać staremu Duoro. - Złożył jej krótki ukłon i odszedł, zostawiając Sopię samą ze swym pomieszaniem.

Sophia powoli wracała do swojej kwatery, omijając łukiem obóz, ale trzymając się wewnątrz linii straży. W jej myślach i w jej duszy panował zamęt, który chciała opanować, zanim kogokolwiek spotka. Przede wszystkim czuła radość, która powracała z nową siłą, ilekroć przypomniwała sobie słowa: *Ma pani wielki talent, ja zaś czuję się zaszczycony, iż spytała mnie pani o zdanie*. Jednak Sophia nie potrafiła powiedzieć, co więcej dla niej znaczyło: czy to, że major docenił fakt, iż zaufała mu na tyle, by zdradzić swoje najskrytsze marzenie, czy też to, iż uznał, że talentem dorównuje Angelice Kauffmann.

Zatrzymała się, by popatrzeć na widniejącą w od dali Zatokę Biskajską. Nie była w stanie stwierdzić, czy bardziej pragnie, by major lord Mark Adair stał się jej bliski, czy by ją podziwiał. Poczowała rozkoszny dreszcz na wspomnienie, w jaki sposób patrzył na jej usta, a potem w oczy. Przez chwilę sądziła nawet, że może ją pocałuje. Na tę myśl zapłonęły jej policzki, tym bardziej że przez chwilę ona sama bardzo chciała, by to uczynił. Wydawał się taki silny i niewzruszony, gdy prowadził ją do kępy drzew, a jego ramię tak pewne, że zapragnęła wesprzeć się na nim, zaczerpnąć z niego sił życiowych i wymazać sprzed

oczu obraz poszarzałej z bólu twarzy Billy'ego Barnes'a.

Jednak, i do tego Sophia wstydziła się sama przed sobą przyznać, obraz Billy'ego zniknął bardzo szybko, a tym samym konieczność szukania pociechy. Istniał jakiś inny powód, dla którego zapagnęła poczuć obejmujące ją silne ramiona i usta na swoich ustach; coś zupełnie innego niż potrzeba pokrzepienia sprawiało, iż brakowało jej tchu. Nie wiedząc dokładnie, czym było owo *to*, dziewczyna zdawała sobie sprawę, że pragnie *tego* jak wody po długiej przejażdżce w upalny dzień. Co więcej, *to* nie miało nic wspólnego z podziwem Marka dla jej talentów malarskich ani też jego aprobatą dla planowanej kariery zawodowej. Nie, po prostu pragnęła go jako mężczyzny, miała ochotę śledzić dłonią linie jego twarzy, zatopić palce w gęstych, ciemnych włosach, przytulić się do silnego ramienia, poczuć jego wargi na swoich.

Sophia potrząsnęła głową z niezadowoleniem. Zawsze zdawało jej się, że jest na te rzeczy odporna. Otaczało ją wielu młodych mężczyzn, lecz wszystkich traktowała jak braci. Żaden z nich nie wywarł na niej większego wrażenia aż do tej chwili. Choć nie miała dużej styczności z przedstawicielkami swojej płci, słyszała wystarczająco wiele od pokojówek i z rozmów żon znajomych w Lizbonie, by wiedzieć, co większość kobiet myśli na temat mężczyzn. Zazwyczaj skupiały większą część, o ile nie całą swoją energię na tym, by przyciągnąć uwagę tego czy też innego kawalera.

Ich sztuczki wydawały się dotychczas Sophii niemądre i niedorzeczne. Nie rozumiała, dlaczego kobiety czynią tyle zamętu, by zyskać sobie uwielbie-

nie jakiegoś mężczyzny, kiedy o wiele prościej było się z nim zaprzyjaźnić. Zawsze odczuwała wyższość wobec istot, które stosowały te naiwne sposoby. Cóż, teraz mogę o tym zapomnieć, pomyślała ponuro. Okazało się, że nie jest wcale inna, jej zajęło to tylko więcej czasu.

Znalazła się w pobliżu swojej chaty, ale nie chciała wchodzić do środka, nie przemyślawszy sprawy do końca. Jej matka z pewnością zauważyłaby, że coś jest nie w porządku.

Nie, lepiej weźmie szkicownik i pójdzie sobie kawalek dalej od ich kwatery, żeby narysować to, co stamtąd widać. Widniejące w oddali Pireneje wydawały się wyższe niż w rzeczywistości i tworzyły wspaniały obraz, który od pewnego już czasu chciała utrwalić. Zajmie się rysowaniem i dzięki temu odezwie się od niebezpiecznych myśli. Sama czynność przenoszenia obrazu na papier, ołówek, trzymany w rękę, i znajomy dotyk białej kartki podziałają na nią uspokajająco.

Znalazłszy sobie wygodny głąz, usiadła na nim i wydobyła szkicownik i ołówek. Przez jakiś czas zastanawiała się, od czego zacząć. Potem pewnie i szybko zaczęła stawiać pierwsze kreski, ale zarys, które utworzyły, nie przedstawiał wysokich szczytów górskich, lecz stanowcze i męskie rysy twarzy majora lorda Marka Adair.

Ubolewając nad własną słabością, Sophia poddała się nakazowi serca i dalej pracowała nad rysunkiem, najpierw powoli, a potem coraz szybciej

Nie potrafiła powiedzieć, ile czasu jej to zabrało, ale niebo nad górami zmieniło barwę z niebieskiej na

różową, a następnie ogarnął je głęboki szafir zmierzchu. Gdy wstawiała, by zebrać swoje rzeczy, bolały ją palce i kolana, ale w duszy czuła znacznie większy spokój niż w chwili, gdy rozstawała się z majorem.

Podniosła tornister i skierowała się do chaty, czując pewną ulgę. Może kierowało nią tylko pragnienie, by przelać jego obraz na papier.

Przyjrzała się portretowi raz jeszcze, a potem schowała szkicownik do tornistra i uśmiechnęła się do siebie. Tak, udało jej się. Uchwyciła śmiałe rysy i energię, która wydawała się zawsze emanować z twarzy majora, a także błysk w oku, świadczący o zamiłowaniu do przygody, oraz pewną zuchwałość w uśmiechu. Usatysfakcjonowana, zamknęła szkicownik i poszła pomagać matce przy kolacji.

W ciągu kolejnych kilku dni nastąpiło znaczne ochłodzenie. Kilka razy o poranku ziemię pokrywał gęsty szron.

- Mówią, że pod Roncesvalles tak napadało, iż żołnierze wojsk inżynieryjnych musieli rano odkopywać spod śniegu namioty trzydziestego czwartego pułku. - powiedział Speen Sophii pewnego popołudnia, podczas gdy ona cerowała pończochy, a on czyścił mundur generała.

- Przypuszczam, że wyruszą już wkrótce, bo po ostatnim deszczu zrobiło się straszne błoto. Jeszcze kilka takich burz, a ugrzęźniemy tu na dobre. - Sophia odcięła nitkę i odłożyła na stosik kolejną zreperowaną pończochę. - Mam nadzieję, że nie będziemy tu popasać o wiele dłużej. Słyszałam, jak generał mówił mamie, że Francuzi zostali pokonani pod Lipskiem, gdzie zniszczono sporą część wojsk Napoleona.

- To prawda. Pamplona się poddaje i stary Douro będzie miał przeciw sobie już tylko Souлта i Clause-la, którym nie przyjdzie na pomoc żadna *Grande Armee*. Niech panienka zapamięta moje słowa: wkrótce się stąd ruszymy.

Niewiele dni później podczas śniadania generał Curtis oznajmił swoim kobietom:

- Wyruszamy jutro. Będziemy posuwać się doliną rzeki Nivelles, zaatakujemy umocnienia Francuzów na wierzchołku Petit Larroun i grani Harismendia, po czym weźmiemy Saint-Jean-de-Luz. Wy dwie - generał zmarszczył brwi - nie ruszacie się z miejsca. Macie tu czekać, dopóki nie przyślę wam 'wiadomości, że Saint-Jean-de-Luz się poddało. Wtedy możecie do mnie przyjechać.

Widząc, że tym razem nie ma co nalegać, lady Curtis wyraziła zgodę.

- Dobrze, mój drogi. Zostaniemy tu, aż wszystko się nie uspokoi i nasza armia nie opanuje Saint-Jean. Mam tylko nadzieję, że nie potrwa to długo, bo po ostatnich deszczach rzeki stały się rwące i niedługo "wiele dróg stanie się nieprzejezdnych.

- Myślę, że wkrótce się zobaczymy. Wellington nie raz już powiadał: *Oni myślą, że są niepokonani, ale ja ich przekonam, że jest wręcz przeciwnie. Nie mają dosyć ludzi, by obsadzić i umocnienia, i linię frontu. Mogę uderzyć na nich większymi silami niż te, którymi dysponują w obronie.*

Pożegnały się z generałem i Speenem i postanowiły czekać na wiadomość o zajęciu Saint-Jean-de-Luz z całą cierpliwością, na jaką było je stać.

Sophia wypatrywała majora, pragnąc znaleźć oka-

zję, by życzyć mu szczęścia podczas kampanii, ale zobaczyła go tylko raz, i to przez krótką chwilę. Był w siodle, cały pokryty kurzem.

- Wellington wysyła mnie to tu, to tam z najrozmaitszymi wiadomościami do Hope'a, który idzie na Urgue do Napiera, który atakuje Petit Larroun, do Beresforda, który wkrótce zaatakuje Clausela pod Sare, i wreszcie do Hilla na Harismendia, a, łagodnie mówiąc, po tych okolicach poruszać się jest dosyć trudno.

Chociaż jego ubranie nosiło wyraźne ślady podróży, sprawiał wrażenie raczej ożywionego niż wyczerpanego, i Sophia musiała opanować chwilową zazdrość, że on działa, podczas gdy ona i jej matka mogły tylko przyglądać się, jak Brytyjczycy zdobywają coraz większy przyczółek na terenie Francji.

Nie musiały jednak czekać nazbyt długo. Następnego dnia pojawił się Speen z wiadomością, że Francuzi opuścili Saint-Jean i wycofują się w stronę Bayonne.

- Generał kazał mi pomóc paniom pakować się i powiedział, że czeka już na panie kwatery.

- Tak szybko? - wykrzyknęła lady Curtis. - Już można bezpiecznie podróżować?

- Tak, milady. Francuziki wieją, aż się kurzy. Proszę mi wierzyć, jeśli jacyś tu jeszcze zostali, to deserterzy, którzy nie będą nas niepokoić. Stracili pewność siebie, kiedy znaleźliśmy się na ich własnym terenie. Reduty w Petit Larroun poddały się prawie bez walki.

- Bardzo dobrze. Z przyjemnością opuszczę te góry. Jest tutaj bardzo pięknie, ale robi się coraz zimniej i lada chwila zamiast deszczu zacznie padać śnieg. Lady Curtis natychmiast rozpoczęła przygotowania do wyjazdu. Na tej kwaterze, inaczej niż w Lesace,



panie nie zdążyły się zadomowić, więc pakowanie nie zabrało im wiele czasu. Wkrótce dwie karety powoli posuwały się w dół po nierównej górskiej drodze, prowadzącej do Saint-Jean-de-Luz.

Jadąc obok pierwszej z karek, Sophia podziwiała wspaniałe widoki, nie mogąc jednak powstrzymać się od porównań z ich poprzednią podróżą. Z niechęcią musiała przyznać, że brakowało jej towarzystwa majora. Widok jego mocnej postaci przed nimi sprawiał, iż miała wrażenie, że nic złego nie może im się stać.

Kiedy dotarli do Saint-Jean, właśnie zapadał zmrok. Speen zaprowadził panie do kwatery głównej, gdzie czekał już na nie generał Curtis.

- Operacja udała się wyśmienicie. Jest to największy sukces Wellingtona. Nasi chłopcy poszli jak burza, a Francuzi kompletnie się załamali. Chodźcie, chodźcie, znalazłem dla nas uroczy mały domek tuż przy kościele świętego Jana Chrzciciela. Należy do pewnego bankiera, który, gdy tylko nadeszli Brytyjczycy, z radością udał się do swojej wiejskiej rezydencji, ale zostawił nam kilkoro swojej służby.

Poprowadził je do obszernego budynku, z którego balkonów rozciągał się widok na ocean i którego sale przyjęć w pełni usatysfakcjonowały jego żonę.

- Znakomicie, mój drogi - lady Curtis z zadowoleniem oglądała salon. - Nareszcie możemy przyjmować nawet samego księcia bez konieczności przeproszenia, że u nas tak skromnie.

- Przesadzasz, kochanie. Wszyscy cenią sobie przede wszystkim twoje towarzystwo i doskonałą kuchnię Jorgego, a reszta ich mniej interesuje. Przypuszczam jednak, że nie będzie tu aż tyle pcheł i much co w Lesace.

Przybyłe z zadowoleniem poszły spać w wygodnych

łózkach, a gdy rano zbudził je dźwięk dzwonów świętego Jana Chrzciciela, czuły się całkowicie wypoczęte i gotowe dostosowywać nową siedzibę do swoich potrzeb. Lady Curtis była najzupełniej zadowolona z dwóch zwawych pokojówek, które, przekonawszy się, że ich nowe panie są uprzejme i miłe, ochoczo podjęły swe obowiązki i chętnie poleciły im najlepszą miejscową szwaczkę.

- Jestem pewna, że skoro nadchodzi zima, pozostaniemy tu na dłużej, a jak znam księcia, zaraz zacznie przyjmować. Nie chcesz chyba, by po naszych sukniach widać było, iż spędziłyśmy ostatnich kilka miesięcy w małej hiszpańskiej wiosce - mówiła z zadowoleniem lady Curtis.

- Tylko że tak właśnie było - Sophia odwróciła się z uśmiechem do matki, prostując lustro, które Luis dopiero co zawiesił w sypialni tej ostatniej.

- Jeanne twierdzi, że szwaczka ta pracuje dla condesy de Gonsalvo y Coruna, która zawsze nosi się według najświeższej mody.

- *Condesa* tutaj, we Francji?

- To córka hrabiego de Brissac. Jeanne powiada, że jest to szlachetna rodzina gaskońska o doskonałym rodowodzie. Podczas rewolucji uciekli do Hiszpanii, gdzie ich córka Diana, dorósłszy, poślubiła conde\* de Gonsalvo y Coruna. Kiedy Napoleon pozwolił emigrantom wrócić do Francji, jej owdowiały już ojciec przybył tu, by odzyskać swe włości, zaś córka pozostała w Hiszpanii z mężem. Jednak conde był o wiele starszy od żony, więc gdy zmarł kilka lat temu,

\*Conde (hiszp.) - hrabia (przyp. tłum.).

condesa powróciła do ojczyzny. O ile wiem, zamek de Brissac został zburzony podczas rewolucji, ale ich rezydencja w Sant Jean ocalała i właśnie tu condesa przyjmuje w imieniu swego ojca.

- I jej suknie szyje krawcowa, którą masz nadzieję zatrudnić i dla nas. Oj, mamu, troszcząc się o naszą garderobę, nasłuchiłaś się mnóstwa plotek.

Lady Curtis uśmiechnęła się ze skruchą.

- Byłoby całkiem miło znaleźć się na nowo na łonie cywilizacji. Książę i żołnierze to kochani chłopcy i stanowili dla nas bardzo przyjemne towarzystwo, ale dla odmiany z przyjemnością spędziłabym trochę czasu pośród innych kobiet.

Lady Curtis nie była jedyną pośród brytyjskich przybyszy, którzy rychło dowiedzieli się o istnieniu condesy de Gonsalvo y Coruna. Sam książę poznał ją i odniósł jak najlepsze wrażenie. Zgodnie ze swoim zwyczajem, gdy tylko rozgościł się w swojej kwatery, rozesłał zaproszenia na kolację do wszystkich wpływowych mieszkańców Saint-Jean-de-Luz, tłumacząc Fitzroyowi Somersetowi: „Jeśli zdołam pozyskać sobie dobrą wolę ludności, nie będę potrzebował tyle wojsk do utrzymywania już zdobytych terytoriów, i wykorzystam je, by zajmować dalsze tereny”. Jedną z pierwszych osób, które poprosił na kolację, był hrabia de Brissac z córką.

Siedząc na końcu stołu, u szczytu którego królował Wellington, mający po swojej prawej stronie Dianę de Gonsalvo y Coruna, a hrabiego de Brissac po lewej, Mark oddzielony od nich licznymi doradcami wodza naczelnego, bez trudu mógł obserwować pełną życia condesę. Był zresztą jednym z wielu, któ-

rzy głodnym wzrokiem pożerali honorowego gościa.

Diana de Gonsalvo y Coruna znajdowała się u szczytu urody. Wydana za mąż bardzo młodo, została wdową w wieku, w którym inne panny po raz pierwszy występują w świecie. Pozbawiona towarzystwa, najpierw z powodu wdowieństwa, potem ze względu na wojnę, Diana umierała z nudów w Saint-Jean i marzyła, by wyrwać się do Paryża, a jeśli nie, to choćby do Bayonne.

Spragniona rozrywek, to właśnie ona namówiła ojca, by przyjął zaproszenie księcia.

- Papo, nie możesz mu odmówić - perswadowała. - To nie jest jeden z tych świeżo mianowanych książąt, jacy są w naszej armii, jak choćby książę Dalmacji. - Marszałek Soult, który ich raz odwiedził, nie wywarł na niej najlepszego wrażenia. - To prawdziwy brytyjski arystokrata i mówi się, że jego sztab składa się wyłącznie z ludzi pochodzących z najlepszych rodzin.

- Dobrze więc, przyjmiemy ich zaproszenie, ale tylko po to, żeby pokazać tym angielskim barbarzyńcom, jak na czym polega prawdziwy dobry ton - burkliwie zgodził się hrabia de Brissac.

Sam też cieszył się w duchu, iż trafia mu się okazja spożycia kolacji w towarzystwie ludzi z własnej sfery. Chociaż zwycięstwa, jakie Francuzi odnosili w całej Europie, napawały go dumą, hrabia nie chciał mieć nic wspólnego z tym „korsykańskim parweniuszem” i jego sługusami i w rezultacie musiał obywać się bez towarzystwa w tym samym stopniu, co jego córka.

Młoda wdowa była równie pełna życia, jak i uroku, a stół obsadzony dziarskimi, acz dobrze wychowanymi

mi młodymi ludźmi stanowił doskonałą widownię, której mogła w pełni zaprezentować swe wdzięki. Hrabia również bawił się doskonale, a wracając do domu przyznał, choć niechętnie, że przynajmniej Wellington, jak na Anglika, potrafi się zachować właściwie.

- A więc, papo, musimy zaprezentować mu światowe maniery, z których my, Francuzi, wszak słyniemy. - Choć wyraźna admiracja księcia sprawiała Dianie niewątpliwą przyjemność, jej uwaga skupiona była bardziej na niektórych jego młodych podwładnych, których zapragnęła poznać bliżej, i snuła już po temu pewne plany.

Mark miał zaszczyt zaznajomić się z damą na balu wyprawionym przez burmistrza w ratuszu. Wciąż lękając się angielskich barbarzyńców, żony i córki miejscowych notabli pojawiły się stosunkowo nielicznie, więc wybór partnerek do tańca ograniczył się do Diany, lady Curtis, Sophii i lady Waldegrave, która mieszkała wraz z mężem przy sztabie.

Diana znalazła się w swoim żywiole: tańczyła i flirtowała z otaczającymi ją tłumnie oficerami, ale Mark, czekając, aż tłum ten się przeredzi, niejednokrotnie schwytał biegnące ku niemu jej spojrzenie. Ukrył uśmiech, kłaniając się, gdy oczy ich spotkały się. Najwyraźniej ciekawość condesy podniecał ten jeden oficer, który nie uległ natychmiast jej czarowi. Tak właśnie sądził major i celowo trzymał się nieco z dala.

Przyłapaną na tym, iż na niego patrzy, condesa dumnie zwróciła swoją uwagę na kogoś innego, lecz przedtem dokładnie przyjrzała się kawalerowi. Mark znał to spojrzenie. Widział je u kilku dam, które, z nim go poznały, usychały z tęsknoty za męskimi aten-

cjami, i nie wątpił, iż prędzej czy później condesa de Gonsalvo y Coruna znajdzie sposobność, by nawiązać z nim bliższe kontakty.

Przewidywanie to wkrótce się sprawdziło. Mark do końca nie wiedział, jak się to stało, lecz Diana nagle znalazła się u jego boku, gdy stał, wyglądając przez okno na oświetlone blaskiem księżyca miasto i położony za nim ocean.

- Znajdujesz pan nasze prowincjonalne towarzystwo tak nudnym, że ciekawszy jest dla pana widok pustych ulic niż ludzi znajdujących się w tym budynku? Musimy zrobić wszystko, by zmienił pan swoje zdanie, milordzie Adair.

Mark uniósł pytająco jedną brew.

- Obowiązkiem każdej dobrej gospodyni, a jako że jestem tu jedną z niewielu Francuzek, poczuwam się do tej roli, jest zadbać, by żaden z gości się nie nudził. Oczywiście każda gospodyni pamięta także o tym, by znać nazwiska wszystkich swoich gości. - W figlarnym uśmiechu condesa ujawniła rząd białych jak perły ząbków i urocze dołeczki w kącikach swych pełnych ust.

- Źle mnie zrozumiałaś, pani. Od dawna nie znajdowałem się na tak wesołym zgromadzeniu i wśród tylu czarujących ludzi, że po prostu czuję się tym wszystkim nieco przytłoczony. - Mark przeniósł wzrok z kuszących ust na atłasową biel jej skóry, ujawnioną przez śmiały dekolt. Condesa miała wszelkie środki po temu, by zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie: jej ciemne, perłami przetykane loki znajdowały się w kunsztownym nieładzie, brązowe oczy otoczone długimi, ciemnymi rzęsami, zwieńczały de-

likatne łuki brwi. Usta o pełnej dolnej wardze zdawały się zapraszać do pocałunków, które to zaproszenie dawało się także odczytać w oczach damy.

Urzeczony czarem condesy, Mark pozwolił, by ogarnęło go pożądanie. Ostatnio często zastanawiał się nad sobą. Był wstrząśnięty i zaniepokojony tym, że coraz częściej myśli o Sophii Featherstonaugh w bardzo dziwny sposób: pragnie pomagać w spełnieniu jej marzeń, chce udowodnić, że nie wszyscy mężczyźni są niesłowni i egoistyczni jak jej ojciec, chce chronić ją przed trudami i niebezpieczeństwami życia, jakie prowadzi się przy armii, chce z nią rozmawiać, być u jej boku i spędzać z nią swe dni.

Nigdy dotychczas nie był tak zainteresowany jedną kobietą i bardzo go to zaniepokoiło. Chociaż gardził beznamiętnym i konwencjonalnym podejściem do życia, jakie reprezentowali jego ojciec i brat, sam dosyć dobrze panował nad swymi uczuciami, zwłaszcza jeśli chodziło o kobiety, ale podczas swej znajomości z Sophią nieraz przekonał się, że sam może wykazywać się równie słabą wolą, jak jego koledzy oficerowie, którzy na widok pierwszej lepszej ładnej buzi wyobrażali sobie, że są na śmierć zakochani.

Za powód do dumy zawsze poczytywał sobie fakt, iż nigdy dotąd nie był zakochany i nie uczynił nic (co byłoby sprzeczne z jego własnymi chęciami) tylko po to, żeby zyskać sobie podziw jakiejś kobiety, więc sądził, że osiągnął już to stadium dojrzałości, w którym mężczyzna nie jest podatny na podobne tęsknoty - dopóki nie poznał Sophii. Z jakichś niepojętych przyczyn ta samodzielna i niezależna dziewczyna budziła w nim opiekuńczość, czułość i troskę, jakich nie do-



znawał od dnia, w którym przemówił w obronie swej matki.

Ogarniając wzrokiem apetyczną postać Diany de Gonsalvo y Coruna, Mark stwierdził z ulgą, iż czuje tylko jedno: pożądanie, cudownie fizyczne, nieskomplikowane żadną troską o czyjeś dobro lub szczęście. Nie obciążało go pragnienie, by chronić tę damę przed kimkolwiek lub czymkolwiek. Westchnął z ulgą. Znowu był dawnym sobą. Tak jak przypuszczał, jego uczucia do Sophii stanowiły tylko przejaw chwilowej słabości.

- Czy zechce pani ze mną zatańczyć? - wyciągnął rękę.

- Wy, Anglicy, jesteście straszliwie zarozumiali - powiedziała kokieteryjnie dama, trzepocząc ciemnymi rzęsami. - Zawsze oczekujecie natychmiastowej kapitulacji. - Mimo to ujęła jego dłoń tak ochoczo, iż Mark zaczął mieć wątpliwości co do tego, kto tutaj został zdobyty.

Major lord Mark Adair nie był jedynym, na którego oszałamiająca uroda condesy wywarła swój wpływ. Po drugiej stronie sali balowej Sophia, dyskutująca z Fitzroyem Somersetem na temat psiarni księcia i możliwości polowań w tej okolicy, doznała niezmiernie przykrego wrażenia, gdy ujrzała majora wraz z jego uroczą towarzyszką, krążących w tańcu. Dzielnie starając się nie zwracać na nich uwagi, usiłowała skupić się na konwersacji.

- A więc zgadza się pani, że Lascelles's jest najlepszy w jeździe na przełaj.

- Proszę? - Sophia z zawstydzeniem stwierdziła, że sekretarz Wellingtona czeka na jej reakcję. - Ach, och, Lascelles's, mówi pan - zastanawiała się rozpaczliwie, co ma powiedzieć. - Być może, ale zazwyczaj koń go ponosi.

- Ma pani rację, jak zwykle. Przypominam sobie, że istotnie wprawił on księcia nie raz w zakłopotanie. - Fitzroy Somerset zgodził się trochę może zbyt gorliwie. Co się dzieje z panną Featherstonaugh? Zazwyczaj rozmawiała rzeczowo jak mężczyzna, a teraz nagle wydawało się, że nie wie, o co chodzi, jednak ku wielkiej uldze interlokutora natychmiast *się* opanowała.

Nie było to prawdą. Sophia znowu rozumiała, co się

do niej mówi, ale własnych uczuć nie pojmowała w najmniejszym stopniu. Widok majora, uśmiechającego się do condesy i pochylającego się, by usłyszeć jej słowa, tak samo jak pochylał się do niej, kiedy ze sobą rozmawiali, uderzył ją tak, że poczuła się identycznie jak wtedy, gdy niska gałąź strąciła ją z grzbietu Atalanty. Tak samo jak wtedy, gdy chwila nieuwagi sprawiła, że spadła na ziemię i uderzyła o nią z całej siły, nie mając nawet pojęcia, skąd nadszedł cios, i miała trudności ze złapaniem oddechu.

Wciągnęła głęboko powietrze, by odzyskać panowanie nad sobą i udając, że musi pomówić o czymś z matką, przeprosiła Fitzroya Somerseta, a następnie ukryła się w tym samym kącie sali balowej, z którego jakiś czas temu major podziwiał widok na miasto i *ocean*.

*Ależ jesteś naiwna, Sophio Featherstonaugh, łajkała się w myślach. Uroiłaś sobie, że coś dla niego znaczysz. Tymczasem rzecz w tym, że byłaś jedyną młodą kobietą w okolicy. Teraz, kiedy pojawiła się inna, widzisz, że traktował cię tak samo jak je wszystkie. Wcale nie liczyłaś się więcej, ważna była twoja płeć.*

Prawdę mówiąc, stwierdziła w duchu, lepiej, że dowiedziała się o tym już teraz, gdyż osoba majora zaczęła zbyt mocno zaprzętać jej myśli. To dobrze, że nie jest dla niego ważna: może spokojnie zająć się swoją pracą i dążeniem, by zostać zawodową malarką. Rzucając ostatnie spojrzenie na oświetlone blaskiem księżycy miasto, Sophia wyprostowała się i pospieszyła, by dołączyć do grupki otaczającej jej matkę i generała Curtisa.

Nieświadom wrażenia, jakie wywarł na jednej kobiecie, Mark zajmował się tą drugą, która właśnie

uczyniła delikatną aluzję na temat tego swego dotkliwego osamotnienia.

- Mama umarła wkrótce po naszej ucieczce do Hiszpanii i nie pozostał mi nikt oprócz papy, który, choć pragnął uczynić dla mnie wszystko, nie potrafił nauczyć mnie tego, czego córka uczy się od matki. W moim wychowaniu zabrakło kobiecej ręki, której tak potrzebuje każda młoda panna. Nie masz pan pojęcia, w jakiej izolacji zmuszona byłam pędzić moje życie.

- Odnoszę wrażenie, że udało się pani doskonale poradzić sobie samej. Nie wiem, jak mogłaby matka pomóc pani stać się doskonalszą, niż jest pani w tej chwili. - Mark przemknął wyrażającym zachwyt spojrzeniem od jej kuszących ust przez gładkie, białe ramiona, łagodną linię bioder i ud podkreśloną przylegającą materią białej atłasowej sukni wyzierającej spod udrapowanej na niej weneckiej krepy, nie pozostawiając wątpliwości, że uważa, iż jest bardziej niż dostatecznie wyposażona w cechy, niezbędne prawdziwej kobiecie.

- Ach, jesteś pan mężczyzną i nie wiesz, jak bardzo młodej dziewczynie brakuje matczynej miłości. - Condesa przesunęła językiem po dolnej wardze, sugerując, w jaki sposób może dziarski oficer kawalerii wyrównać jej te braki.

- Ma pani oczywiście rację, ale nikt z nas, ani mężczyzna, ani kobieta, nie może w pełni zrozumieć potrzeb i pragnień innego człowieka. - Condesa nieco zbyt szybko zbliżała się do celu jak na potrzeby majora, który z chwili na chwilę coraz bardziej czuł się zwierzyną zamiast łowcą i to wcale mu się nie podobało. - Jednak mamy zamiar spędzić tu całą zimę, jest

więc nadzieja, iż znajdzie się lekarstwo na samotność, o której pani napomknęła. Albowiem...

- Bardzo na to liczę. - W ciemnych oczach condesy pojawiło się zaproszenie.

- Albowiem jest tu z nami kilka dam angielskich, które z radością panią poznają. - Mark rozpaczliwie próbował odzyskać panowanie nad sytuacją. - Pozwoli pani, że przedstawię ją dwóm z nich, lady Curtis i jej córce, Sophii Featherstonaugh, która również spędziwszy większą część swych młodych lat pośród mężczyzn, z największą pewnością doskonale panią zrozumie - rzekł, po czym, ujmując condesę pod ramię, powiódł ją do Sophii i jej matki.

Chwycona nieomal brutalnie przez swego partnera, Diana nie mogła zbyt protestować i musiała dać się poprowadzić do szczupłej, spokojnej młodej panny stojącej u boku drugiej, starszej kobiety, która najwyraźniej była jej matką. Zbliżając się do nich, zdała sobie sprawę, że to raczej strój niż twarz powoduje, że młodsza panna sprawia wrażenie mało atrakcyjnej. Beżowa, koronkowa narzutka na białej, prostej, aksamitnej sukni pozbawiona była ozdób, poza drobnymi plisami u rąbka spódnicy i przy skądinąd bardzo skromnym dekolcie. Ciemne włosy młodej damy uczesane były w gładki kok. Niemniej jednak wielkie, orzechowe oczy tej panny nie wyrażały nieśmiałości ani też przesadnej skromności, patrzyły na condesę z żywym zainteresowaniem. Wbrew swym twierdzeniom, Diana wcale nie spędziła młodości bez towarzystwa innych kobiet. Choć nie traktowała żony burmistrza Saint-Jean ani też małżonki miejscowego bankiera jak równych sobie, miała wystarczająco dużo kontaktów z przedstawiciel-

kami swojej płci, by stwierdzić, że Sophia Featherstonaugh nie jest zwyczajną młodą panną. Nie usiłowała maskować swej niewątpliwej inteligencji trzepotaniem rzes czy też nieśmiałym uśmiechem, a w jej postawie, choć nacechowanej spokojem, wyczuwało się energię, którą większość dam z Saint-Jean ukryłoby, udając wdzięczną omdlałość. Widać też było wyraźnie, że trzeba czegoś więcej niż urody i dobrego urodzenia, by za imponować tej młodej kobiecie. Dawało się także wyraźnie zauważyć, że major lord Mark Adair spodziewa się, iż one dwie natychmiast zostaną przyjaciółkami.

- Panno Featherstonaugh, chciałbym przedstawić panią condesie de Gonsalvo y Coruna, która bardzo pragnie poznać angielskie damy, dopiero co przybyła do miasta.

Zanim Sophia zdążyła cokolwiek powiedzieć, Diana uśmiechnęła się czarująco do swego towarzysza, ukazując urocze dołeczki, i rozpoczęła tyradę na temat zalet brytyjskich oficerów sztabowych.

- Są tak szarmanccy, że czuję się zaskoczona. Muszę z przykrością przyznać się, iż przedstawiano nam ich jako barbarzyńców, więc tym bardziej miło mi stwierdzić, że jest wręcz przeciwnie. - Rzucając Markowi uwodzicielskie spojrzenie, mocniej uchwyciła jego ramię.

- Oczywiście, my Anglicy nie posiadamy tej ogłady, z której słynni są rodacy pani, ale próbujemy zachować minimum dobrych manier - rzekła Sophia.

Wargi Marka drgnęły w uśmiechu na tę odpowiedź, ale condesa nie dostrzegła zawartej w niej ironii. Mówiła dalej tak, jakby Sophia wcale się nie odezwała.

- Nigdy dotąd nie widziałam tylu przystojnych

mężczyzn. Czy wszyscy są tak wysocy? - W stronę Marka poszybowało następne kokietyjne spojrzenie. - A jak wspaniale jeżdżą konno, *mon Dieu*, i jakież mają wyśmienite konie. Nasze francuskie nie dadzą się z nimi nawet porównać. Pędzi pani życie wśród tylu cudownych mężczyzn, musiała pani chyba stracić serce dla niejednego z nich? Co? - Zawołała ze zgrozą, gdy Sophia, oszołomiona jej paplaniną, powoli pokręciła głową. - Ani jeden z tych przystojnych oficerów kawalerii nie sprawił, że serce pani zabiło szybciej? - Sophia znowu pokręciła głową i ku swojemu przerażeniu poczuła, że się rumieni, ale condesa całą swoją uwagę skupiała na majorze, więc nic nie spostrzegła. - Chyba jest pani istotą z lodu, *mademoiselle*. Tyle się słyszy o chłodzie młodych angielskich panien, ale *c'est incroyable*, taki brak zainteresowania jest nienaturalny.

- *Madame* sobie tego nie potrafi wyobrazić, ale traktuję ich wszystkich jak braci. - Odzyskawszy panowanie nad sobą, Sophia próbowała się bronić.

- Braci? Jakaż młoda kobieta mogłaby uważać na przykład tego tu pana majora za brata? Wygląda przecie jak wcielenie romantycznych marzeń każdej panny. - Diana zwracała się do Sophii, ale jej słowa i wyraz jej twarzy przeznaczone były dla Marka.

Czując narastające skrępowanie, Sophia usiłowała wymyślić coś inteligentnego, co pozwoliłoby majorowi uwolnić się od condesy, a zarazem zmieniłoby jej protekcjonalne nastawienie do niej samej.

- Romantyczne marzenia to zazwyczaj tęsknoty wyobraźni za czymś, co jest nam nieznane, czymś, czego nie mamy, ale ja wzrosłam pośród wojskowych,

takich właśnie jak major Adair, więc, rozumie pani, że nie mają dla mnie wielu tajemnic. - No, nareszcie udało jej się powiedzieć coś, co starło ten głupkowaty uśmiezek z ust majora i wyraz zadowolenia z pięknej twarzy condesy.

- Ach, tak, teraz już rozumiem, panno Featherstonaugh. Jaka szkoda, że nie jest pani w stanie czerpać przyjemności z ich towarzystwa tak jak ja. Ale, ale, majorze, widzę, że szuka mnie mój ojciec. Czy byłby pan łaskaw mnie do niego odprowadzić? To wielka przyjemność widzieć panią w Saint-Jean, panno Featherstonaugh - rzuciła na koniec przez ramię Diana, kierując Marka w stronę grupki oficerów, stojącej wokół dworzaniaka przystrojonego jak na wieczór w Wersalu.

Starając się nie zgrzytnąć głośno zębami, Sophia zwróciła swoją uwagę na osoby konwersujące z matką i generałem Curtisem. Nie potrafiła uzmysłwić sobie jasno, co sprawiało, że towarzystwo condesy wzbudziło w niej takie skrepowanie, ale wyczuła też, że i ona sama także zbijała condesę z tropu. Próbując odzyskać poczucie własnej wartości, nagle zaczęła sobie wyliczać wszystkie swoje cechy, których piękna dama posiadać nie mogła, chociażby na przykład doskonałą umiejętność jazdy konnej. Niewątpliwie osoba tak wytworna i uwodzicielska nie chciałaby zniżać się do równie brudzących i nieeleganckich zajęć.



Sophia myliła się. Choć Diana przez wiele lat nie miała okazji zdobić swym czarem i urodą wytwornego towarzystwa, instynktownie wiedziała, co sprawia przyjemność mężczyznom, a konie stanowiły wszak część ich świata. Zatem chociaż wcale nie przepadała za wysiłkiem ani też niewygodą nieodłącznie związanymi z jazdą konną, postarała się opanować tę sztukę na tyle, by móc poradzić sobie w prawie każdej sytuacji. Niewątpliwą przyjemność sprawiało jej zaś dobieranie strojów do jazdy konnej tak, by podkreślały jej doskonałą sylwetkę.

Condesa de Gonsalvo y Coruna wiedziała też, że najłatwiej jej będzie „przypadkiem” spotkać jednego z doradców Wellingtona podczas przejażdżki, najlepiej odbywanej o poranku. Diana nie lubiła wczesnego wstawania w tym samym stopniu co brudu i wysiłku fizycznego, ale przystojny major wart był wielu poświęceń.

Przez kilka dni plany jej krzyżowała pogoda, było bowiem szaro, zimno i deszczowo, ale w końcu utrzymujące się przez jakiś czas przejaśnienie sprawiło, iż ziemia obeschła, zachęcając tym do wyruszenia z domu różne osoby.

Condesa, poruszająca się łagodnym kłusem na swej

rasowej, ale bardzo spokojnej i posłusznej gniadej klaczy promenadą wiodącą wzdłuż plaży, w pewnym momencie dostrzegła samotnego jeźdźca, galopującego po mokrym piasku, dopiero co odsłoniętym przez przypływ. Natychmiast rozpoznała w nim majora i tak pokierowała swym wierzchowcem, by wyjechać dokładnie naprzeciw szalejącego jeźdźca. W dopasowanej, ciemnopurpurowej amazonce o kroju nieco zbliżonym do wojskowego, która podkreślała jej doskonałą figurę, przedstawiała sobą obraz wysoce ponętny. Intensywna barwa sukni podkreślała piękno jej nieskazitelnie białej karnacji, lśniące ciemne oczy i pełne, czerwone wargi. Zawadiackie czako na ciemnobrązowych włosach stanowiło dopełnienie stroju, który sprawił, iż na widok Diany majorowi zaparło dech.

- Dzień dobry, condeso. Ależ ze mnie szczęściarz: obecność pani tutaj sprawia, iż uroczy krajobraz ten stał się oto jeszcze piękniejszy. - Mówiąc te słowa, Mark musiał sobie pomyśleć, z jaką ironią takie słowa przyjęte zostałyby przez pannę Featherstonaugh. Condesa jednakże nie widziała nic niewłaściwego w tak niezawołowanym pochlebstwie i z wdzięcznym uśmiechem przyjęła je jako należny sobie hołd.

- Ja zaś muszę wyrazić moje zaskoczenie, widząc pana tu o *tej porze*; myślałam, że *sztab lorda* Wellingtona tak bardzo zajęty jest planowaniem następnej kampanii, iż nie ma ani chwili wolnego czasu.

- Ależ skąd. Stary Douro nie za nic nie pozwoliłby nam wymigać się od codziennej przejażdżki. Zbyt wiele czasu musimy spędzać w siodle podczas kampanii, byśmy mogli sobie pozwalać na przerwę, która pozbawiłaby nas sprawności.

- A więc oznacza to, że teraz jest przerwa między kampaniami? Cieszę się, bo z tego wynika, że zabawię w Saint-Jean jeszcze przez jakiś czas. Jeśli prawdą jest to, co się słyszy, powinniście tu zostać jeszcze co najmniej przez miesiąc, co znaczy, że musimy postarać się was dobrze zabawić, żebyście nie wrócili do Anglii, narzekając na brak naszej gościnności.

- Z przyjemnością zostanę tu tak długo, by jej zaznać. - Mark uśmiechnął się do wzniesionej ku niemu twarzyczki. Tak, chętnie schroni się przed chłodami zimy w gorących uściskach condesy, a nie wątpił, iż przyjemności tej zazna już wkrótce. Zbyt często widział zaproszenie w kobiecych oczach, by nie wiedzieć, co powinno teraz nastąpić, i cieszył się na samą o tym myśl. Podczas zimy nie prowadzi się kampanii wojennych, to pora na innego rodzaju zmagania.

- Niech mi pan jednak powie, majorze, co po tak pracowicie spędzonym roku zamierzacie robić w tej zapadłej rybackiej wiosce? - Diana lekceważącym machnięciem biczyka zbyła białe domki i wznoszącą się nad nimi wieżę kościoła pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela.

- Zapewniam panią, że rozkosznie spędzimy tu czas. - Wymowne spojrzenie majora nie pozostawiło condesie cienia wątpliwości co do tego, czym zamierza zajmować się ten przystojny mężczyzna. Poczuli, że przeszył ją miły dreszczyk. O, ależ ten major jest śmiały. Jeśli równie dobrze będzie sprawiał się w miłości, okupacja brytyjska może okazać się dla niej jeszcze przyjemniejsza, niż przypuszczała.

- Zrobię wszystko, co tylko będę mogła. - Kusząco przeciągnęła językiem po dolnej wardze. - A teraz,

majorze, pozwoli pan, że pokażę mu najpiękniejsze widoki, jakie można ujrzeć w Saint-Jean. - Strzeliła biczem i pokłusowała w stronę skalistego przylądka, znajdującego się na krańcu plaży.

Mark uśmiechnął się i ruszył za condesą. Dogonił ją z łatwością i zatrzymał się, gdy wskazała na wcinające się głęboko w morze skały.

- Po górskich szczytach ta plaża musi wydawać się panu bardzo ucywilizowana, ale mamy również Pointe Sainte Barbe, który dodaje dramatyzmu naszym okolicom.

- Istotnie. Ale widzę też, iż znacznie bardziej artystyczne niż nasze oko podziwia ten zakątek. - Mark skinął głową w stronę samotnej postaci, usadowionej na skałach, pochylającej się nad szkicownikiem, i zwrócił konia w stronę Sophii.

Diana nie miała pojęcia, kim może być ta artystka, ale fakt, iż była kobietą, znacznie zmniejszył jej ciekawość. Wyglądało jednak na to, że major jest zdecydowany porozmawiać z tą osobą, więc nie pozostało jej nic innego, jak tylko podążyć w jego ślady, starając się przynajmniej udawać zainteresowanie.

- Witam, panno Featherstonaugh. Powinienem był odgadnąć, że znajdę panią w najbardziej malowniczym miejscu Saint-Jean.

- Dzień dobry, majorze. - Dostrzegłszy przybysza znacznie już wcześniej i domyśliwszy się, kim jest jego piękna towarzyszka, Sophia zdążyła przygotować się na ich spotkanie, chociaż mimo wszystko doznała niemiłego uczucia, obserwując ich z daleka. To, że kobieta wyraźnie szukała towarzystwa mężczyzny, wcale nie zmniejszyło jej niezadowolenia. Gdyby

miała czas zastanowić się nad tym, z pewnością doszłaby do wniosku, że byłoby jej o wiele bardziej przykro, gdyby to major szukał condesy niż odwrotnie, ale tak czy siak, są teraz razem i widać wyraźnie, że condesa zamierza roztoczyć przed majorem wszystkie swe uroki.

Po raz kolejny Sophia poczuła, że znajduje się w niekorzystnej sytuacji. Ani przez chwilę nie zastanawiała się, zakładając prostą, białą, batystową suknię i ciemnożółtą narzutkę trzy czwarte nad niczym więcej, jak tylko czy są czyste i schludne, czy porządnie zawiązała wstążki swego złotego atłasowego czepeczka. Teraz jednak, patrząc na wypracowany strój condesy, doznała wrażenia, że wygląda nieelegancko. Znowu też poczuła rosnącą irytację z powodu tego, iż piękna Francuzka jest bezwzględnie przekonana o niezawodności swej uwodzicielskiej mocy.

- Widzę, że pani rysuje. Jakaż z pani uzdolniona osóbka, panno Featherstonaugh, potrafi pani zajmować się tak wyrafinowanymi rzeczami pośród tak prostackiej kompanii. - Condesa rzuciła psotne spojrzenie majorowi.

- Szkice panny Featherstonaugh to coś więcej niż rozrywka nudzącej się panny. Musi pani sama zobaczyć, co ona potrafi. Za pozwoleniem, panno Featherstonaugh, bardzo chciałbym, by condesa. mogła zobaczyć pani dzieła. - Mark zsunął się z konia, pomógł zsiąść Dianie i poprowadził ją bliżej, by mogła obejrzeć prace Sophii.

Czując zarazem wdzięczność za obronę swoich umiejętności, i irytację, że uznał, iż gotowa jest poka-

zywać swoje prace pierwszej lepszej osobie, a tym bardziej condesie, Sophia zaprotestowała.

- Pan major jest zbyt dla mnie łaskaw. Kiedy inni walczą, ja muszę się czymś zajmować. Muzyka nie nadaje się do życia obozowego. Trudno wozić ze sobą harfę albo pianino.

Condesa musnęła szkicownik przelotnym spojrzeniem.

- Bardzo ładne. Niewątpliwie oddała pani sprawiedliwość naszej okolicy, chociaż ja muszę przyznać, że wolę portrety. Uważam, że ludzie są znacznie bardziej interesujący niż drzewa i skały. - Ciemne oczy tylko przez chwilę spoczęły na rysunku, a potem popatrzyły żarliwie na majora.

Mając już najzupełniej dosyć udziału w tej grze miłosnej, Sophia siedziała bez ruchu. Ściskając w dłoni ołówek marzyła, by wreszcie sobie stąd pojechali i znaleźli sobie jakieś inne miejsce na flirt, gdzieś z dala od niej.

- Och, panna Featherstonaugh potrafi malować portrety równie dobrze jak krajobrazy. Można? - Mark wyciągnął rękę. Sophia nie miała wyboru. Odmowa byłaby w takiej sytuacji poważną nieuprzejmością. Musiała więc wręczyć mu szkicownik. Nie chciała okazać się grubianką wobec condesy, ale wcale nie sprawiało jej przyjemności to, iż dama ta, mająca wszak zupełnie inne zainteresowania, będzie oglądać jej własne widzenie świata.

Diana wcale nie odczuwała większego zadowolenia z tej rozmowy niż Sophia. Już to, że jej sam na sam z majorem zostało zakłócone, irytowało ją, ale znacznie gorsze było, że spowodowała to inna młoda ko-

bieta, ta *petite Anglaise*, która nie miała najmniejszego pojęcia, jak powinna się ubrać. Niechętnie przyjęła podany sobie szkicownik i popatrzyła na niedokończony jeszcze rysunek.

- Tak, to bardzo ładne.

W kąciku ust Sophii zaigrał uśmiezek. Udało jej się odzyskać nieco równowagi, a zarazem wróciło jej poczucie humoru na tyle, by bawić się kompletnym brakiem zainteresowania francuskiej damy dla jej rysunków, krajobrazu i wszystkiego oprócz majora lorda Marka Adair.

Łagodny powiew wiatru poruszył stronami szkicownika, a wyraz uprzejmego znudzenia nagle zniknął z twarzy condesy.

- O, ależ to pan, majorze. - Rzuciła krótkie, badawcze spojrzenie na Sophię, która usilnie starała się utrzymać wyraz uprzejmego znudzenia na swojej twarzy. - Ach, jakież podobieństwo... ten stanowczy podbródek, to szlachetne czoło. Panna Featherstonough uchwyciła istotę pańskiego charakteru... ta arystokratyczna postawa, ten silny charakter... Oczywiście, nigdy nie można oddać portretowanemu pełnej sprawiedliwości, ale widzę, że zgadza się pani ze mną, iż major jest bardzo przystojny i w pełni zasługuje na swą podobiznę.

Sophia przestała już liczyć na to, że otworzy się ziemia i ją pochłonie albo że zagarnie ją wielka, nieoczekiwana fala przypływu. Wołałaby raczej umrzeć niż przyznać, że ma cokolwiek wspólnego z condesą de Gonsalvo y Coruna, ale gdyby upierała się przy przeciwnym zdaniu, zabrzmiałoby to dziecinnie i małostkowo.

- Ja... hm... zrobiłam już portrety prawie wszystkich panów ze sztabu. Jak pani widzi, jest ich całkiem sporo... oto Fitzroy Somerset, Francis Larpent, generał major Mortillo, Andrew Leith Hay... - Sophia pokazywała inne przedstawienia zawarte w szkicowniku, ale nawet we własnych uszach jej wyjaśnienia brzmiały nieprzekonywująco, a bacznie przyglądający jej się Mark natychmiast zauważył rumieniec zakłopotania, który pojawił się na jej policzkach.

Podczas całej tej rozmowy Sophia ani razu nie spojrzała na majora. Zaciekawiony tym nietypowym zachowaniem, Mark pochylił się nad ramieniem condesy i popatrzył na rysunek. Nawet on, przyzwyczajony do widoku swej twarzy w lustrze, poczuł zaskoczenie podobieństwem i siłą wyrazu swojego portretu.

W oczach, które na niego patrzyły, były ogień i namiętność wyrażone w mocno zaciśniętych ustach i stanowczych liniach żuchwy, co sprawiło, że wydawało się, iż portret przedstawia modela podczas jakiegoś desperackiego a zarazem bohaterskiego czynu: podczas szarży oddziału kawalerii albo ataku na jakąś silnie bronioną twierdzę, widzianego przez kogoś, kto walczy razem z nim. Widać było, że artysta wie, co to jest znaleźć się pod ogniem nieprzyjaciela i rzucać się w wir walki, nie mając nadziei, iż wyjdzie się z niej żywym. Chociaż Mark dobrze znał inne dzieła Sophii, tym razem poczuł, że traci dech w piersiach.

- Żaden z nich nie jest taki wyrazisty jak ten.

Uwaga condesy przeszła bez echa. I Mark, wpatrzony w rysunek, i Sophia, która bacznie przyglądała się jego reakcjom, całkowicie zapomnieli o istnieniu pięknej Francuzki.



Mark spojrzął na Sophię.

- To nie do wiary! Naprawdę tak wyglądam?

- Dla mnie tak.

Odpowiedź była prosta, ale Mark, przytłoczony bohaterską postacią przedstawioną na kartce papieru, poczuł nagle przypływ pokory. A więc to jest prawda? Taki właśnie jest? Zawsze dążył do tego, by stać się właśnie kimś takim jak człowiek na portrecie, idealistą wierzącym w sprawę, za którą walczy, odważnym w ogniu bitwy, spokojnym w niebezpieczeństwie, ale nigdy nie miał pewności, że choć trochę zbliżył się do tego ideału. A jednak tak chyba było.

- Dziękuję.

Powiedział to tak cicho, że Sophia nie wiedziała, czy rzeczywiście usłyszała te słowa, czy też wyczytała je w jego myślach, ale doskonale zrozumiała ich treść.

- Nie ma za co - odparła.

Plan condesy nie uwzględniał spotkania majora z młodą Angielką, z którą znali się już nie od dziś, a tym bardziej nie przewidywał długiego, znaczącego spojrzenia, jakie ze sobą wymienili. Diana nie zamierzała tego znieść bez względu na to, jak bardzo nieciekawa i niemodna była jej rywalka.

- Ojej, ależ ten czas ucieka! Strasznie pan mnie absorbuje, majorze. Nie miałam pojęcia, że jest już tak późno. Papa z pewnością się o mnie zamartwia. Proszę mi towarzyszyć i pomóc mi go uspokoić, iż nie zostałam porwana przez żołnierzy z którejkolwiek z krążących tu armii.

Mark dostrzegł pogardliwy uśmiezek, który zagrał w kąciку ust Sophii wobec tak taniej sztuczki,

ale nie chcąc okazać się niegrzecznym, musiał spełnić wyraźnie żądanie swej towarzyszki.

- Jestem na pani rozkazy, condeso. - Pomógł jej wsiąść na konia, mając nadzieję, że Sophia dosłyszała i zauważyła nutkę ironii w jego głosie.

Nie potrafił powiedzieć, dlaczego było to takie ważne, żeby dziewczyna zrozumiała, że nie jest niewolnikiem kobiety, którą kilka dni temu uznał za środek, mający pomóc mu wyleczyć się z zainteresowania właśnie nią, Sophią, ale jednak. Spojrzał na nią, gdy dosiadał swojego wierzchowca, i z ulgą zobaczył, że jedna z jej delikatnych brwi uniosła się porozumiewawczo i ze zrozumieniem. Uśmiechnął się w odpowiedzi, a potem zawrócił Cezara i ruszył w ślad za condesą.

Nie tylko Mark odczuł ulgę. Jego uśmiech powiedział Sophii wszystko, co chciała wiedzieć. Choć uroda condesy pociągała go bez wątpienia, jej kobiece sztuczki nie zwiodyły go wcale.

Zbierając swoje rzeczy, Sophia zapatrzona w falę przypływu, która zagarniała coraz większą część plaży, stanowiącej jej drogę do domu, zastanawiała się nie po raz pierwszy w życiu, jak to się dzieje, że inteligentny mężczyzna pozwala wodzić się za nos pięknej kobiecie, chociaż doskonale widzi, jakich sposobów ona do tego używa. Sophia była już teraz prawie pewna, że major równie dobrze jak ona sama zdawał sobie sprawę, iż jego spotkanie z condesą nie było przypadkowe, ale świadomość ta w najmniejszym stopniu nie przeszkodziła mu dostosować się do zamiarów uroczej damy. Idąc po ubitym piasku w stronę miasta, Sophia pomyślała z gniewem, że ona odmówiłaby towarzyszenia condesie dla samej zasady, a im bardziej by ta należała, tym silniejszy stawiałaby opór.

Ale mężczyźni najwyraźniej widzieli sprawę w inny sposób. Sophia nie raz obserwowała, jak w obozach od Lizbony po Saint-Jean mężczyźni z łątwością ulegali urokowi ślicznej buzi i pozorom nieśmiałości bez względu na to, jak łątwe były one do przejrzenia,

i pozwalali robić z siebie kompletnych głupców. Major zaś przynajmniej był świadom tego, co wyrabia z nim condesa de Gonsalvo y Coruna.

Usiłując wyrzucić cały ten incydent z pamięci, Sophia maszerowała do domu, modląc się w duchu, by major zapomniał, że znalazł swój portret w jej szkicowniku. Condesa miała całkowitą rację, twierdząc, iż był staranniej wykonany niż inne, a Sophia nie chciała, by Mark doszedł do podobnego wniosku. Prawdę mówiąc, im mniej będzie myślał o tym portrecie, tym lepiej.

Szczęśliwym dla spokoju ducha Sophii trafem major istotnie miał teraz wiele absorbujących spraw na głowie. Zima zbliżała się już na dobre, a Wellington i jego sztab pracowali usilnie nad upiększeniem swych mieszkań. W kwaterze głównej coraz to słychać było muzykę którejs z orkiestr pułkowych, przygrywającej podczas przyjęcia, ożywioną konwersację, a w powietrzu unosiły się zapachy dobrego jedzenia.

Chociaż wiele Francuzek wciąż nie okazywało przychylności okupantom Saint-Jean, Diana de Gonsalvo y Coruna, córka hrabiego *ancien regime* i wdowa po hiszpańskim grandzie, miała zgoła odmienne zdanie. Wraz ze swym ojcem często pojawiali się przy stole księcia, co pozwoliło Sophii dokładnie przyjrzeć się fortełom tej pięknej damy.

Śmiała się i flirtowała ze wszystkimi oficerami, jednak widać było, że najchętniej wybiera towarzystwo majora lorda Marka Adair. Choć Sophia niechętnie przyznawała, że ma cokolwiek wspólnego z condesą, nie mogłaby zaprzeczyć, że skłonność Francuzki jest całkowicie naturalna, gdyż ona sama także przedkła-

dała Marka nad wszystkich innych panów. Owszem, był dowcipny jak inni, ale potrafił także poruszać poważniejsze tematy, a jego szczere zainteresowanie sprawiało, iż Sophia miała wrażenie, że rozumie ją i docenia jak nikt dotąd. Jedna tylko rzecz ją martwiła, a mianowicie to, że uważał, iż skoro i ona, i condesa są młodymi, niezamężnymi kobietami, to powinny koniecznie zostać przyjaciółkami.

- Jestem pewien, że condesa będzie zachwycona, jeśli ją pani odwiedzi - zaczął Mark pewnego ranka, spotykając Sopię wracającą do domu z oberży, w której urządzono szpital.

- Ale może uznać, że jej się narzucam. - Dziewczyna zdążyła już na tyle poznać płochą Dianę, by wiedzieć, że poza płcią i niezamężnym stanem nie mają ze sobą nic wspólnego.

- Ależ skąd. Condesa zawsze powtarza mi, jak bardzo spragniona jest pani towarzystwa. Jest taka osamotniona.

- Ach.

- Widzę, że nie wierzy mi pani. Proszę jednak pamiętać, że jej rodzina walczy z Bonapartem dłużej niż my.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Jednak wyraźnie dostrzegam wahanie.

- Poznałam już condesę na tyle, by wiedzieć, że nie będziemy miały o czym ze sobą rozmawiać. - Widząc zaskoczenie w oczach majora, Sophia spróbowała mu to wyjaśnić. - Jest taka modna i tak bardzo... towarzyska.

- I tu właśnie się pani myli. Może sprawia wrażenie kokie... to znaczy... wesołej osoby, ale to tylko dlatego, że tak długo pozbawiona była towarzystwa. Jej mąż umarł wkrótce po ich ślubie, więc przez jakiś czas by-

ła w żałobie. Potem wróciła wraz z ojcem do Francji i uznali, że jako rojalistom bezpieczniej będzie im żyć z dala od świata. To dla niej taka ulga móc spotkać tylu różnych ludzi, że może wydaje się przesadnie wesoła, ale potrafi też zachować powagę. Wie prawie tyle na temat naszych oddziałów, co pani, i bezsprzecznie interesuje się każdym naszym posunięciem.

- Ach, tak?

- Zawsze pyta mnie o pułki stacjonujące tutaj i nigdy nie nudzą jej nawet najdrobniejsze szczegóły. - Mark tak bardzo chciał przekonać Sophię o wspólnocie jej i condesy zainteresowań, że nie zauważył ironii w jej głosie i spojrzeniu.

- W takim razie z pewnością bardziej miłe jest jej pańskie towarzystwo niż moje.

Tym razem Mark dosłyszał ostrą nutę w jej słowach i szybko odwrócił głowę, by ukryć uśmiech. A więc ta poważna artystka jest zazdrosna o piękną condesę? Czuł pewną przyjemność na myśl o tym, że Sophia Featherstonaugh mogłaby paść ofiarą tak niskiego uczucia.

- Ale tak samo jak pani od lat zmuszona była przebywać w towarzystwie mężczyzn. To dla niej nowość móc zaprzyjaźnić się z młodą kobietą, znajdującą się na tym samym co ona poziomie.

- Niewątpliwie. - Sophia zachowała dla siebie uwagę, że to, co nowe i inne, nie zawsze jest mile widziane. Miała wyraźne poczucie, że ilekroć przypadkiem znalazły się w pobliżu, urocza Diana raczej unikała jej towarzystwa, niż go szukała.

Dotarli do kwatery Sophii i dziewczyna, podziękowawszy majorowi za towarzystwo, życzyła mu miłe-

go dnia. Idąc do siebie, by odświeżyć się i zmyć z siebie zapach choroby i śmierci, które zawsze przynosiła ze szpitala, wciąż myślała o ich rozmowie.

Kiedy zaś usiadła przy oknie wychodzącym na morze czerwonych dachów i spiczastą wieżę kościoła świętego Jana Chrzciciela, Sophia nie myślała już o rannych i umierających, lecz o zadziwiającym zainteresowaniu condesy brytyjskimi siłami wojskowymi. Oczywiście, dama uwielbiająca towarzystwo mężczyzn chętnie rozmawia na tematy interesujące kawalerów, z którymi flirtuje, ale Sophia poznała już condesę na tyle, by wiedzieć, że kobiety tego pokroju przede wszystkim lubią, by mówiono o nich. Istota ta łaknęła pochlebstw i domagała się ich stale od wszystkich otaczających mężczyzn. A więc dlaczego zadawała pytania na temat oddziałów bojowych? Nawet krytycznie nastawiona Sophia widziała, że condesa nie musi wcale dostosowywać tematu rozmowy do gustów majora, by zwrócić na siebie jego uwagę. Widać było wyraźnie, że jest on zainteresowany nią taką, jaka jest, i chcąc, by pozostał u jej boku, wcale nie musi go wypytywać o jego sprawy. Czując narastającą ciekawość, Sophia przysięgła sobie, że dobrze przyjrzy się poczynaniom Francuzki, gdyż nawet tak krótka znajomość przekonała ją, iż dama ta nie czyni nic bez celu. Każdy jej gest, spojrzenie i uśmiech były dokładnie wyliczone, by osiągnąć określony efekt. Jeśli poruszała temat ruchów wojsk przy jednym z doradców ze sztabu Wellingtona, to nie przypadkiem.

Na swoje następne spotkanie z majorem condesa zaplanowała coś zgoła innego niż czcze pogawędki. Mając pełną świadomość, że ojciec jej tego dnia zajmie się pilnowaniem naprawy dachu ich jak na razie nie nadającego się do zamieszkania zamku, dała pokojówce wolne popołudnie. Przywdziawszy strój spacerowy, bardziej stosowny do noszenia w ciepłe, letnie dni niż zimą oraz upewniwszy się, iż lada chwila może zacząć padać deszcz, narzuciła na siebie lekki, jedwabny płaszcz i wyruszyła w stronę kwatery głównej, wiedząc, że mniej więcej w tym samym czasie Mark będzie szedł do stajni.

I rzeczywiście, dokładnie tak, jak sobie wyliczyła, znad oceanu powiał wiatr i przyniósł ze sobą deszcz. Zbiegając po schodach, Mark trafił na chwilę, w której Diana, ciaśniej owijając się płaszczem, bezskutecznie usiłowała schronić się w jakichś drzwiach. Nie zdążyła jednak, więc cienki jej płaszcz przemókł na wskroś i, przylegając do niej ściśle niczym draperie greckiego posagu, uwidoczniał jak najdokładniej idealne zarysy jej wspaniałej figury.

Mark przebiegł przez ulicę.

- Przemokła pani do suchej nitki, pozwoli pani, że zaprowadzę ją do kwatery głównej. - Szybko zdjął



własny płaszcz i narzucił go condese na ramiona.

Odchylając się do tyłu tak, by znaleźć się jak najbliżej majora, Diana odpowiedziała, szcękając zębami:

- Ach, nie. Czułabym się okropnie zawstydzona. Niech pan popatrzy, moja suknia jest tak mokra, że czuję się, jakbym była całkiem naga. - Wykonała nagły gest, tak by odsunąć jeden i drugi płaszcz i ukazać mu zachęcający widok białej, muślinowej sukni, która ciasno przylegała do jej piersi i ud. - Proszę - spojrzała na niego błagalnie. - Niech pan zabierze mnie do mojego domu.

- Zmoknie pani jeszcze bardziej.

- Już jestem cała mokra. Bardziej nie będę, a poza tym muszę jak najprędzej zdjąć z siebie to wszystko.

Mark wyobraził sobie condesę, pozbywającą się swej cienkiej muślinowej sukni, i zaschło mu w gardle.

- Dobrze więc, niech będzie tak, jak pani sobie życzy.

Podał jej ramię i w strugach deszczu pospieszyli, kryjąc się pod murami domów, by choć trochę uniknąć ulewy.

Gdy znaleźli się pod domem księcia de Brissac, Mark tak bardzo troszczył się o to, by condesa jak najprędzej znalazła się w suchym miejscu, że nie zwrócił najmniejszej uwagi, iż w całym budynku panuje głucha cisza. Nie pojawił się nikt ze służby. Nikt nie przybiegł, by odebrać od pani płaszcz, i nie ruszył za nią do jej sypialni, by czym prędzej pozbyła się mokrej sukni.

Diana poprowadziła go do pięknego salonu, zdobionego draperiami z bladezielonego adamaszku i wypełnionego inkrustowanymi komódkami, mozaikowymi stolikami i złoconymi krzeselkami modny-

mi w zeszłym pokoleniu. Zsunawszy z ramion płaszcz majora i swój własny, rzuciła je niedbale na jedną z dwóch berżer ustawionych przy kominku.

- Dałam służbie wolne popołudnie, gdyż sama zamierzałam spędzić je na wizytach, więc ogień prawie całkiem już wygasł, ale...

- Zajmę się tym, jeśli pani pozwoli. - Pojawszy aluzję, Mark podszedł do kominka, poruszył przygasłe popioły i zdołał rozpalić znajdujące się w głębi na pół zwęglone polana. Jeśli nawet dziwiło go, że condesa, przedstawicielka klasy nawykłej do ignorowania potrzeb służących, nagle okazała niezwykłą dla nich łaskawość, nie powiedział ani słowa na ten temat. Stwierdził tylko, że chyba powinien wyjść, żeby pani domu mogła spokojnie przebrać się w suche odzienie.

- Za nic nie pozwolę panu wychodzić na taką słotę, zanim się pan nie ogrzeje, a zmókł pan jeszcze bardziej niż ja. - Diana powędrowała wzrokiem ku szerokiej piersi i muskularnym ramionom majora, uwydatniającymi się pod wilgotnym batysem jego białej koszuli. Cóż za przystojny kawaler! Nabrała tchu, wstała z fotela i podeszła do stojącego przy coraz cieplejszym kominku mężczyzny.

- Czuję, że jest pan całkowicie przemoczony. - Diana pogładziła go po piersi swą maleńką, białą dłonią. - I na dodatek przemarzł pan, bo przecież oddał mi pan swój płaszcz. Nie miałam pojęcia, że was, Brytyjczyków, stać jest na taką rycerskość.

Mark popatrzył na condesę, która znalazła się tak blisko niego, że czuł ciepło jej ciała i zapach jej wody różnej. W ciemnych oczach kobiety malowało się wiele obietnic, zaś pełne, czerwone wargi rozchyłały się ku-

sząco, a biała dłoń powoli, prowokacyjnie, przesunęła się z jego piersi na ramię, by w końcu znaleźć się na szyi.

Nie wiedział, czy to ona sięgnęła do jego ust, czy też on pochylił się do niej. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Poczował dotyk jej pełnych, miękkich piersi, a lekki nacisk jej bioder sprawił, że zapomniał o całym świecie.

Jak przez mgłę czuł, że jej dłoń rozluźnia mu krawatę i wsuwa się pod koszulę, gdzie zdawała się palić mu skórę. Bez namysłu sięgnął do pleców damy i rozpiął jej suknię.

Patrząc na niego spod półprzymkniętych powiek, Diana powoli rozchyliła wargi w uśmiechu. Wiedziała, że major okaże się doświadczonego kochankiem: poradził sobie z zapięciem jej sukni równie sprawnie, a może nawet lepiej niż jej pokojówka Marie. Westchnęła z zadowoleniem, gdy zsunął ją z jej ramion i namiętymi pocałunkami obsypał jej szyję. Opadła na sofę, pociągając kochanka za sobą.

Następnych kilka chwil stanowiło jedną płataninę ciał, dłoni, zatopionych w ciemnych lokach, ust szukających ust, gdy oboje dali się opanować swojej zmysłowości.

Po upływie pewnego czasu, który wydał jej się wiekiem, Diana uniosła głowę, by popatrzeć na leżącego pod nią mężczyznę. Jego pierś lśniła potem.

- *Merci, mon chérie* - szepnęła, powoli oblizując wargi. - Byłeś *magnifique*.

Cynicznie uniesiona brew powiedziała jej, że komplement jest nieco przesadzony, nawet biorąc pod uwagę intensywność ich namiętności. Czym prędzej postarała się odzyskać wiarygodność.

- Wiem, wiem, trochę przesadziłam, ale musisz zrozumieć kobietę, która przez całe życie zaznała głównie samotności. - Diana spojrzała Markowi głęboko w oczy, wplatając palce w gęste włosy na jego piersi. - Nie masz pojęcia, jak wyglądało moje życie. Owszem, teraz mogę wydać ci się szczęśliwa, śmieję się. Oglądasz mnie rozmawiającą z twoimi oficerami, ale do tej pory moje życie wypełniała pustka i smutek. Byłam dzieckiem, gdy nastąpiła rewolucja i musieliśmy uciekać. Kilka miesięcy po moim ślubie Napoleon ogłosił amnestię dla banitów. Papa wrócił do domu, a ja musiałam zostać w Hiszpanii. Mogłam polegać tylko na moim mężu, który bardziej był mi ojcem niż kochankiem. Potem Napoleon uczynił swego brata królem Hiszpanii i mój mąż wraz z innymi wyruszył na wojnę z Francją. Zmarł na gorączkę wkrótce potem, a ja wróciłam do papy. Żyliśmy w odosobnieniu: do niedawna Bonaparte uniemożliwiał nam prowadzenie jakiegokolwiek życia towarzyskiego. - Nie była to w pełni prawda, gdyż de Brissacowie do tego stopnia wrosli w najlepsze towarzystwo Madrytu, że zwrócili na siebie uwagę hrabiego de Gonsalvo y Coruna, ale Diana nie uważała za stosowne mówić czegokolwiek, co naruszyłoby wyraz głębokiego współczucia na twarzy jej kochanka.

Jeśli Mark dziwił się, gdzie condesa, prowadząc samotne, jak opisywała, życie, poznała tak dobrze arkanami miłości cielesnej, pospieszenie odrzucił tę myśl, tłumacząc sobie, że to desperacja zastąpiła doświadczenie i że to on spowodował tak szybką kulminację ich romansu, podczas gdy bardziej doświadczona kobieta przedłużałaby okres uwodzenia, budując napięcie

i wydobywając od niego kosztowne prezenty, zanim by w końcu uległa. Mówił sobie, że jej impulsywność jest szczerą i uroczą, że to niezwykle i atrakcyjne, gdy kobieta nie stawia bez przerwy swej reputacji na pierwszym miejscu. W tym momencie poczuł jej wargi na swoich i dał sobie spokój z tymi refleksjami, skupiając się na zmysłowych rozkoszach, które ofiarowała mu jego namiętna bogdanka.

W końcu, całkowicie wyczerpany apetytami condesy, Mark rzucił okiem na zegar, stojący na kominuku, i zaskoczony, iż czas upłynął tak szybko, zwrócił się do swej towarzyszki.

- Choć wszystko to zdarzyło się tak nieoczekiwanie, czas minął mi w sposób wielce przyjemny. Niemniej jednak teraz muszę wrócić do moich obowiązków.

- Wiem. - Westchnęła lekko. - Zbyt krótko to trwało, ale wy, oficerowie, macie tyle zajęć... Pewnie wyruszyście na Bayonne, jak tylko drogi staną się przejezdne.

- Oczywiście wolałbym pozostać na zawsze tutaj. - Jej wyrozumiałość wzruszyła Marka. Żadna inna kobieta, poza jedną, nie potrafiłaby zrozumieć, że chociaż teraz armia nie walczy, jest wiele do zrobienia, ale ta jedna nie była zdolna do czynów tak śmiałych jak condesa.

Ubrał się, raz jeszcze ucałował usta swej damy i ruszył do wyjścia.

- Nasze spotkanie było dla mnie w najwyższym stopniu przyjemne. Mam nadzieję, że teraz nie czujesz się, pani, samotna i pozbawiona przyjaciół. Jestem do usług na każde pani życzenie,

Diana uśmiechnęła się olśniewająco.

- Wy, Anglicy, jesteście bardzo rycerscy, ty zaś jesteś najbardziej rycerski spośród Anglików, ale co się stanie, jeśli twoje usługi okażą się mi niezbędne?

- Będę zaszczycony. - Uniósł do ust jej dłoń, ucałował ją i, otworzywszy drzwi, szybko rozejrzał się, czy nikt go nie widzi. Kiedy upewnił się, że ulica jest pusta, ruszył do kwatery głównej.

Udawszy się do buduaru, Diana usiadła przy toalecie i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze z dużą dozą satysfakcji. Miłość zawsze sprawiała, że wyglądała piękniej. W jej oczach pojawił się blask, który zdawał się rozświetlać całą jej postać. Tak, ten major spełnił jej wszystkie jej oczekiwania, poza jednym... Diana zmarszczyła brwi, ale widząc, jak psuje to gładkość jej czoła, szybko się rozpogodziła... nie uwielbiał jej ślepo, tak jak tego pragnęła.

Owszem, wyraził współczucie, słuchając jej smutnej opowieści, ale jego odpowiedź zabrzmiała zbyt gładko i wydawała się być dowodem raczej rutyny niż szczerzej gotowości, by znaleźć się przy jej boku na każde jej żądanie. Nie uwierzył także w komplementy dotyczące jego sprawności jako kochanka. Pochyliła się do przodu, by przyjrzeć się dokładniej swej twarzy, lecz nie znalazła na niej najmniejszej niedoskonałości, więc, zadowolona, iż od rana nic się w niej nie zmieniło, siedziała bez ruchu i w zamyśleniu patrzyła w lustro.

Diana de Gonsalvo y Gorana generalnie ceniła sobie u mężczyzn inteligencję, ale teraz nie szukała wyzwania; potrzebna jej była ofiara. Może niekoniecznie ten major, może ktoś inny w sztabie Wellingtona okazałby się bardziej stosowny, ale to właśnie major lord Mark Adair przyprawiał condesę o żywsze bicie serca.

Chociaż Sophia była przekonana, że condesa ani nie potrzebowała, ani nie pragnęła towarzystwa innych kobiet, kilka razy uczyniła próbę nawiązania z nią rozmowy podczas balów w kwaterze głównej. Za każdym razem upewniała się, że Diana stara się ze wszystkich sił ją ignorować, poświęcając całą swoją uwagę konwersacjom z różnymi oficerami na temat siły i rozmieszczenia poszczególnych oddziałów, stacjonujących w okolicy.

Mimo że oficerowie udzielali pięknej damie raczej zdawkowych odpowiedzi, nie przekonało to Sophii, iż czarowna condesa interesuje się tylko przelotnymi flirtami. Jednak zanim zdążyła sobie przemyśleć, co ma w tej kwestii uczynić, major dostarczył jej pewnej okazji.

Gorący epizod, jakim zostało uwieńczone przemoknięcie condesy, powtarzany był regularnie, ilekroć hrabia de Brissac wyjeżdżał do swej wiejskiej posiadłości, i dwoje kochanków coraz bardziej się do siebie zbliżało.

Mark, który przywykł, iż kobiety szukają jego towarzystwa, w normalnej sytuacji zachowałby pewną ostrożność i dbał, by nie stworzyć niewłaściwego wrażenia, jednak condesa nie wydawała się wymagać od niego nic ponad to, by sprawdzał się jako kocha-

nek, więc wyzbył się wszelkich skrupułów, tłumacząc sobie, że jego bogdanka jest bądź co bądź Francuzką, a te podchodzą to takich spraw w sposób o wiele bardziej racjonalny niż Angielki.

Pewnego popołudnia, rozkosznie zmęczony po szczególnie wyczerpującej schadzce, Mark pozwolił swym oczom wędrować bezmyślnie po salonie. Ilość znajdujących się w nim mebli wskazywała na to, że rodzina de Brissac wszystko, co zdołała uratować ze zrujnowanego *chateau*, przywozła do domu w Saint-Jean. Portrety de Brissaców sięgające dwa wieki wstecz pokrywały ściany i Mark, szukając w nich podobieństwa do obecnych członków rodziny, wpadł na pewien pomysł.

- Widzę tu piękny portret twojego ojca, a tam - wskazał na podobiznę uroczej damy, która karnacją przypominała Dianę, nie mając jednak jej ciemnych oczu - pewnie jest twoja matka. Czy podobizna obecnej condesy zdobi jakiś zamek należący do rodu de Gonsalvo y Coruna?

- Nie. W moim życiu nie znalazła się stosowna pora na pozowanie do portretów. Rewolucje i wojny temu nie sprzyjają.

- Wielka szkoda. Myślę jednak, że sytuację tę można jednak naprawić.

Diana uznała jego słowa za czczą grzeczność i zupełnie o nich zapomniała. Tym większe było jej zdziwienie, gdy kilka dni później Mark poinformował ją, że zostanie namalowany portret condesy jako prezent od niego dla niej i jej ojca. Wystarczy tylko, że Diana zechce pozować.

- Jest pan dla nas zbyt łaskawy, majorze. - Conde-



sa wolała otrzymywać od swych wielbicieli nieco bardziej osobiste prezenty, na przykład klejnoty, które są dla damy znacznie bardziej użyteczne niż obraz, ale postarała się okazać stosowny zachwyty i bardzo pięknie podziękować majorowi za jego troskę.

Mniej była zadowolona, gdy dowiedziała się, kto będzie autorem tego dzieła.

- Panna Featherstonaugh? Ależ ona nie jest prawdziwym malarzem, jest kobietą.

- Widziałem wykonane przez nią podobizny i zapewniam panią, iż są nie gorsze niż portrety Lawrence'a, Hoppnera i Reynoldsa. Bądź co bądź Angelica Kauffmann to także kobieta.

Mark nie przyznał się condese, że Sophia nie okazała wcale entuzjazmu dla jego propozycji.

- Czy condesa się zgodzi? - spytała.

- Oczywiście, że tak. - Powątpiewanie, jakie zabrzmiało w jej głosie, było dla Marka zaskoczeniem.

- Dobrze więc. Z przyjemnością podejmę się tego zadania. Teraz wystarczy ustalić porę naszego pierwszego spotkania. Proszę poinformować condesę, że wystarczą mi dwa posiedzenia.

- Dziękuję, powiem jej. - Widać było wyraźnie, że Sophia nie ma ochoty na dalszą dyskusję.

Wykonując swe zwykłe prace tego dnia, Sophia zastanawiała się, czy major ułożył ten plan powodowany chęcią sprawienia przyjemności condesie, czy też swoim złudnym przekonaniem, iż ona i Sophia powinny zostać przyjaciółkami.

Condesa przywitała Sophię stosunkowo uprzejmie, kiedy ta pojawiła się kilka dni później w miejskiej re-

zydencji de Brissaców, jednak w jej zachowaniu dało się wyczuć pewną protekcyjność, nie pozostawiającą, zdaniem Sophii, najmniejszych wątpliwości, iż Francuzka uważa ją tylko za naiwną amatorkę, której polecono wykonać jej podobiznę.

Podczas gdy Sophia wybierała miejsce, w którym było najlepsze światło, condesa dała jej wyraźnie do zrozumienia, iż to nie ona jest inspiratorką całej tej sprawy.

- Nie ma najmniejszej potrzeby, by malować mój portret, ale major to taki miły człowiek i tak bardzo do mnie przywiązany.

Sophia popatrzyła na condesę ze zdziwieniem. Można było użyć wielu rozmaitych słów, by opisać majora lorda Marka Adair, ale określenie „miły” z pewnością do nich nie należało.

- Cóż - Condesa lekko pociągnęła noskiem, nieco zbity z tropu niewiarą Sophii. - Dla mnie jest bez wątpienia miły. Jeśli uważa, że coś mnie uszczęśliwi, nie ma dla niego przeszkód.

- Och

- Tak. Człowiek ten stale próbuje wymyślić dla mnie nowe przyjemności. Prawdę mówiąc, jego atencja zadziwia mnie. - Diana potrząsnęła głową z wyzywającym błyskiem w oku. Proszę, niech ta *petite Anglaise* dobrze to sobie przemyśli. Żaden prawdziwy mężczyzna nie poświęcałby swego czasu, by sprawić przyjemność tak zimnej i powściągliwej pannie, jak Sophia Featherstonaugh; byłoby to najzupełniej pozbawione sensu, zwłaszcza gdy w pobliżu znajdowała się condesa de Gonsalvo y Coruna. Mężczyźni tacy jak major lubili kobiety namiętne i oszałamiają-

co piękne. Diana uśmiechnęła się z wyższością, podczas gdy Sophia, najwyraźniej zmieszana, wskazała jej krzesło. Skan Anula43, przerobienie pona.

Młoda Angielka starała się ze wszystkich sił zachować chłód i dystans, choć przychodziło jej to z trudem wobec takiej prowokacji. Na szczęście upór, z jakim condesa opowiadała o przywiązaniu majora do niej, powiedział Sophii znacznie więcej, niż leżało to w zamierzeniach pięknej damy.

Sophia pochyliła się nad swym pudełkiem z farbami, by ukryć triumfujący uśmiezek. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo interesuje ją związek majora z condesą. Nie potrafiła powiedzieć dokładnie, co ją niepokoi, ilekroć widzi ich razem promenujących podczas rzadkich ładniejszych dni albo gdy podczas jednego z obiadów u księcia podawał jej najlepsze kęski z kolejnych półmisków. Sophia dostrzegała ich bliskość, ale teraz, gdy jedna osoba z tej pary starała się za wszelką cenę przekonać ją o stałości ich związku, nie mogło to znaczyć nic innego, jak tylko to, że condesa wcale nie jest taka pewna swej władzy nad majorem.

Na tym dwie damy zakończyły konwersację. Sophia szkicowała pospiesznie, podczas gdy condesa starała się sprawiać wrażenie pięknej, lecz znudzonej, jakby mężczyźni zabijali się o jej portrety. Gdy światło zaczęło się pogarszać, Sophia zdołała zrobić wystarczająco dużo, by móc, z pewną ulgą, zwolnić swą modelkę z dalszego pozowania.

- Sądzę, *madame*, że nie będę musiała już pani trudzić, dzięki czemu nie będzie już pani musiała siedzieć godzinami bez ruchu jak posąg.

- Co? Już pani skończyła? Wielkie nieba, ja tu siedzę jak kamień, a mogłabym tyle usłyszeć o pani przygodach z tą armią szaleńców.

- Szaleńców? Nie rozumiem.

- Anglicy są szaleni bez najmniejszej wątpliwości. Ryzykują życie, by ocalić Portugalię i Hiszpanię, by pokonać potwora z Korsyki, kiedy mogliby bezpiecznie siedzieć na swojej wysepce. Czy nie uważa pani, że to szalone, choć niewątpliwe zarazem bardzo rycerskie? Oficerowie, z którymi rozmawiam, twierdzą, że to nic wielkiego te wszystkie marsze i walki tak daleko od ich rodzinnego domu. Ale pani jest kobietą i chyba widzi pani, jakie tu panują warunki. Skąd bierzecie zaopatrzenie? Przy takiej pogodzie nie można przecież liczyć na statki? Wkrótce będą chyba musieli wyruszyć dalej, gdyż zjedzą wszystkie zapasy z okolicy.

Ta nagła wymowność w momencie, gdy artystka zbierała się do odejścia, wydawałaby się dziwna w każdych okolicznościach, ale Sophia miała już swoje podejrzenia, jeśli chodzi o zainteresowanie condesy angielskim wojskiem.

- Ach, książę zawsze powtarza, że armia nie porusza się na nogach, lecz na żołądkach, i że nigdy nie pozwoliłby sobie na to, by zależeć od okolicy, jeśli chodzi o żywność. - Sophia starała się mówić w sposób jak najbardziej ogólny. - A jeśli chodzi o suknię, w której wystąpi pani na portrecie...

- Każę Marie, mojej pokojówce, by przyniosła pani strój, w którym chcę być namalowana, by mogła go sobie pani obejrzeć. A teraz dziękuję. Antoine odprowadzi panią do wyjścia. Czuję, że przez to całe pozowanie będę miała straszliwą migrenę. - Condesa za-

dzwoniła na lokaja i wstała, zanim stary sługa, ten sam, który wpuszczał tu Sopię, pojawił się w drzwiach. - Antoine, panna Featherstonaugh wychodzi. Proszę informować innych gości, że jestem niedysponowana.

Condesa wyszła z salonu, zanim Antoine zdążył odpowiedzieć:

- *Tres bien, madame.*

Gdy drzwi rezydencji de Brissaców zamknęły się za Sopią, dziewczyna pogratulowała sobie zwięzłości swojej odpowiedzi na pytanie condesy na temat armii brytyjskiej, gdyż widać było wyraźnie, że właśnie z powodu owej zwięzłości gospodyni rozstała się z nią tak rychło.

Sophia wiedziała, że powinna powiedzieć komuś o tym, że condesa de Gonsalvo y Coruna interesuje się losem sił brytyjskich znacznie bardziej niż powinna, ale który z odpowiednio wysoko postawionych doradców Wellingtona zechce jej wysłuchać?

Major lord Mark Adair byłby doskonałym do tego celu człowiekiem, gdyby nie jego wyraźna skłonność do condesy. Nawet gdyby uwierzył, co było bardzo mało prawdopodobne, uznałby, że podejrzenia Sophii są wynikiem jej awersji wobec tej damy albo, co gorsza, zazdrości.

W chwili obecnej dziewczynie nie pozostawało nic innego, jak tylko osobiście pilnować condesy albo może poprosić o pomoc Luisa, a samej zaś, jak wiele razy wcześniej, wrócić do swych zwykłych zatrudnień.

Sophia zajęła się malowaniem, co przyniosło jej dwie korzyści: przestała rozmyślać nad związkiem condesy z majorem, a co więcej, skończyła portret w rekordowo krótkim czasie.

Miała swoje miejsce do pracy w głębi salonu, opodal wychodzących na północ wielkich okien, które dostarczały jej najlepszego światła, zaś gdy deszcze uspokoiły się na tyle, by mogli przychodzić goście, mieli oni łatwy dostęp do jej prac.

- Znakomicie uchwycone podobieństwo, znakomicie - stwierdził generał sir Thomas Picton, wpadłszy pewnego poranka, by przedyskutować z generałem Curtisem problem zaopatrzenia swoich oddziałów. Sophia podziękowała rubasznemu wojakowi, ale to pochwały innych osób, w tym Fitzroya Somerseta i Andrew Leith Haya przekonały ją, że rzeczywiście udało jej się doskonale odtworzyć postać condesy.

Jeden tylko człowiek nie podzielał ogólnych zachwytów nad dziełem Sophii. Pewnego ranka przed swą zwykłą przejażdżką na Cezarze major odwiedził kwaterę generała Curtisa specjalnie po to, by obejrzeć portret, który, choć jeszcze nieoprawiony, był już całkowicie gotowy.

- Mówił mi Fitzroy Somerset, że obraz jest prawie

ukończony - zwrócił się Mark do Sophii, podając pe-  
lerynę Jeanne, która otworzyła mu drzwi. - Andrew  
zaś twierdzi, że jest doskonały, więc przyszedłem, że-  
by go zobaczyć osobiście.

Sophia zaprowadziła go na piętro, po czym, odsu-  
nawszy szerzej zasłony, by wpuścić więcej światła,  
pokazała mu portret, ustawiony na sztalugach w po-  
bliżu jednego z okien.

- Ach. - Major stał przed nim przez jakiś czas, nie  
mówiąc ani słowa. Wyraz jego twarzy także nie po-  
zwolił wnioskować, jakie wrażenie wywarł na nim  
obraz, którego wykonanie zamówił.

Sophia uzbroiła się w cierpliwość, ale kiedy zrozu-  
miała, że nie doczeka się żadnego odzewu, odważyła  
się zauważyć, iż Andrew Leith Hay, który również  
jest artystą, stwierdził, że jest to jak dotychczas naj-  
lepsza z jej prac.

- Doprawdy? Hmm.

- Nie podoba się panu, majorze? - Sophia nie po-  
trafiła ukryć niepokoju.

- Tak. Hm, hm. Podobieństwo jest bardzo bliskie. -  
Major umilkł. - Ale czy naprawdę uważa pani, że con-  
desa jest aż tak podstępna?

- Podstępna, milordzie? Jest wesoła, kokieteryjna,  
ale...

- Tak właśnie. Podstępna. Panno Featherstonaugh,  
znam wystarczająco dobrze i panią, i jej talent, by wie-  
dzieć, że jest pani zdolna stworzyć taki efekt, jaki tyl-  
ko pani zechce. Niewątpliwie uśmiech jest kokieteryj-  
ny, ale oczy kryją w sobie tajemnice. Niech mi pani  
nie wmawia, że stało się tak przypadkiem, bo przecież  
ja wiem lepiej.

- Tylko pan odebrał to w ten sposób, majorze. Nikt inny nie mówił nic podobnego.

- Co nie oznacza, że się mylę. Już dawno wyrosłem z wieku dziecięcego.

Sophia nie miała wyboru. Spojrzenie ciemnych oczu mężczyzny wydawało się przenikać ją na wylot.

- Tak, wiem. Ale ja nic tu sama nie zrobiłam. Namalowałam tylko to, co widzę.

- Więc może tym razem się pomyliłaś. Condesa jest niewątpliwie płocha, ale nie oszukuje. Nie rozumiem, dlaczego tak ją pani namalowała.

Sophia z zakłopotaniem wyłamywała sobie palce. Wbrew rozsądkowi miała nadzieję, że major sam zacznie podejrzewać Francuzkę o nieuczciwość i nie uzna, że to ona, Sophia, źle ją zrozumiała.

- Jak mówiłam, majorze, nikt inny nie ujrzał w tym portrecie nic podobnego. Nawet sama condesa wyraziła zadowolenie, gdy, była tu wczoraj, żeby go obejrzeć.

Nie była to w pełni prawda, lecz także nie kłamstwo. Condesa, zaproszona na oględziny, zanim obraz zostanie wykończony, raczej by umarła, niż przyznała, że *la petite artiste Anglaise* ma coś w rodzaju talentu. Przez dłuższy czas przyglądała się swojemu portretowi z uśmiechem zadowolenia na twarzy. W końcu bardzo oględnie wyraziła swą aprobatę.

- Tak, to wystarczy... bardzo ładnie - rzekła na odchodnym.

Zdając sobie sprawę, że nawet tak skąpa pochwała kosztowała condesę bardzo wiele, Sophia uczuła zadowolenie. Jeśli condesa, doszukująca się słabych punktów, nie wyraziła podobnych obiekcji jak major, oznacza to, iż to on sam ma wątpliwości co do owej



damy i właśnie one wywarły wpływ na jego ocenę. Oczywiście Sophia nie zamierzała mu tego mówić, ale jednak odczuła pewną drobną satysfakcję.

- Jestem przekonany, iż condesa jest zbyt dobrze wychowana, by powiedzieć coś, co nie byłoby pochwałą. Poza tym nie zna pani tak dobrze, jak ja. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że mogłaby być pani o nią zazdrosna.

- Zazdrosna! Tak pan sądzi? - Przez chwilę wściekłość nie pozwoliła Sophii powiedzieć nic więcej. Rozgniewało ją szalenie to, że major mógł w ogóle coś takiego o niej pomyśleć, ale przypuszczenie, iż ona mogłaby zdradzić swoją sztukę dla tak niskiego uczucia, było nie do zniesienia. Poblądłszy z gniewu, zacisnęła pięści, starając się opanować. Gdyby zareagowała oburzeniem, uznaliby, że jego absurdalne oskarżenie jest prawdziwe, a wołałaby umrzeć, niż przyznać komukolwiek, że poświęciła choć jedną swą myśl komuś tak płytkiemu i egocentrycznemu, jak condesa de Gonsalvo y Coruna.

By się uspokoić, Sophia wzięła głęboki wdech i po chwili na tyle już panowała nad sobą, by móc mówić dalej. Jednak nie potrafiła opanować rumieńca, który wypłynął na jej policzki, ani też bolesnego pulsowania w skroniach.

- Zazdrosna? Dlaczegoż miałabym czuć zazdrość? - Była z siebie dumna, gdyż głos jej nie zdrzął, gdy wypowiadała te słowa. Nawet w jej własnych uszach brzmiał spokojnie i chłodno.

- Cóż, dlatego, że ja... to znaczy, condesa i ja... - Mark poczuł, że robi mu się gorąco, gdyż wpadł we własne sidła. Nic mu nie pomogło to, że rozgniewana i patrzą-

ca na niego z pogardą Sophia wyglądała tak pięknie jak nigdy dotąd. Była wspaniała w swym oburzeniu, a on poczuł się jak ostatni głupiec, a co więcej, grubianin. - To znaczy, hm... condesa skupia na sobie... tyle uwagi i zawsze pełno wokół niej mężczyzn, że pomyślałem... to przecież nic nadzwyczajnego... że każdej innej kobiecie mogłoby się to nie podobać.

- Mnie zaś nie podoba się to, że ona zadaje tym mężczyznom tyle pytań na temat siły i posunięć naszych oddziałów. A jeszcze bardziej gniewa mnie to, że wielu udziela jej odpowiedzi, nawet się nie zastanawiając, dlaczego jest ona tego ciekawa.

- Okazuje zainteresowanie. Condessa de Gonsalvo y Coruna jest piękną kobietą, która wie, że najłatwiej oczarować mężczyznę, zadając mu pytania na interesujący go temat. - Mówiąc te słowa, Mark nie mógł oprzeć się myśli, jak bardzo Sophia i condessa różnią się od siebie. Sophia potrafiła prowadzić sensowną rozmowę *na* podobne tematy, zaś condessa zadawała dziesiątki pytań na raz, trzepotała rzęsami i uśmiechała się uwodzicielsko.

- Może ma pan rację. - Sophia odczuła nagłe zmęczenie całą tą sprawą. Zwróciła wzrok za okno, dając tym do zrozumienia, że pragnie, aby rozmowa została zakończona.

Przechyliwszy nieco głowę, Mark przyjrzał się bawczo zwróconemu ku sobie profilowi. Nie był pewien, co tym wszystkim myśleć. Nie dalej jak chwilę temu dziewczyna nie posiadała się ze złości, teraz zaś jej obojętny ton i nieobecne spojrzenie mówiły mu, że rozmowa ta przestała ją zupełnie interesować. U każdej innej kobiety zachowanie takie wydałoby

mu się bardzo podejrzane, ale Sophia nie była „każdą kobietą”. Nie miała zwyczaju skrywać swoich myśli ani też flirtować. Nie pozostawiała wątpliwości, o co jej chodzi, i była po męsku szczerą i bezpośrednią tak w słowach, jak w czynie. Najwyraźniej w świecie obraził ją, lecz było równie oczywiste, że panna nie ma najmniejszego zamiaru wdawać się w dalsze wyjaśnienia. Nie pozostawało mu wobec tego nic innego, jak tylko oddalić się, chociaż wcale nie zaspokoił swojej ciekawości, dlaczego namalowała condesę w ten, a nie w inny sposób i czemu nie chce o tym rozmawiać.

- Cóż, bardzo pani dziękuję. Najważniejsze, żeby condesa i jej ojciec byli zadowoleni. Przyślę do pani ordynansa, który zabierze obraz i dostarczy go condesie. Proszę mi jednak powiedzieć, ile jestem pani winien.

- Pan? Mnie? Ależ nic.

- Wręcz przeciwnie, jestem pani winien bardzo wiele. Zamówiłem obraz, który wykonała pani doskonale, a osoba portretowana wyraziła swoje zadowolenie.

- Nie mogę za to nic od pana przyjąć.

- Nie pojmuję, dlaczego. Jestem klientem. Jeśli chce zostać pani drugą Angelicą Kauffmann, musi pani nauczyć się przyjmować zapłatę, która stanowi świadectwo uznania dla pani talentu.

- Och. - Tym razem Sophia nie wiedziała, jak ma odpowiedzieć. Przez tyle lat pracowała nad udoskonalaniem swych umiejętności, marzyła, by znalazły zastosowanie w praktyce, a teraz, kiedy to rzeczywiście nastąpiło, czuła się bardzo skrępowana.

Na ustach majora pojawił się lekki uśmiezek. Z łatwością potrafiła bronić prawa do swego własnego zdania i wizji artystycznej, ale kiedy należało przyjąć

za nie zapłatę, czyli to, co większość kobiet uznałaby za rzecz sobie należną, najwyraźniej nie wiedziała, jak ma postąpić. Mark położył jej dłoń na ramieniu.

- Musi pani przyjąć zapłatę, panno Featherstonough. Jeśli pani tego nie uczyni, będzie to oznaczało, że nie wierzy pani w siebie i swój talent. - Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. - Przyślę ją pani przez ordynansa i już.

Odwrócił się i wyszedł, zanim Sophia zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować. Przez chwilę stała, bezmyślnie wbijając wzrok w drzwi, a potem opadła na fotel przy oknie i zapatrzyła się na czerwone dachówki sięgające aż do morza, próbując uporządkować chaos, jaki ogarnął jej umysł.

Jak mógł major lord Mark Adair rozumieć tak doskonale, co czuje i myśli, a zarazem być tak zaślepiony wobec intryg condesy de Gonsalvo y Coruna? Jak mógł okazać aż tyle subtelności, by mieć wątpliwości co do portretu, a nie mieć ich wobec przedstawionej na nim osoby? Sophia nie potrafiła rozwiązać tej zagadki. Z jednej strony była na niego wściekła za to, że ośmielał się myśleć, iż może być zazdrosna o taką kobietę, ale z drugiej strony wzruszyło ją to, że zechciał pomóc jej zbliżyć się do upragnionego celu: zostania zawodową malarką, i była mu wdzięczna za jego zainteresowanie i troskę.

Mark również czuł potrzebę, by sobie to i owo przemyśleć, dlatego też osiodłał Cezara i ruszył prosto w kierunku skalistego przylądka zamykającego zatokę. Od oceanu wiał silny wiatr, zaś po szarym niebie pędziły gęste chmury, co prawdopodobnie zniechęciło większość ludności do spacerów, zwłaszcza po plaży. Major chciał zostać sam ze swymi myślami, tym bardziej że niektóre z nich były bardzo nieprzyjemne. Jednak pędząc przed siebie, dostrzegł innego samotnego jeźdźca, kłusującego przez pola i oddalającego się od miasta. Było nieco za późno jak na codzienną przejażdżkę, jaką odbywali oficerowie kawalerii dla utrzymania sprawności własnej i swych wierzchowców, a co więcej, mało kto z mieszkańców Saint-Jean-de-Luz parał się jazdą konną, więc Mark poczuł pewne zaciekawienie. Zmrużył oczy, starając się rozpoznać ciemną postać na końskim grzbiecie, i po krótkiej obserwacji stwierdził, że jest to kobieta. Jedyłą znaną mu przedstawicielką płci pięknej, która mogłaby zdecydować się na przejażdżkę w taką pogodę, była Sophia, którą dopiero co zostawił w domu. Pozostawała jeszcze jedna kobieta, o której wiedział, że potrafi jeździć konno, a mianowicie condesa de Gonsalvo y Coruna.

Mark wyteżył wzrok. Suknię miała ciemną, inną

niż ta purpurowa, która tak bardzo zwracała uwagę, pamiętna z ich pierwszego spotkania na plaży. Jednak trudno mu było pomylić się co do gniadej klaczy z białą skarpetką na prawej przedniej nodze.

A więc jest to condesa, ale co tutaj robi? Oddała się samotnie z miasta w nierzucającym się w oczy stroju. Chyba nie liczy na to, że spotka gdzieś Marka lub innego oficera, którego pragnęłaby może skusić. Major zmarszczył brwi. Nic z tego nie rozumiał. Condesa uwielbiała towarzystwo, zwłaszcza adorujących ją mężczyzn. A więc skoro udała się na przejażdżkę sama, stroniąc od takiej właśnie kompanii, to znaczy, że ma jakiś inny cel. Ale jaki? Chce dotrzeć do Bayonne? Do Francuzów? *Mnie zaś nie podoba się to, że ona zadaje tym mężczyznom tyle pytań na temat siły i posunięć naszych oddziałów. A jeszcze bardziej gniewa mnie to, że wielu udziela jej odpowiedzi, nawet się nie zastanawiając, dlaczego ona jest tego ciekawa.* Mark przypomniał sobie niedawno słyszane słowa.

Czyżby Sophia słusznie podejrzewała tę kobietę? Mark nie potrafiły wymyślić żadnej innej przyczyny, która mogłaby skłonić condesę do udania się w stronę Bayonne, a nie Saint-Jean, jak tylko obecność sil francuskich. Piękna dama nie należała do osób, które ruszyłyby na daleką przejażdżkę dla samej przyjemności wdychania świeżego powietrza.

Zawrócił Cezara i ruszył powoli, z namysłem, z powrotem do miasta. W tej chwili nie mógł zrobić nic lepszego. Powinien wkrótce znaleźć się w kwaterze głównej i trudno byłoby mu niepostrzeżenie zbliżyć się teraz do condesy. Musi najpierw wymyślić jakiś sposób wykrycia, co ona knuje. Jak się okazywało,

wcale nie skończył jeszcze ze służbą oficera zwiadowczego.

Sophia poczułaby się znacznie lepiej, gdyby wiedziała, jakim torem ruszyły myśli majora. Siedząc przy oknie, zdała sobie sprawę, że przyczyną jej gniewu nie było posądzenie o zazdrość, lecz frustracja, wywołana faktem, iż zgadzając się z nią w tylu sprawach, major miał najzupełniej odwrotne zdanie na temat tak ważny, jak to, czy można ufać condesie de Gonsalvo y Coruna. Świadomość, że tak bardzo się z nią nie zgadzał, była sama w sobie przykra, ale znacznie gorsze było to, że przypisywał jej przy tym najgorszego gatunku małostkowość. Sophia spędziła resztę dnia na swych zwykłych zajęciach, przytłoczona dotkliwym poczuciem straty. Gdyby widziała, jak ciemne brwi majora marszczą się na widok oddalającej się amazonki, na pewno humor by się jej od razu poprawił.

Wkrótce jednak i tak musiała zaprzatnąć swe myśli zupełnie innymi sprawami, gdyż lady Curtis, wróciwszy wieczorem ze szpitala, gdzie zajmowała się rannymi, zaczęła uskarżać się na lekką gorączkę.

- Jeśli pozwolisz, zjem tylko talerz zupy w swoim pokoju - powiedziała lady Curtis, uprzednio powitawszy męża i córkę.

- Mam nadzieję, że nie jesteś chora, mamo. - Sophia podniosła się ze stojącego przy kominku fotela, który zajmowała, czytając przysłany wczoraj statkiem egzemplarz „Timesa” sprzed sześciu tygodni.

- Ja też, ale obawiam się, że mogłam się czymś zarazić. Jest tak zimno i wilgotno i tyle ludzi choruje. Chociaż zła pogoda jest o tyle korzystna, że nie mu-

simy przez jakiś czas walczyć z Francuzami i nie ma tylu rannych, szpital pełen jest ludzi cierpiących na różnego rodzaju przeziębienia oraz zapalenie płuc.

Wieczorem Sophia poszła zobaczyć, jak czuje się matka, i z przerażeniem stwierdziła, iż ma ona nienaturalnie błyszczące oczy, przyspieszony oddech i rozpalone czoło.

- Pozwól mi wezwać kóregoś z medyków, mamó. Nie wyglądasz najlepiej.

- Nonsens, kochanie. Mają dosyć zajęcia w szpitalu. Ja potrzebuję tylko trochę odpoczynku. Dobrze się wyśpię i jutro będę czuła się wyśmienicie.

Jednak słowa te nie sprawdziły się i następnego ranka Sophia i generał, czekając wyroku lekarza, stracili apetyt na śniadanie, które przyszykował im Jorge.

Wojskowy chirurg, bardziej nawykły do kurowania rannych żołnierzy niż chorych kobiet, nie przejawiał optymizmu.

- Niewiele da się tu zrobić. Proszę trzymać ją w cieple i podawać czysty bulion wołowy, ale obawiam się, że nie potrwa to długo. Bardzo mi przykro. - Doktor nie owijał prawdy w bawełnę, jako że za wiele już widział chorób i cierpienia, by marnować czas swój i innych na dawanie fałszywej nadziei. Zanim jednak wyszedł, ojcowskim gestem poklepał Sophię po ramieniu. - Na pani miejscu spędzałbym jak najwięcej czasu przy niej.

- Dziękuję panu. - Sophia ledwo widziała przez łzy jego surową, pomarszczoną twarz. - Przepraszam - zwróciła się do generała, który smutno skinął jej głową. Oczy miał także mokre.

Kilka następnych dni zlało się Sophii w jeden ciąg spędzony przy łożu matki na obserwacji jej płytkiego



oddechu na przemian z gorączkowym rzucaniem się i oczekiwania na krótkie chwile, w których lady Curtis otwierała oczy i poznawała swą córkę lub generała, przesiadującego w głowach łóżka żony, trzymającego ją za rękę i bezustannie wpatrującego się w jej twarz.

Ponura przepowiednia chirurga spełniła się. Upłynęło zaledwie kilka dni od tego wieczoru, kiedy to lady Curtis wróciła do domu z gorączką, gdy chora z trudem uniosła głowę i wyszeptawszy: „Dbajcie o siebie nawzajem”, opadła na poduszki, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Potem zamknęła oczy i leżała nieruchomo, tak że Sophia lękała się, czy matka jeszcze oddycha. Po kilku minutach nie było już wątpliwości, że lady Curtis odeszła z tego świata.

Oszołomiona tak szybkim i nagłym rozwojem sytuacji, Sophia siedziała bez ruchu i dźwięku. Po chwili generał otarł oczy, wstał i położywszy dziewczynie dłoń na ramieniu, skłonił ją, by wyszła z pokoju.

- Chodźmy, moja droga. Nic już tu po nas, a ty musisz teraz coś zjeść i trochę odpocząć.

Sophia niechętnie pozwoliła mu się prowadzić. Nie miała ochoty nic jeść ani też spać, ale wiedziała, że generał ma rację. Nic już nie mogła pomóc, a będzie potrzebowała wiele siły, by przetrwać nadchodzące dni bez kojącej obecności swej matki.

Jak daleko sięgała pamięcią, jedynym elementem, na którego stałość mogła liczyć w swym tak pełnym zmian życia, była obecność matki, jej miłość, a teraz tak nagle i prawie bez ostrzeżenia zostało jej to odebrane na zawsze.

Starając się spełnić życzenie generała, Sophia niechętnie skubała kurczaka, którego podał jej Jorge,

głośno wzdychając i mamrocząc bez ustanku: *povere seniore*. Potem położyła się w ubraniu do łóżka. Nie mogła spać, więc leżała, patrząc w sufit, aż blade światło zimnego poranka powiedziało jej, że oto rozpoczęła się pierwszy dzień życia, jaki spędzi bez matki.

Podniosła się więc i poszła przygotować ciało matki do skromnego pogrzebu, który miał poprowadzić prywatny kapelan Wellingtona. Dowiedziawszy się o śmierci lady Curtis, ksiądz natychmiast zaoferował jego usługi.

- Nie mógłbym odmówić tego damie, która przez tyle lat wiernie opiekowała się naszymi chłopcami - odparł w odpowiedzi na podziękowania generała.

Generał zaś, który pospieszył do domu, by powiadomić Sophię o dobroci księcia, natychmiast wrócił do sztabu i zatopił się w pracy na resztę dnia. Wieczorem jednak pojawił się znowu w swej kwaterze, by zjeść z Sophią kolację i iść spać.

Sophia zazdrościła mu pracy. Widać było, że generał bardzo cierpi, ale mógł choć na jakiś czas zaprzęnąć swój umysł sprawami rekwizycji i dostaw oraz rozmowami z innymi oficerami, podczas gdy ona nie miała nikogo. Każdy pokój w ich domu przypominał jej matkę... koszyk pełen skarpetek czekających na naprawienie, wazon z zaszuszonymi kwiatami, rozjaśniający ciemny kąt, haft na parawanie osłaniającym kominiek, wykonany pewnej zimy w Lizbonie.

Nie mogąc się opanować, Sophia wędrowała z pokoju do pokoju, dotykając rzeczy, których przedtem dotykała jej matka, i rozpaczliwie usiłując powiązać je z kobietą, która przez całe dotychczasowe życie była dla niej wszystkim.

Jeden po drugim mijały szare, bezsensowne dni, podczas których Sophia zajmowała się prowadzeniem gospodarstwa, rada, że spadły na nią dodatkowe obowiązki, dotychczas wykonywane przez matkę, i nie zostawiały jej wiele czasu na rozmyślanie o swojej stracie. Wykonywała kolejne zadania: układała menu, pilnowała wietrzenia pościeli, odkurzania, zakupów, lecz w głębi duszy czuła pustkę i odrętwienie.

Spotkawszy dziewczynę na ulicy kilka dni po pogrzebie lady Curtis, Mark z trudem rozpoznał tak niedawno jeszcze energiczną i pełną życia Sophię Featherstonaugh w mizernej, zmęczonej kobiecie, która przeszła obok, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

- Panno Featherstonaugh.

Szczupła postać szła dalej z oczami wbitymi w ziemię.

- Sophio. - Mark musiał chwycić ją za ramię, żeby go spostrzegła.

- Och. Dzień dobry, majorze.

- Chciałem zapytać, czy otrzymała pani... - Urwał, widząc, że oczy jej pełne są rozpaczy. - Chodźmy. - Nie mówiąc nic więcej, poprowadził nie stawiając najmniejszego oporu Sophię w kierunku promenady. To, że pozwoliła się powieść na plażę, a potem w stro-

nę wyniosłych skał Sainte Barbe, wyraźnie wskazywało, w jak złym stanie ducha się znajdowała.

Żadne z nich nie odezwało się, dopóki nie dotarli do skalistego przylądka. W końcu Mark zatrzymał się i stanął twarzą do Sophii.

- Słyszałem o pani matce. Bardzo mi przykro, naprawdę.

- Dziękuję. - Był to szept tak cichy, że Mark raczej odczytał go z ruchu warg, niż usłyszał.

- Wiem, ile dla pani znaczyła. Jeśli mogę uczynić cośkolwiek...

- Nie. Dziękuję. Nikt nic nie może tu pomóc.

- Sophio. - Mark był bezradny wobec jej smutku bardziej niż kiedykolwiek w życiu, oprócz tych kilku miesięcy, kiedy patrzył, jak jego własna matka niknie w oczach. Nikt nie mógł uczynić nic, by złagodzić cierpienie dziewczyny. Jako żołnierz stale miał do czynienia ze śmiercią i chociaż nigdy do niej nie przywykł, nauczył się sobie z nią radzić, tyle że po wojskowemu. Tak jak inni rzucał się w wir walki, tej samej, która pozbawiła życia jego kolegów. Jednak nie mógł zaproponować Sophii tego rodzaju pocieszenia.

Spojrzał w jej pociemniałe z bólu oczy, lecz nie dostrzegł w nich nawet śladu łez. Gotów był się założyć, że nie zapłakała ani razu... strata była zbyt wielka, by Sophia mogła o niej myśleć, gdyby zaś otworzyła tamę swym uczuciom, ich gwałtowność mogłaby ją zabić.

- Biedactwo - szepnął Mark i objął ją ramieniem.

Zesztywniała, starając się opanować. Mark ostrożnie gładził jej plecy, dopóki nie poczuł, że trochę się odprężyła. Przyciągnąwszy ją nieco bliżej, rozwiązał wstążki jej czepka, zsunął go jej na plecy, a potem

powoli i łagodnie przybliżył jej twarz do swej piersi.

Przez chwilę opierała się, a potem uległa z westchnieniem. Napięcie powoli opuszczało ją, aż wreszcie lekko przytuliła głowę do ramienia Marka.

- No, no. Tak lepiej. Musi pani poddać się żalowi albo nigdy on pani nie opuści - szepnął Mark w ciemne loki muskające mu policzek.

Nic nie odpowiedziała. Przez jakiś czas gładził jej włosy, pozwalając jej czerpać od siebie nowe siły, ale w końcu delikatnie odsunął ją od siebie. Uniósł jej twarz i spojrzał głęboko w oczy, wciąż suche i pełne bólu.

- Sophio, moja droga, nie broń się tak przed swym żalem. Czasami dzielność i opanowanie nie są dobre, zwłaszcza jeśli stanowią przeszkodę, by żyć dalej. Jeśli nie pozwolisz sobie dać ujścia swej boleści, nigdy się jej nie wyzbędziesz. Wiem to dobrze, uwierz mi.

- Wie pan? - W jej wzroku malował się wyraźny brak wiary, niedaleki od pogardy, co nie było zbyt obiecujące, ale przynajmniej stanowiło jakąś reakcję i było lepsze niż całkowita obojętność.

- Tak. Wiem. Także straciłem matkę, i to w o wiele gorszych okolicznościach, a poza tym byłem wtedy znacznie młodszy niż pani teraz.

- Ale to co innego. Był pan młody, miał ojca i brata; rodzinę.

- Nie, było gorzej, bo to ja ją zabiłem.

To ją wreszcie zainteresowało.

- Proszę? - Jeśli przedtem w jej głosie brzmiało wątpliwanie, w tej chwili nie wierzyła mu wcale. - Nie mogę sobie wyobrazić, jak chłopiec...

- Nie zabiłem jej fizycznie, ale mimo to jestem odpowiedzialny za jej śmierć. Matka czuła się bardzo

osamotniona. Mój ojciec, który powinien był wiedzieć, jak bardzo złakniona jest towarzystwa, trzymał ją na wsi, w Cranleigh, odległym o wiele mil od zabaw i rozrywek, których tak była spragniona, i od jej rodaków. Kiedy jechaliśmy do miasta, stawała się kimś zupełnie innym. Przyjmowała wiele, zwłaszcza osoby należące do ambasady hiszpańskiej, gdyż tęskniła za wiadomościami o swojej rodzinie i pozostawionych w ojczyźnie przyjaciółach. Był też pewien młody człowiek, również odczuwający wielką nostalgię, który spędzał na rozmowach z moją matką długie godziny, gdyż nie tylko mieli wspólnych przyjaciół i byli spokrewnieni, ale także oboje kochali hiszpańską literaturę, malarstwo i muzykę. Kiedy teraz o tym myślę, rozumiem, że był jeszcze bardzo młody, moja matka zaś nie tylko mówiła tym samym co on językiem, zastępowała mu też rodzinę, pozostawioną w odległej ojczyźnie. Mój ojciec jednak - Mark urwał, przypominając sobie jego lodowaty ton, gdy, i tak zawsze chłodny i obojętny, mówił coś na temat młodego Hiszpana. Czemu nie potrafił okazać mu chociaż cienia współczucia i zrozumienia, czemu nie widział, że chłopiec jest po prostu osamotniony? Czyżby wcale nie znał swej własnej żony, nie poznał jej czułej i tkliwej natury? Major przełknął ślinę i z wysiłkiem ciągnął: - Mój ojciec jednak widział tylko jedno: mężczyznę, który spędzał zbyt wiele czasu w towarzystwie jego żony, księżnej Cranleigh. Teraz przychodzi mi do głowy, że ojcu chodziło mniej o to, co mogło wydarzyć się rzeczywiście, niż o to, jak to *wyglądało* z zewnątrz albo dokładniej mówiąc - Mark zaśmiał się sucho - o to, co mogli sobie pomyśleć ludzie.

- No, ale przecież pan nie mógł mieć z tym nic wspólnego.

- Nie. Jednakże to ja jestem odpowiedzialny za finał tego dramatu. Señor Alvarez tęsknił też za swoimi młodszymi braćmi, więc zawsze prosił mamę, żeby pozwoliła mi zostać, kiedy odwiedzając ją, zastawał mnie w jej towarzystwie. Przyniósł mi raz w prezencie mały mieczyk, z którego byłem ogromnie dumny, i oczywiście pokazałem go ojcu. Chciałem mu zademonstrować, jaki jestem już duży i dorosły.

- Chłód, z jakim ojciec przyjął moją nową zabawkę, gorzko mnie rozczarował, ale to, co nastąpiło później, było jeszcze gorsze. Przechodziłem przypadkiem koło biblioteki, w której ojciec łąjał moją matkę za to, że spotyka się z señorem Alvarezem. Pragnąc jej bronić, wbiegłem do środka i powiedziałem, że Hiszpan ten nie jest łotrem i zdrajcą, jak utrzymywał mój ojciec, ale bardzo miłym człowiekiem, który często u nas bywa. Nigdy nie zapomnę, co wydarzyło się potem. Mój ojciec wyglądał jak chmura gradowa, gdy, zebrawszy się na odwagę, wchodziłem do biblioteki, ale kiedy już powiedziałem swoje, był wściekły. Czułem prawie ulgę, gdy kazał mi natychmiast wyjść, ale niepokoiłem się o matkę. Sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej.

Nie mogąc mówić dalej, Mark urwał i gęsto mrugając oczyma, zapatrzył się na ocean. Wreszcie odchrząknął i podjął swe opowiadanie.

- To był przedostatni raz, kiedy widziałem moją matkę. Zamknęła się w swoim pokoju, a mnie nie pozwalano jej odwiedzać, gdyż, jak twierdzono, była chora. Dopiero kiedy widać było jasno, że wkrótce umrze, wpuszczono mnie do niej. Była taka blada

i wychudzona. Powiedziałem... powiedziałem jej, jak bardzo jest mi przykro. Nie chciałem przecież sprawić jej bólu ani też jej zranić. Oparła, że to przecież nie moja wina, ale ja wiedziałem co innego. Wtrąciłem się do rozmowy, a ona zachorowała. Błagałem ją, by wyzdrowiała, a ona obiecała mi, że spróbuje, ale oboje wiedzieliśmy, że to na nic. Umarła następnego dnia, a wkrótce potem wysłano mnie do szkoły.

- Biedny chłopiec. - W oczach Sophii zalśniły łzy. Wyciągnęła rękę i dotknęła policzka mężczyzny. - To musiało być straszne.

Ujął jej dłoń.

- Tak. I długo nie mogłem się z tego otrząsnąć. Ale w końcu udało mi się. Teraz potrafię z tym żyć, zaś to, że pani opowiedziałem tę całą historię, sprawiło, iż jest mi trochę lżej.

- Nie miał pan komu się zwierzyć?

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Bardzo mi przykro. - Oparła mu czoło o ramię, a po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

Mark lekko przygarnął dziewczynę i trwał w milczeniu, zanurzając podbródek w jej włosy.

W końcu Sophia pociągnęła nosem, wytarła oczy i popatrzyła na niego.

- Nie wiem, co się ze mną stało. Nigdy się tak nie rozklejam, zwłaszcza jeśli chodzi o coś, co wydarzyło się komuś innemu, dawno temu.

- Wyraziła mi pani swoje współczucie, tak jak ja chciałbym wyrazić swoje dla pani straty.

Orzechowe oczy ponownie wypełniły się łzami.

- Tak. Co ja teraz zrobię? Jak mam sobie z tym poradzić? - Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła łkaniem.



- Biedactwo, moje biedactwo. - Obejmował ją i gładził po włosach, powtarzając te słowa, aż płacz zaczął cichnąć. Wtedy wydobyl z kieszeni chusteczkę do nosa i wytarł mokre oczy dziewczyny. - To było ci potrzebne, kochanie. Nie można zamykać się w sobie w nieszczęściu, lepiej dać folgę łzom teraz, niż gdyby rozpacz miała owładnąć tobą nagle, kiedy się najmniej tego spodziewasz.

- Przepraszam. - Wyjęła mu chusteczkę z ręki i wytarła sobie całą twarz. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio w ten sposób straciłam panowanie nad sobą.

- Sophio. - Mark położył jej dłonie na ramionach. - Byłoby o wiele gorzej, gdybyś nie straciła opanowania, gdyż znaczyłoby to, że jesteś bezdusznym stworzeniem, a przecież tak nie jest. Nie potrafiłabyś malować. Nie byłabyś tak uwielbiana przez wszystkich.

- Ja, uwielbiana?

- Oczywiście. Wszyscy cię kochamy.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Uwierz mi, to prawda. Obserwowałem twarz mężczyzn, kiedy koło nich przechodzisz. Rozświecła się. I to nie tylko ze względu na twoją urodę. Oni wiedzą, że ich los leży ci na sercu i interesujesz się tym, co dla nich ważne. Razem z nimi znosisz trudności i radujesz się zwycięstwem, pocieszasz ich i dbasz o nich, gdy tego potrzebują.

- Och.

- Wierz mi, wiem, o czym mówię. Jesteś ważna dla wszystkich tutaj i wszyscy cię kochamy.

- Dziękuję. • - Spojrzała na niego i zaparło jej dech w piersiach. W oczach mężczyzny pojawił się wyraz, którego nigdy dotąd nie widziała. Jego cień mignął jej,

kiedy pocieszał ją po śmierci Billy Barnes'a, ale teraz pojawił się z taką siłą, że zabrakło jej tchu.

Stali, patrząc na siebie, zapomniawszy o upływie czasu i wszystkim dookoła, dopóki nie wytrącił ich z tego stanu nagły wrzask mewy, a potem kropla deszczu, która spadła prosto na czoło dziewczyny. Mark pocałował to miejsce, a potem nałożył jej czepek i z nieoczekiwaną wprawą zawiązał wstążki pod brodą.

- Chodźmy. Muszę cię odprowadzić do domu, zanim przemokniesz do nitki. - Objął ją ramieniem i pospieszyli w stronę drzew, a pod ich osłoną do kwatery Sophii.

Na szczęście zanim dotarli na miejsce, spadło tylko kilka kropli deszczu. Sophia sięgnęła do zasuwki, otworzyła drzwi i przeszła przez próg. Potem po chwili namysłu odwróciła się. Marszcząc lekko brwi, usiłowała znaleźć właściwe słowa, by powiedzieć mu, ile dla niej znaczy jego współczucie i troska, że zdołał w pewnym stopniu zaleczyć to straszne uczucie pustki, które nią owładnęło. Jednak nic odpowiedniego nie przyszło jej do głowy.

- Ja, ach... dziękuję panu. Ma pan rację, rzeczywiście czuję się lepiej.

Pochyliła głowę, jakby to wyznanie zawstydziło ją, i szybko zamknęła drzwi, zanim Mark zdołał sformułować jakąkolwiek odpowiedź.

Przez kilka minut stał pod drzwiami bez ruchu, uśmiechając się do siebie. Potem, wciąż z uśmiechem na twarzy i nie zwracając najmniejszej uwagi na coraz gęściej padający deszcz, pospieszył do kwatery głównej.

Mroczne zimowe dni mijały powoli, podczas gdy obie armie zaczęły przygotowywać się do wiosennej ofensywy. Mark, udając, że musi dostarczyć Cezarowi ruchu, codziennie wyjeżdżał z miasta w najrozmaitszych kierunkach, poznając okolicę i jakość dróg. Często mijał także miejską rezydencję rodziny de Brissac dokładnie o tej samej porze dnia, w której zobaczył condesę udającą się w stronę Bayonne.

Zły był na siebie za swoją podejrzliwość, ale nie mógł wyrzucić z pamięci pogardliwego spojrzenia Sophii, kiedy mówiła o szczególnym zainteresowaniu condesy posunięciami oddziałów brytyjskich. Nie wiedział, czy to Sophią powoduje zazdrość, czy też nim samym zaślepienie. Kim była condesa? Mark wcale nie był pewien, jaką odpowiedź wolałby usłyszeć, ale wiedział jedno: musi jak najprędzej znaleźć rozwiązanie tej zagadki.

Gdy Mark po raz pierwszy mijał drzwi Diany, wokół panował spokój, więc już zaczął gratulować sobie w duchu, że to on ma rację. Jednakże gdy wracał do miasta, ujrzał jednego ze służących condesy, wyjeżdżającego ze stajni. Widok ten, połączony z faktem, iż sługa nerwowo rozglądał się dookoła, i kierunek, w jakim się udał, sprawiły, że Mark zatrzymał się, za-

wrócił konia i podążył za sługą, zachowując bezpieczną odległość. Kiedy znaleźli się na peryferiach, Mark, sam pozostając niewidziany, z łatwością ustalił, iż człowiek ten zmierza w stronę Bayonne.

Dowiedziawszy się aż tyle, uznał, że istnieje regularność, którą warto byłoby dokładniej zbadać, nakazał więc swemu ordynansowi, by przyglądał się temu, co dzieje się w rezydencji rodu de Brissac, i postanowił też częściej odwiedzać uroczą condesę.

Kilka dni później, używając portretu damy jako pretekstu do wizyty, Mark zastukał do rzeźbionych drzwi domu de Brissaców. Otworzyła mu pokojówka.

- Ach, panie majorze, *madame* miała nadzieję, że pan... ach, *pardon*. Zaraz powiem *madame*, że jest pan tutaj. - Dziewczyna przywitała go przyjaźnie i poprowadziła do salonu, w którym już czekała na niego condesa, jak zawsze elegancka w porannej muślinowej sukni z koronkowym kołnierzem wycinanym w ząbki.

- Milordzie Adair, jakże jestem szczęśliwa, widząc pana. Pogoda jest ostatnio doprawdy *affreux*, więc cały czas siedzę w domu i strasznie się nudzę. A wy, Anglicy, jakoś wcale nie spieszycie, by rozjaśnić samotne chwile biednej wdowy. - Ujmując dłoń Marka, Diana poprowadziła go do stojącej przy kominku sofy i, upozowawszy się na niej wdzięcznie, zachęcająco poklepała poduszki obok siebie.

- Siadaj pan, majorze, tu obok mnie i powiedz, że to zajęcia związane z atakiem na Bayonne, a nie moje mierne talenty konwersacyjne sprawiły, iż nie odwiedzałeś mnie aż tak długo. - Pochyliła się lekko z uśmiechem, ukazującym rozkoszny dołeczek w jednym z kącików ust.

Mark jednak nie poddał się jej urokowi, gdyż patrząc w oczy damie, doznał niemiłego uczucia, dostrzegłszy w nich ten podstępny wyraz, który Sophia uwieczniła na portrecie. Rzuciwszy okiem na obraz, ustawiony na sztalugach przy oknie, przekonał się, że jego wrażenie jest uzasadnione. Jak mógł być taki ślepy? Szybko przypomniał sobie wszystkie poprzednie spotkania z condesą i zdał sobie sprawę, że podczas każdego z nich zadawała mu pytania bezpośrednio dotyczące armii brytyjskiej.

- ... a kiedy deszcz przestanie padać dłużej niż trzy dni, będę musiała, jak sądzę, zebrać wszystkie me siły, by was pożegnać... - Słowa condesy przerwały nieprzyjemne rozważania Marka. To, że Francuzka, choćby nie wiem jaka piękna, oszukała *ich* wszystkich, było samo w sobie złe, ale żeby on, oficer zwiadowczy, znany ze swych umiejętności i osiągnięć, dał się zwieść na prymitywniejszą sztuczką: kobiecym pochlebstwem, było po prostu poniżające. Co gorsza, jako pierwsza na całą sprawę zwróciła uwagę inna młoda kobieta, będąca całkowitym przeciwieństwem condesy.

- Ach, moja droga condeso. - Mark pochylił się do przodu, niepostrzeżenie zsuwając z oparcia rękę, tak że po chwili znalazła się na ramieniu damy - mój czas nie należy do mnie, w przeciwnym wypadku spędzałbym całe dni u twych stóp, zamiast przekładać te wstrętne papierzyska, które stale podsuwa mi książkę.

- Biedny major Adair. - Diana przesunęła się tak, by zapach jej perfum ogarnął go uwodzicielską chmurą. - Te okropne mapy, które musi pan studiować, te plany bitew, które należy przygotować... - Wysunęła lekko dolną wargę, tworząc uroczy dziobek, co spr-

wiłoby, iż każdy mniej podejrzliwie nastawiony niż Mark mężczyzna natychmiast zacząłby ją całować.

- To nic równie interesującego, zapewniam cię. Od pewnego czasu armia przemieszcza się bez przerwy i nie ma jak dotąd sprawozdania z jej ruchów, które powinni otrzymać przywódcy naszego Parlamentu. Zadanie to spadło na mnie i przysięgam, że teraz mogę powiedzieć wszystko o tym, co robiliśmy przez ostatnie pół roku. Oni tam uwielbiają dokładność: chcą wiedzieć, ilu było zabitych, ilu rannych, kto został wzięty do niewoli, komu należy się nagroda.

- Rzeczywiście to musi być okropnie nudne. - Condesa zrobiła lekko nadąsaną minkę.

- Tym bardziej brak było mi twego towarzystwa. - Mark przyciągnął Dianę do siebie.

Condesa z westchnieniem objęła go za szyję i podała się jego sztuce miłosnej.

Po kilku godzinach major opuścił jej dom, zaspokojony fizycznie, ale poza tym nie usatysfakcjonowany. Nie udzielił kochance żadnej konkretnej informacji, ale sam także nie dowiedział się nic nowego, a przecież zadaniem oficera zwiadowczego jest przede wszystkim ustalanie faktów. Z drugiej zaś strony, uczulony tak przez podejrzenia Sophii, jak swoje własne, znajdując się w ramionach condesy, zachował na tyle przytomności umysłu, by stwierdzić, iż piękna dama udawała tylko namiętność, zupełnie tak samo jak on.

Owszem, w jej towarzystwie czuł się bardzo dobrze. Condesa była cudowną kobietą o doskonałej budowie ciała, co znakomicie potrafiła wykorzystać. Posiadała w tej dziedzinie wiele umiejętności... jakich nie

mogłaby nabyć młoda i wierna żona starszawego hiszpańskiego granda, który często wyjeżdżał z domu. Jedno z jej twierdzeń było więc niewątpliwie nieprawdą: nie spędziła wielu lat w cnotliwym wdowieństwie.

A zatem co jeszcze z tego, co mówiła, było kłamstwem? Miał się tego dowiedzieć w ciągu najbliższej godziny, gdyż Finbury, jego ordynans, powinien już oczekiwać go w kwaterze, by złożyć mu szczegółowe sprawozdanie na temat tego, kto i dokąd wychodzi z rezydencji de Brissac.

Kiedy znalazł się już na miejscu, szybko dowiedział się, jak bardzo nieszczerą była jego piękna kochanka.

- Tak jak pan mówił, sir - zaczął Finbury, krzywiąc się z niesmakiem. - Codziennie w południe albo służący, albo sama pani jedzie w stronę Bayonne, a potem wraca, dokładnie jak w zegarku, dwie godziny później. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek, a zwłaszcza owa dama, zdążył dojechać do samego Bayonne w tak krótkim czasie, więc myślę, że spotykają się gdzieś w pobliżu naszych przyczółków pod Barroilhet. Nie mogłem ich śledzić na piechotę, ale konno nie będzie to takie trudne. Z Saint-Jean do Bayonne można w tej chwili dojechać tylko jedną drogą, na innych ugrzęzłoby się po kostki w błocie, podobnie jak na polu. Jeśli chciałoby się przemknąć niezauważenie, można trochę jechać na skrót, ale i tak większość trasy trzeba pokonać drogą. Więc moim zdaniem oni spotykają kogoś, kto przyjeżdża z Bayonne.

- Doskonała robota, Finbury. Bardzo dobrze. Dalej ja się tym zajmę.

- Tak jest, sir. - Ordynans pomyślał sobie, że con-

desa de Gonsalvo y Coruna i wszyscy jej domownicy od samego początku budzili nieufność... bądź co bądź ona należy przecież do zabojadów, choćby nawet była wielką damą i żoną hiszpańskiego granda... choć z drugiej strony sam Finbury pierwszy przyznałby, że wielcy tego świata nie zawsze postępują w sposób zrozumiały. Jego major, choć również szlachetnie urodzony, nie sprawiał zazwyczaj kłopotów, aczkolwiek czasami jego postępowanie bardzo dziwiło ordynansa. Weźmy na przykład tę francuską damę. Wyglądało na to, że zawróciła w głowie wszystkim oficerom na czele z jego panem, chociaż każdy, kto miał oczy w głowie, widział dobrze, że jej na nich wcale nie zależy i tylko ich wykorzystuje.

Kręcąc głową, ordynans poszedł szcztokować mundur majora, zostawiając w rękach swego pana los condesy de Gonsalvo y Coruna.



Następnego dnia Mark postanowił, że musi ostatecznie upewnić się co do condesy. Poprzedniego wieczoru chmury szybowały wysoko po niebie obiecując, iż nazajutrz będzie pogoda na tyle ładna, by dama zechciała osobiście wybrać się w drogę.

Ustaliwszy, w którym kierunku zawsze się udawała, Mark wyruszył z miasta na godzinę wcześniej, niż jeźdźcy zwykli dotychczas opuszczać rezydencję de Brissac. Przejechał promenadą do przylądka, obok którego poprzednio zobaczył condesę, po czym zsiadł z konia i znalazł sobie za skałami takie miejsce, z którego, niewidziany ani z plaży, ani z drogi, mógł obserwować wszystkich, którzy oddalali się z miasta.

Po półgodzinie cierpliwość Marka została wynagrodzona, gdyż ujrzał samotnego jeźdźca, zbliżającego się od strony miasta. Jeździec, a raczej amazonka, zatrzymała się, popatrzyła na ocean, jakby podziwiając widoki, po czym przekonawszy się, że na drodze nikogo poza nią nie ma, pokłusowała w stronę Bayonne.

Mark odczekał, aż zniknie mu z oczu, wskoczył na grzbiet Cezara i pogalopował w ślad oddalającej się postaci. Miał silniejszego konia, sam zaś był lepszym jeźdźcem, więc po chwili znalazł się na drodze i wkrótce ponownie zobaczył śledzoną przez siebie osobę.

Plaska równina nadmorska rozciągająca się od Guethray po Bidart nie dawała wiele możliwości ukrywania się, ale na szczęście condesa, bo teraz Mark był już pewien, że to właśnie ona, raz upewniwszy się, że nie jest śledzona, nie oglądała się więcej za siebie, lecz szparko kłusowała w kierunku Bayonne.

Gotów w każdej chwili zjechać z drogi i ukryć się za jednym z żywopłotów lub kępą drzew, od czasu do czasu pojawiających się w pobliżu, Mark podążał za nią, zachowując odległość na tyle dużą, by śledzona nie usłyszała kopyt jego wierzchowca, a na tyle małą, by nie stracić jej z oczu.

Jechali tak przez prawie godzinę, aż wreszcie condesa zwolniła do stępa. Mark, domyślając się, że jest już blisko swego celu, szybko skierował Cezara pod osłonę rosnącego opodal zagajnika.

Skrył się w samą porę, gdyż condesa zatrzymała się, rozejrzała dookoła, by sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi, a potem skręciła w prawo i ostrożnie ruszyła przez pola w kierunku północno-zachodnim.

Mark odczekał kilka minut i gdy upewnił się, że śledzona przez cały czas w skupieniu patrzy na ziemię, sam też skręcił w prawo i ruszył równoległe do niej. Na szczęście mógł kryć się w ciągnącym się opodal niedużym wąwozie, wyglądając z niego co jakiś czas, by upewnić się, czy condesa podąża w tym samym co poprzednio kierunku.

W końcu przed jego oczyma pojawił się domek otoczony żywopłotem. Przekonany, że on to właśnie jest celem wyprawy pięknej damy, Mark przyspieszył bieg konia aż do chwili, gdy znalazł się mniej więcej na wysokości niedużego budynku.

Ostrożnie wyłonił się z wąwozu, pokłusował do kępy drzew, rosnących opodal domku, i dotarł tam akurat wtedy, gdy condesa powoli zbliżała się do konia, stojącego na niedużym dziedzińcyku. Po chwili w drzwiach pojawił się mężczyzna, podbiegł do condesy i, chwyciwszy ją w ramiona, pomógł zsunąć się na ziemię, po czym ujął ją pod ramię i poprowadził do środka.

Mark był za daleko, by dostrzec jakiegokolwiek szczegóły, zsiadł więc również z konia, przywiązał go do drzewa i rozejrzawszy się szybko wokół siebie, pobiegł, kuląc się, by nikt nie mógł go dostrzec.

Gdy znalazł się przy żywopłocie, przycisnął się i próbował usłyszeć, co dzieje się wewnątrz domku, ale odległość ciągle była za duża, a wiatr szumiący w suchych gałęziach drzew zagłuszał wszelkie dźwięki.

Nie mając pewności, ile czasu może potrwać to spotkanie, lecz wiedząc od Finsbury'ego, że prawdopodobnie niezbyt długo, Mark nie odważył się podejść bliżej, lecz tkwił skulony niewygodnie w swym ukryciu, aż wreszcie skrzyknięcie drzwi i stukot końskich kopyt powiedziały mu, że śledzona przez niego para wyszła z domku.

Mark ostrożnie wyrzął zza żywopłotu. Choć większą część widoku zasłaniały mu konie i krzaki, dostrzegł spódnicę condesy i męskie nogi, odziane w spodnie zielonego munduru francuskiego oficera dragonów. Teraz też docierały do niego strzępki ich rozmowy.

- *Au revoir, ma belle. Restes tranqui. Les Anglais są głupi.* Myślą, że skoro jest zima, a oni jeszcze w grudniu odparli nieoczekiwany atak Souлта, mogą teraz spać spokojnie. Nie zamartwiaj się tak tym, że jeszcze nie poznałaś dokładnie ich planów. Może nie planują

nic albo tylko oblężenie Bayonne. Ten ich Wellington nie jest tak znamienitym strategiem jak nasz cesarz ani nawet marszałek Soult. Potrafi tylko reagować, więc to na nas, Francuzach, spoczywa obowiązek planowania.

- Ale to już tyle trwa. Chciałabym z tobą być, Etienne. *Ces Anglais* może są dobrze wychowani, ale nie znają się na miłości. Ile jeszcze mam czekać, Etienne?

- Cierpliwości, *cherie*. Już niedługo. Musisz jednak regularnie przywozić mi sprawozdania, żebym mógł cieszyć oczy widokiem twojej uroczej twarzyczki.

Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której rąbek sukni Diany owinał się dookoła butów oficera, a Mark, skulony za krzakiem, wstrzymał oddech, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. *Idioto*, pomyślał cynicznie. *Ktokolwiek znajdzie się w ramionach condesy de Gonsalvo y Coruna, nie ma prawa słyszeć dźwięków tak przyziemnych, jak trzaśnięcie łamanej gałązki lub szelest suchych liści.*

Wreszcie para rozdzieliła się. Diana została podsadzona na siodło. Pochyliła się do ostatniego pocałunku, a potem oddaliła się kłusa w stronę drogi do Saint-Jean-de-Luz.

Oficer francuski, w stopniu zaledwie porucznika, co Mark zauważył z pewną satysfakcją, rozejrzał się raz jeszcze dookoła, po czym dosiadł swego konia i ruszył przez pola do Bayonne.

Kiedy Mark już miał pewność, że nikt go nie zauważy, wrócił do kępy drzew, odwiązał Cezara, wskoczył mu na grzbiet i udał się do domu, po drodze zastanawiając się, co powinien teraz uczynić.

Z podsłuchanej rozmowy jasno wynikało, że condesa nie zdołała zdobyć żadnych konkretnych informa-

cji na temat kolejnych posunięć armii brytyjskiej, więc jak na razie szkoda była niewielka. Mark wiedział, że tylko kilku doradców Wellingtona oraz sir John Hope byli świadomi, iż Brytyjczycy przekroczą rzekę Adour poniżej Bayonne, nie zaś powyżej, i że oddziały Hope'a tylko w części zajmą się zdobywaniem miasta, podczas gdy reszta przejdzie dalej, omijając je.

Mark przez chwilę sądził, że najlepiej byłoby uspić czujność condesy, udzielając jej fałszywych informacji na temat planów oblężenia Bayonne, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Jeśli chciała z niego zrobić głupca, wolał wiedzieć to na pewno i poznać przyczyny. Czy condesa sprzedawała informacje temu, kto da więcej, czy też kierowała się lojalnością wobec swego kraju i swoich rodaków? Czy uważała, że francuski oficer jest bardziej atrakcyjny niż on, Mark? Czy był lepszym kochankiem?

Nie mogąc stłumić tych myśli, Mark pogonił Cezara do galopu, pragnąc dogonić condesę i zadać jej te wszystkie pytania, zanim znajdzie się w Saint-Jean. Chciał rozmówić się z nią sam na sam, twarzą w twarz, tak by żaden postronny słuchacz nie mógł udzielić jej wsparcia.

Mark pędził coraz szybciej, wpadając w coraz większy gniew na tę kobietę za jej dwulicowość, na siebie, że dziecinnie łatwo dał się oszukać, a nawet na Sopię za to, że przejrzała condesę i przewidziała bieg wydarzeń z tak wielką dokładnością.

Ujrzawszy przed sobą samotną amazonkę, Mark zmusił Cezara do jeszcze szybszego biegu. Z początku ścigana, słysząc tętent kopyt, przyspieszyła również, ale zaraz zdała sobie sprawę, że nie ma szans, by wygrać ten wyścig, zwolniła, a gdy znalazła się na odległość głosu, stanęła.

Odwróciła się, by zobaczyć, kto też ją gonił.

- Ależ majorze, cóż za uroczą niespodzianka! Gdybym wiedziała, że to pan za mną tak pędzi, zwolniłabym o wiele wcześniej, ale pogoda jest niepewna, więc wolałabym co rychlej znaleźć się w domu.

Mark uniósł sceptycznie brew, patrząc na sunące po niebie chmury.

- Chyba nieobecność pani w ojczyźnie nie była aż tak długa, by zdołała pani zapomnieć, że szybko przesuwające się wysoko na niebie chmury nigdy nie przynoszą deszczu?

- Majorze, jestem tylko kobietą. Jakież ja mogę mieć pojęcie o chmurach i deszczu? To wy, wojskowi, wiecie na ten temat wszystko.

- *My* wojskowi. Tacy jak ten francuski porucznik, z którym dopiero co się pani spotkała?

Condesa popatrzyła niespokojnie najpierw w stronę Bayonne, a potem na Marka. Nerwowo oblizała wargi.

- Ależ majorze, cóż to za szalony pomysł. Co miałyby wspólnego córka rodu de Brissac z prostym sankiulotem? - Dumnie podrzuciwszy głową, znów spojrzała w kierunku Bayonne.

- Sam się nad tym zastanawiam. Czy Etienne wie, że uważa go pani za sankiulota? Wątpię.

Condesa pobladła.

- Ależ panie, co pan...

- Dość tego, moja pani. Wiem, że regularnie dostarczasz Francuzom wiadomości albo osobiście, albo przez służącego. Wiem, że nade wszystko pragniesz połączyć się ze swym francuskim kochankiem imieniem Etienne, który jest porucznikiem dragonów i choć może nie jest takim dżentelmenem jak Angli-

cy, przewyższa ich wszystkich jako kochanek. - Mark uśmiechnął się gorzko, obserwując, jak wyraz zaskoczenia pojawia się na twarzy condesy. - Tak, wszystko słyszałem. Nie próbuj przeczyć.

- A cóż ty możesz wiedzieć - syknęła condesa. - Spędziłam lata całe w biedzie, zmuszono mnie do poślubienia człowieka dwa razy starszego ode mnie, i po co to wszystko? Dla *la gloire* i dla dumy rodu de Brissac? Duma, phi, to raczej głupota. Głupota przeciwna życiu. Sądzisz, że jestem zdrajczynią? Nieprawda. Jestem Francuzką i robię to, co potrafię, by bronić mego kraju. Myśl sobie, co chcesz, ale moje sumienie jest czyste. Dzięki temu stałam się godną córą dawnych de Brissac, gdyż staram się pomóc rodakom w walce z najeźdźcą.

- Tych de Brissac, o których rodowej dumie wyrażałaś się pani przed chwilą z taką pogardą? - Mark pokręcił głową i skierował Cezara w stronę Saint-Jean.

- Co? Chcesz mnie tak tu zostawić? Boisz się oskarżyć kobietę? Ależ z was, Brytyjczycy, tchórze!

- Pani płęć, *madame*, nie ma z tym nic wspólnego. Ważne są rezultaty, a raczej ich brak. Te bezcenne informacje, które pani im przekazuje, nie są więcej warte niż to, co mógłby powiedzieć pierwszy lepszy wieśniak, mający swoje gospodarstwo w okolicy, lub rybak, który sprzedaje swój połów po okolicznych wsiach. Dlaczego miałbym cokolwiek robić? Szkoda mi na to czasu. - Mark trącił piętami boki Cezara i odjechał, zanim rozwścieczona do ostateczności condesa zdołała wymyślić jakąś ciętą odpowiedź.

Choć Mark powiedział condesie, że jej wysiłki są nieskuteczne, czuł, iż on sam w poważnym stopniu zawinił: był winien ślepoty i znacznego zaniedbania. By poprawić swe samopoczucie, rzucił się w wir pracy, ponadto przekonywał Wellingtona i Hope'a, ażeby postarali się uspić czujność Francuzów, sugerując, iż Brytyjczycy przygotowują się do długotrwałego oblężenia Bayonne. Zaprzątnięty pracą i własnymi niewesołymi myślami, przychodził do sztabu wczesnym rankiem i wychodził późnym wieczorem, czyniąc przerwy tylko na posiłki i sen, i aby sprawdzić, czy Cezar ma odpowiednią opiekę.

Dzięki takiemu trybowi życia nie miał szans spotkać przypadkiem kobiety, która od samego początku żywiła podejrzenia wobec condesy de Gonsalvo y Corona. Wciąż wymyślając sobie od dudków i głupców, nie miał najmniejszej sposobności widzieć się z Sophią.

Ta zaś zaabsorbowana była swoimi problemami tak bardzo, że nie starczało jej czasu na rozmyślenia o majorze łub też condesie. Pogoda powoli zaczynała się poprawiać i wiadomo było, że niebawem armia wyruszy w głąb Francji. Sophia miała już w tej kwestii pewne plany, lecz pewnego popołudnia generał zaprosił ją do swego gabinetu.



- Usiądź, moja droga. - Ojczym uśmiechnął się mi-  
le, wskazując jej fotel przy kominku. - Lękam się, że  
mogłaś mnie uznać za człowieka nieczułego wobec twej  
żałoby po matce i za to bardzo cię przepraszam. Jedy-  
nym moim usprawiedliwieniem jest to, że ja też musia-  
łem pogodzić się z bardzo wielką dla mnie stratą.

- Proszę się przede mną nie tłumaczyć, sir. - Nie  
tylko Sophia zauważyła, że generał znacznie się po-  
starzał w ostatnim czasie. Śmierć żony wycisnęła na  
nim swoje wyraźne piętno.

- Może wydaje ci się, iż zaniedbywałem cię, ale  
w gruncie rzeczy bardzo leży mi na sercu twoje do-  
bro. Mam tutaj list, napisany do mnie w odpowiedzi,  
który przyszedł dziś rano statkiem pocztowym. Na-  
pisała go lady Lydia Featherstonaugh, która zaprasza  
cię do siebie, na Brook Street.

- Lady Lydia? Na Brook Street? - Sophia była tak  
zaskoczona, że mogła tylko powtórzyć słowa generała.

- Tak jest. Wiem, że nigdy nie kontaktowałyście się  
ani z krewnymi twojej matki, ani twojego ojca, ale  
choć uważam cię w dużym stopniu za moją własną  
córkę, której nigdy nie dane mi było mieć, twoją praw-  
dziwą rodziną są Edgehillowie i Featherstonaughowie.  
Ponieważ wydało mi się bardziej prawdopodobne, że  
raczej krewni twego ojca będą mogli zapewnić ci go-  
dziwe utrzymanie, napisałem do księcia Broughton.  
Aczkolwiek ksiązę nie aprobował postępków swego  
zmarłego brata, nie chciałby jednak, by mówiono, że  
pozostawił swą osieroconą bratanicę na łasce losu. La-  
dy Lydia była tak dobra odpisać, że ponieważ ksiązę  
wiedział, iż potrzebuje ona damy do towarzystwa, za-  
proponował jej, żeby zaprosiła cię do siebie na stałe.

- Jako damę do towarzystwa? - Sophia dosyć się napatrzyła na losy wielu takich osób w Lizbonie, by przyjąć tę propozycję bez większego zapału.

- Z tego, co pisze lady Lydia, rozumiem, że wcale nie pragnie ona, byś stała się jedną z tych milczących nieszczęśnic, które muszą biec na każde skinienie swych bogatszych krewnych. Ale lepiej przeczytaj sama. Dołączyła do ciebie liścik.

**Bez słowa Sophia wyciągnęła rękę.**

*Moja droga bratanico, jeśli wolno mi się tak do ciebie zwracać po tyloletnim braku zainteresowania twoim losem. Generał sir Thornton Curtis powiadomił nas o twojej ciężkiej stracie i chociaż nie znam sposobu, by cokolwiek w tej kwestii naprawić, piszę do ciebie, by zaprosić cię do nas. Rozumiem, że perspektywa zamieszkania z kimś, kto tak samo jak reszta rodziny pozwolił, by jej brat żył i zmarł, nie zaznając najmniejszego od niej zainteresowania, nie przedstawia się najbardziej zachęcająco, ale mam nadzieję, że uwierzysz mi, gdy powiem, że z przyjemnością naprawię wszelkie krzywdy, jakie moja rodzina wyrządziła twoim rodzicom. Nie znam twoich upodobań, ale moje życie w Londynie, choć może nie tak pełne rozrywek, jest jednak całkiem przyjemne. Ja sama zajmuję się moimi studiami i wykładami. Mam nadzieję, że też będziesz nimi zainteresowana. Chociaż nie utrzymywałam kontaktów z twoim ojcem, zawsze byłam ciekawa wieści o nim i jego żonie, która, jak wszyscy twierdzą zgodnie, była kobietą rozumną i brat mój miał wiele szczęścia, poślubiając ją. Ufam tedy, że wychowana przez taką osobę posiadasz również wiele rozsądku; gdybym sądziła inaczej, nie za-*

*praszałbym cię. Czekam na twoją przychylną odpowiedź. Z poważaniem. Lydia Featherstonagh.*

- No i co?

- Jej zaproszenie wydaje się szczere i wygląda na to, że ciotka dokładnie przemyślała sobie wszystko. O ile pamiętam, była ulubioną siostrą papy, ale to było wiele lat temu, a poza tym ojciec bardzo mało mówił nam o swojej rodzinie, więc mogłam coś źle zapamiętać. Mam wrażenie, że jest od niego znacznie młodsza. - Sophia umilkła i przez jakiś czas patrzyła w ogień, bezmyślnie składając i rozkładając list, aż wreszcie zawołała: - Czemu nie mogę zostać z tobą, sir? Ty jesteś teraz moją rodziną. Kto się o ciebie zatroszczy, kiedy mama nie żyje? Nie jestem nią, ale spędziłam tyle lat, pomagając jej, że jestem pewna, iż dam sobie ze wszystkim radę.

Sir Thornton uśmiechnął się do Sophii.

- Wiem, że tak jest, ale nie w tym rzecz. Chodzi o twoją przyszłość. Jestem starym, doświadczonym żołnierzem i czułbym się jak ostatni egoista, gdybym przedłożył własną wygodę nad twoje dobro. Nie - gestem dłoni powstrzymał jej protesty - wysłuchaj mnie do końca. Będzie mi cię bardzo brak. Twoja obecność była mi wielką pociechą w żałobie. - Generał umilkł na chwilę, zamrugał oczami i mówił dalej: - Ja nie zapewnię ci takiego bytu, jak rodzina Featherstonaghów. Twój ojciec był młodym hulaką, który być może nie zasługiwał na szczyt przynależenia do swej rodziny, ale nie znaczy to, że nie należy on się tobie.

- Ale mnie wcale nie odpowiada towarzystwo takich kobiet... modnych, frywolnych i pustych.

- Wiem, moja droga. Ale wierzaj mi, ty nigdy się ta-

ka nie stanesz bez względu na to, jakie będzie twoje otoczenie. Jednakże z tego co wiem o lady Lydii, nikt nie będzie od ciebie oczekiwał, byś została jedną z nich. Wydaje mi się, że raczej grozi ci, iż przemienisz się w sawantkę, gdyż twoja ciotka Lydia jest damą o stanowczych przekonaniach i wyostrzonym intelekcie. A zatem, jak widzisz, może nie będzie tak źle. - Generał nabrał nieco otuchy, widząc blady uśmiech na twarzy pasierbicy. - Poza tym alianci przekroczyli Ren i jeśli pogoda się utrzyma, my także wkrótce ruszymy naprzód. Austriacy zajęli już Szwajcarię, zaś Rosjanie i Prusacy zbliżają się do Nancy, więc nie sądzę, by Francuzi bronili się jeszcze długo. Przypuszczam, że wrócę do Anglii przed upływem roku.

- Naprawdę?

- Tak. I bądź pewna, że gdy tylko znajdę się w domu, w pierwszej kolejności odwiedzę ciebie. Wiem, że niezbyt ci się to wszystko podoba, Sophio, ale wierz mi, to najlepsze wyjście. Tutaj przez najbliższe kilka miesięcy będę miał bardzo dużo obowiązków. Zapewnienie zaopatrzenia dla naszej armii, tak by żołnierze nie grabili miejscowej ludności, stanie się teraz bardzo istotną kwestią.

Sophia wyczuła, że na swój sposób generał stara się powiedzieć jej, iż wolałby nie dźwigać na swych barkach odpowiedzialności za młodą pannę, którą poza nim opiekowałyby się tylko portugalski wieśniak, więc powoli pokiwała głową.

- Rozumiem.

- Dobra z ciebie dziewczyna. - Generał położył swą mocną dłoń na jej ramieniu. - Wiem, że wolałabyś zaciągnąć się do kawalerii niż wracać do Londy-

nu, ale czasami, chcąc pomóc w walce, musimy robić rzeczy, na które wcale nie mamy ochoty.

Wyraz zrozumienia, jaki pojawił się na twarzy generała, sprawił, że w oczach Sophii stanęły łzy. Dziewczyna przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

- Wiem, sir. - Czując, że rozmowa dobiegała końca, podniosła się z miejsca i ruszyła do drzwi, lecz zatrzymała się w pół drogi. - Dziękuję za to, że mnie rozumiesz.

- Nie ma za co. Jesteś dobrym żołnierzem. Wiesz, że obowiązek polega na tym, by robić to, co jest korzystne dla większości. Twoja matka byłaby z ciebie dumna. - *Ojciec zaś nie miałby pojęcia, o co chodzi,* dodał pod nosem generał. - Pod koniec tygodnia wyrusza do Anglii statek, który ma wolne miejsce dla pasażera. Wiem, że zostawi ci to bardzo mało czasu, ale wypadki rozwijają się coraz szybciej i potem może nie trafić się następna okazja.

Starając się jak najlepiej ukryć konsternację, Sophia kiwnęła głową i umknęła do swej sypialni.

Sophia zaczęła pakować się następnego dnia. Usiłując nie myśleć o tym, że zostawia za sobą życie, do jakiego przywykła, po raz kolejny układała w podniszczonych kufrach nieliczne swe skarby, które towarzyszyły jej i matce z Anglii do Portugalii, z Portugalii do Hiszpanii i z Hiszpanii do Francji. Tym razem jednak miała podróżować samotnie.

Umieściwszy koszyk z szyciem, należący do jej matki, w kącie kufra, dalej zapełniała go swoimi ulubionymi książkami: poematami Pope'a, tomem Szekspira, zbiorem esejów Addisona, walcząc przy tym ze łzami, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi.

Była to Jeanne.

- Za pozwoleniem, *mademoiselle*, przyszedł do pani jakiś pan.

- Pan?

- Tak, *mademoiselle*. Major Adair.

- Major Adair? Ach, tak, dziękuję ci, Jeanne. - Rzuć okiem w lustro, którego na szczęście jeszcze nie zapakowała, Sophia przygładziła włosy i wytarła smugę kurzu na nosie. Była blada i wyglądała na zmęczoną w żałobnej sukni z czarnej krepy, która należała do jej matki, ale została dopasowana do jej figury. Jestem kompletnym przeciwieństwem condesy,

pomyślała ponuro, poprawiając rękawy, które podsunęły jej się do góry podczas pracy.

Zeszała powoli na dół, próbując zgadnąć, jaka może być przyczyna wizyty majora.

Gdy weszła do salonu, jej gość stał, opierając się o kominek, a gdy odwrócił się, by się przywitać, uderzyło ją widoczne w całej jego postaci utrudzenie. Twarz miał ściągniętą i zmęczoną, a ciemne oczy wydawały się bardziej zapadnięte niż dawniej.

- Wygląda pan na wyczerpanego, majorze. Chyba pracował pan zbyt ciężko. - Zakryła dłonią usta. - Przepraszam. To bardzo niegrzeczne z mojej strony czynić takie uwagi, zamiast podziękować panu za wizytę i poprosić, by się rozgościł.

Mark uśmiechnął się pod nosem, siadając we wskazanym mu fotelu.

- Zawsze tak samo szczerza. Owszem, miło jest wiedzieć, że choć jedna kobieta mówi dokładnie to, co myśli. - Ironia zawarta w głosie majora wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie mówił ogólnie.

- Och. Rozumiem, że powinnam czuć się zaszczycona.

- Miała pani rację co do condesy - rzucił Mark bez zastanowienia. - Jest fałszywa.

- Przykro mi.

- Dlaczego? Jest dokładnie taka, jak pani mówiła: to zimna, obłudna intrygantką.

- Boże mój, skąd takie wnioski?

- Śledziłem ją.

- Ach. - A jednak uwierzył! Znienacka radość załapała ją ciepłą falą. Sophia nie przypuszczała dotychczas, że opinia majora znaczy dla niej aż tyle, i jak

bardzo była nieszczęśliwa, sądząc, iż on się z nią nie zgadza. - Jak to się stało?

- Byłem świadkiem, jak przekazywała informacje swemu francuskiemu kochankowi.

- Kochanek! I to Francuz! Jeśli była nim zajęta, to wszystko staje się zrozumiałe, no i w końcu ona sama jest przecież Francuzką.

- Dlaczego teraz broni jej pani, chociaż przedtem nalegała pani, bym jej nie ufał?

- Nigdy nie mówiłam, że jest nieuczciwa. Byłam tylko zdania, że coś ukrywa. Ale ona sama ma prawo uważać, że postępowała zgodnie z nakazami honoru.

- Tak jak każdy oficer zwiadowczy...

Gorycz w głosie majora trafiła Sophię prosto w serce.

- Nie, nie może pan tak myśleć... - Wstała, podeszła do Marka i kojącym gestem położyła mu dłoń na ramieniu. - Pan nie jest taki.

- W czym jest więc różnica?

- Pan nie oszukuje...

- Robiłem to wielokrotnie. Sama pani wie. Sama pani widziała, jak próbowałem przekonać wszystkich, że jestem księdzem, wieśniakiem...

- Ale nie oszukiwałby pan w sprawach serca.

- Serca? To nie była sprawa serca.

Ulga, jakiej Sophia doznała na te słowa, była dla niej kolejnym zaskoczeniem. A więc Diana de Gonsalvo y Coruna nie liczyła się dla niego w taki sposób.

- No, ale pan nie wykorzystałby przedstawicielki płci pięknej dla swych celów. Jeśli oszukiwał pan ludzi, to tylko tych, którzy biorą udział w wojnie tak samo jak pan.



Zwrócone na majora orzechowe oczy lśniły przekonaniem. Ujął więc w swą dłoń szczupłe palce, zaciskające się na jego ramieniu. Jakże będzie mu brakowało tej dziewczyny.

- Dziękuję pani. W jakiś sposób udało ci się sprawić, że nie wygląda to tak źle. Będzie mi pani brak, Sophio. - Wstał i ujął drugą jej dłoń. - Właśnie z tego powodu tutaj jestem. Słyszałem, że wkrótce pani wyjeżdża. Ja mam rozkaz wyruszyć dzisiaj do oddziałów Hilla pod Urrcarray i może się tak zdarzyć, że nie zdążę wrócić na czas, więc już teraz przyszedłem się z panią pożegnać.

- To bardzo miłe z pana strony. Dziękuję - szepnęła. Mimo iż walczyła ze sobą, w jej oczach pojawiły się łzy.

- Biedactwo. - Mark przygarnął ją do siebie i mocno przytulił, desperacko szukając słów pociechy na drogę, która bez wątpienia nie będzie łatwa, a która skończy się w zupełnie obcym dla Sophii miejscu. - Gdybym mógł jakoś pomóc...

- Już pan to zrobił. - Dziewczyna uśmiechnęła się. - Wystarczy mi świadomość, że jest pan moim przyjacielem.

- Przyjaciel to ktoś, na kogo można zawsze liczyć. - Mark pochylił się i ucałował jej usta. Chciał, by pocałunek ten stanowił zapewnienie o jego przyjaźni, ale gdy wargi ich się spotkały, nastąpiło coś dziwnego. Poczul aksamitny dotyk jej skóry, lekki zapach lawendy, smukłość talii pod swoim dłońmi... i nagle okazało się, że całuje ją zapamiętane.

Na krótki czas pozwolił, by zapanowała nad nim namiętność. Przez chwilę poddał się fali rozkosznego

oczekiwania, ale wkrótce nadeszło opamiętanie. Jak może odczuwać coś takiego przy kobiecie, którą dopiero co zapewniał o swej przyjaźni i gotowości do niesienia jej pomocy? Jak mógł wyobrażać sobie równocześnie, że kocha się z nią, a zarazem śpieszy jej na ratunek? Jak mógł w tej samej chwili pragnąć zostać jej kochankiem, a jednocześnie chronić ją przed złem?

Delikatnie odsunął Sophie od siebie. Nabrał tchu i spróbował zapanować nad sobą. Wielkie orzechowe oczy wciąż patrzyły na niego ufnie. Dobrze. Może ona nie odczuła jego pożądania, nie zauważyła, iż całe jego ciało wrywa się do niej... Może nie zdaje sobie sprawy, jak niewiele brakowało... do czego? Do tego, by potraktował ją jak kobietę, a nie jak przyjaciółkę? Starając się pozbyć tych myśli, Mark spojrzał baczniej na Sophię.

- Wszystko będzie dobrze, uwierz mi. Teraz tak ci się nie wydaje, ale ja cię znam. Jesteś silna. Poradzisz sobie. A kiedy wrócę do Londynu... - Nagle, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, nie mógł mówić dalej. Coś ścisnęło go w krtani, jakby i on w końcu zachorował na panujące ostatnio w całym obozie zapalenie gardła.

Raz jeszcze chwycił dłoń Sophii, podniósł ją do ust, a potem wyszedł, zanim dziewczyna zdołała sformułować jakąś odpowiedź.

Sophia przez chwilę stała pośrodku pokoju, jakby to, co się właśnie zdarzyło, pozbawiło ją zdolności ruchu. Potem powoli opadła na najbliższy fotel i, zapetrzona w ogień na kominku, próbowała uporządkować swoje myśli i uczucia, ale jej się to nie udało. By-

ła tym wszystkim przytłoczona... najpierw śmierć matki, pakowanie, rychły wyjazd, nowe, nieznane życie... nie mogła tego ogarnąć. Stanowczo usunęła więc mieszaninę wrażeń i odczuć ze swych myśli, wróciła do sypialni i zaczęła się znowu pakować. Wolała chwilowo zapomnieć o wszystkich pożegnaniach, które staną się jej udziałem.

Dopiero pod koniec tygodnia, gdy znajdowała się już na pokładzie płynącego do Portsmouth brygu, mogła wrócić pamięcią do swego pożegnania z majorem i zastanowić się nad nim.

Jedno wydawało się jasne, a mianowicie to, iż bez względu na to, na czym opierał się związek majora lorda Marka Adair z condesa de Gonsalvo y Coruna, był on już całkowicie zakończony.

Nareszcie Sophia mogła przyznać się sama przed sobą, że związek ten ograniczał znacznie jej przyjaźń z majorem. Przed pojawieniem się Diany de Gonsalvo y Coruna Sophia czuła, że Mark jest jej prawie tak bliski jak matka. Gdy zaś w życie majora wkroczyła condesa, odsunął się od Sophii, zwłaszcza po nieporozumieniu z portretem. Kiedy później rozmawiali o utraconych matkach, Sophii wydawało się, że dawna bliskość powróciła. Gdy major wyznawał jej, iż czuje się winny śmierci matki, w jego oczach malowała się bezbronność, świadcząca o tym, że to ona, Sophia, jest pierwszą osobą, której to powiedział. Z drugiej jednak strony był on zdolny do innego rodzaju bliskości, takiego, jaki istniał między nim a Dianą de Gonsalvo y Coruna, a który nigdy się nie pojawił między nim a Sophią.

Spacerując nerwowo po pokładzie brygu lub wy-

chylając się przez reling, by patrzeć na otaczające ją szare fale, wciąż przypominała sobie wyraz jego oczu, kiedy zapewniał ją, że jest przyjacielem, na którego zawsze może liczyć. Wydawało się, jakby chciał tym spojrzeniem jej coś powiedzieć, a głos zdawał się przekazywać inną treść, niż wskazywały na to słowa.

Sophia myślała nie tylko o spojrzeniach i słowach, ale także o swojej na nie reakcji, gdyż ten pocałunek na pożegnanie obudził w niej uczucia, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Do tamtej chwili nie rozumiała, skąd pojawiał się głód w oczach condesy, gdy patrzyła na Marka, głód, który widywała w oczach innych kobiet, kiedy przyglądały się co bardziej atrakcyjnym oficerom.

Do chwili rozstania z majorem myślała, że sama jest odporna na takie rzeczy, ale teraz wiedziała, iż jest to nieprawda. Osoba Marka Adair: jego szczupła, opalona twarz o wysokich kościach policzkowych, proste, ciemne brwi i przenikliwe oczy, których uwagi nie uchodziło nic, szerokie ramiona i wysoki wzrost, dzięki któremu górował nad większością mężczyzn, wszystko to sprawiało, iż człowiek ten przyciągał ją do siebie jak nikt na świecie.

Nie chodziło wcale o to, że pocałował ją i trzymał ją w ramionach; teraz już to wiedziała. Pocałunek tylko zmusił ją, by zdała sobie sprawę, że już od dawna czuje pociąg do tego mężczyzny: od chwili gdy z tętentem pojawił się na wzgórzu i łącał ją za to, że rysuje, siedząc pośrodku teatru wojny. A gdy jego usta spoczęły na jej wargach, gdy przytulił ją do siebie tak mocno, by mogła poczuć bicie jego serca, Sophia zrozumiała, iż pragnęła również tego pocałunku od bardzo, bardzo dawna.

Wiatr był sprzyjający i podróż trwała niewiele ponad tydzień. W Portsmouth Sophia przenocowała w hotelu George, a następnego dnia, zgodnie z instrukcjami generała, pułkownik Potter wynajął jej karetę pocztową do Londynu.

Ponieważ myśli jej wciąż krążyły wokół tych, którzy zostali na kontynencie, Sophia nie interesowała się zbyt falującymi polami Hampshire ani też kredowymi wyżynami Surrey, nie zwróciła też większej uwagi na maleńkie, schludne wioski i miasta, które mijali: Buriton, Petersfield i Farnham.

W końcu, późnym wieczorem, dotarli do stolicy. Ruch w niej panujący skojarzył się dziewczynie z maszerującą armią: na ulicach tłoczyły się konie, wozy i woły. Po dłuższej jeździe przez miasto zatrzymali się przed wysokim, eleganckim domem przy Brook Street, gdzie drzwi otworzył im natychmiast siwowłosy lokaj, który uprzejmie powitał Sophię i zaprowadził ją do położonego na pierwszym piętrze salonu.

Zatrzymując się niepewnie w progu, Sophia nabrała tchu i zanurzyła się w to, co miało stać się jej nowym życiem. Na kominku wesoło płonął ogień, a pokój o jasnobłękitnych ścianach i wdzięcznych białych

pilastrach udekorowany został w stylu Adamów\*. Sophia w pierwszej chwili miała wrażenie, że wchodzi do jakiejś greckiej świątyni albo do muzeum, gdyż w każdej wnęce i wszędzie, gdzie było wolne miejsce, ustawiono marmurowe popiersia i posągi.

Uwagę dziewczyny tak zaabsorbowały te dzieła sztuki rzeźbiarskiej, że nie od razu zauważyła wysoką, szczupłą kobietę, która wstała, by ją powitać.

- Moja droga, musisz być strasznie zmęczona. Chodź, usiądź przy kominku i pozwól, że zadzwonię po coś, co cię pokrzepi.

Z pewnym niepokojem Sophia przyjrzała się stojącej przed nią kobiecie. Miała ona tak samo niebieskie oczy i długi nos jak jej ojciec, ale w oczach zamiast beztroski malowała się inteligencja i przenikliwość. Pięknie wykrojone usta i delikatny podbródek świadczyły o tym, iż ich właścicielka jest zdolna do znacznie większej stanowczości niż brat. Ogólnie była to twarz z charakterem, podczas gdy w najlepszych swoich czasach oblicze ojca Sophii emanowało wdziękiem; zazwyczaj jednak malował się na nim wyraz dobrodusznej słabości.

- Bogu dzięki jesteś bardziej podobna do matki, która musiała być prawdziwą pięknoscią. Kobiety z rodziny Featherstonaghów zazwyczaj szpecą końskie szczęki - Widać było jasno, że Sophia poddana została obserwacji równie wnikliwej, jak jej własna. - Ale to nieistotne. Cieszę się, że będę cię mogła gościć, chociaż obawiam się, że ty nie powiesz tego samego

\*James (1734-1794) i Robert (1728-1792) Adamowie - słynni architekci angielscy.

o Londynie, który pewnie wyda ci się nieciekawym po tylu innych miastach.

- Jestem pani wdzięczna za jej gościnność. - Sophia ze znużeniem opadła na proponowany jej fotel, zaś pani domu wydała jakieś polecenia służącemu, który pojawił się na jej wezwanie.

- Domyślam się, że nie mówisz tego serio, chociaż doceniam twoją uprzejmość, bo któż dobrowolnie opuściłby przyjaciół i znane sobie życie, wszystko jedno, jak niewygodne, dla zamieszkania u kompletnie nieznannej sobie rodziny, która wydziedziczyła ojca i tak obojętnie odniosła się do matki. Powiedz mi, dziecko, jakie masz zainteresowania i czym chciałabyś zajmować się w Londynie.

- Ja... sama nie wiem...

- Sprawiasz wrażenie rozsądnej młodej kobiety, więc chociaż znane mi panny zazwyczaj pragną przede wszystkim zabaw i rozrywek, ty masz może ochotę zajmować się prócz tego czymś innym?

- Cóż... - Sophia urwała. Choć nigdy się tak naprawdę nad tym nie zastanawiała, wiedziała od dawna, że chce, aby jej życie było czymś więcej niż pasmem wizyt, balów, rautów i innych rozrywek modnego towarzystwa. Jeśli o coś marzyła, to o tym, by stać się uznaną artystką, lecz wolała nie mówić o rzeczach tak osobistych siedzącej naprzeciwko kobiecie, choć ta sugerowała, że ona, Sophia, wygląda na osobę rozsądną. Sama zaś Sophia była bardzo ciekawa, co takiego w jej osobie powiedziało lady Lydii, że właśnie taka jest.

- To oczywiście, że nie jesteś jedną z tych płótych kokietek, które interesuje tylko flirt. Nie wdzięczysz

się, sprawiasz wrażenie istoty myślącej, a twoja suk-  
nia, choć najzupełniej stosowna i doskonałej jakości,  
nie jest ostatnim krzykiem mody. - Ciotka wygłosiła  
to wszystko, jakby czytała w myślach siostrzenicy. -  
Ale ty mi wciąż nie odpowiedziałaś.

- Nigdy nie przypuszczałam, że zamieszka-  
m w Londynie, ale skoro tu jestem, marzę o tym, by zo-  
baczyć wystawę w Akademii Królewskiej.

Lady Lydia z aprobatą kiwnęła głową.

- I tak się stanie. Możesz też zobaczyć wystawę  
w Brytyjskim Instytucie Rozwoju Sztuk Pięknych,  
która w tym roku demonstruje dzieła Hogartha, Wil-  
sona, Gainsborougha i Zoffany'ego. General Curtis  
pisał mi, że zajmujesz się sztuką, więc przygotowa-  
łam ci sypialnię we frontowej części domu, w której  
okna wpuszczają dużo światła i jest dosyć miejsca, by  
ustawić sztalugi. Ja najczęściej zajmuję się rano mo-  
imi studiami i domyślam się, że chętnie wykorzystasz  
ten czas, by pracować w samotności.

Sophia poczuła w oczach łzy wdzięczności. Może  
życie w Londynie nie będzie takie okropne. Choć wy-  
dawało się to nie do uwierzenia, siostra lorda Har-  
ry'ego okazała się pokrewną duszą dla swojej młodej  
bratanicy.

- Ja... nie wiem, co mam powiedzieć poza tym, że  
jestem bardzo wdzięczna.

- Nie musisz nic mówić. Proponuję ci to rozwiąza-  
nie z egoizmu: chciałabym mieć rano spokój. Myślę,  
że teraz powinnaś odpocząć. Pokażę ci twoją sypial-  
nię i przyślę ci pokojówkę z gorącą wodą i kolacją. Ju-  
tro oczekuję cię najwcześniej o dwunastej w południe.

Lady Lydia poprowadziła Sophię piętro wyżej, do



dużej sypialni zawieszanej błękitnym adamaszkiem. Przy jednym oknie zrobiono wolne miejsce, a obok rozpalonego kominka ustawiono wygodny fotel. Widząc to staranie, Sophia znowu poczuła, że ma łzy w oczach.

- No, no. Zostawiam cię teraz samą, bo też jestem dosyć zmęczona. - Lady Lydia zatrzymała się w drzwiach. - Wiesz, trochę się bałam myśli o tej zmianie, ale sądzę, że będziemy się całkiem dobrze zgadzały. - Ciotka uśmiechnęła się serdecznie, co sprawiło, iż przez chwilę wyglądała prawie jak młoda panna, a potem delikatnie zamknęła za sobą drzwi, zostawiając bratanicę samą ze swymi myślami.

Lady Lydia dotrzymała słowa, zostawiając Sophii każdego ranka wolny czas na malowanie, czytanie, pisanie listów i różne rozrywki. Spotykały się dopiero przy lekkim lunchu i wtedy omawiały plany na resztę dnia.

Wystawa w Akademii Królewskiej miała zostać otwarta za miesiąc, lecz lady Lydia umożliwiła Sophii obejrzenie kilku bardzo ciekawych prywatnych kolekcji, należących do jej znajomych, a poza tym poszły do Spring Gardens na doroczną wystawę akwareli.

Ciotka dała Sophii czas na zadomowienie się i przyzwyczajenie do nowych warunków, zanim rzuciła ją w wir życia towarzyskiego, chociaż oczywiście przedstawiała ją swoim znajomym, gdy odwiedzały rozmaite wystawy. Ku swej nieskończonej uldze dziewczyna stwierdziła, że większość z tych przyjaciół byli to ludzie o równie dużej wiedzy i tak samo poważnie nastawieni do życia, jak sama lady Lydia. Ciotka zaś, która wyznała bratanicy, iż znana jest jako sawantka, a poniekąd także jako osoba o bardzo stanowczym charakterze, nie przyjmowała wielu gości, więc obie panie miały dużo czasu na rozwijanie swoich zainteresowań i prowadziły stosunkowo spokojne życie.

Znalazła jednak osoba, która usiłowała zakłócić ustalony ku zadowoleniu obu tych dam porządek. Pewnego dnia ciotka i bratanica czytały sobie spokojnie jedną i tę samą stronę „Timesa”, gdy lokaj zaanonsował przybycie gościa. Ledwo zdążył wypowiedzieć słowa: *Lady Arabella Featherstonaugh*, do bawialni wbiegła młoda kobieta we własnej osobie.

- Najdroższa ciotciu Lydio, wiem, że nie lubisz, kiedy tak się do ciebie tak wpada, ale jest już po dwunastej, a my dopiero co przyjechaliśmy do miasta, a ja nie mogłam się doczekać, by poznać moją nową kuzynkę. Jaka ona jest?

- Zobacz sama - odparła spokojnie ciotka. - Choćby byłoby dosyć miło, gdybyś nie traktowała jej jak zwierzęcia w klatce.

Młoda dama miała na sobie najnowszy czepek i płaszczyk, będący ostatnim krzykiem mody, ale elegancja jej stroju kłóciła się z błyszczącymi oczyma, psotnym wyrazem buzi i entuzjazmem młodej pannotki, która dopiero co wyszła spod opieki guwernantek.

- Och - panna zakryła sobie usta dłonią w cytrynowożółtej, giemzowej rękawiczce, by ukryć konsternację. - Najmocniej przepraszam, ale kiedy papa powiedział mi, że córka lorda Harry'ego zamieszkała w Londynie u ciotki Lydii, po prostu musiałam przyjść i ją zobaczyć.

- Ach, to bardzo uprzejme z pani strony. - Sophia jeszcze nie wróciła do siebie po szoku, jaki wywołało w niej nagłe pojawienie się młodej osoby w ich spokojnej bawialni.

- Proszę mi wybaczyć - lady Arabella opadła na

najbliższy fotel i zdjęła rękawiczki - ale nasza rodzina jest tak okropnie nudna i pruderyjna, a szczególnie papa, że po prostu musiałam poznać jedyną moją interesującą krewną. Ciotka Lydia mówi, że twój ojciec był tak nieposłuszny, że dziadek zostawił go bez jednego pensa. Potem on poślubił twoją mamę. Myślę, że to wszystko było okropnie romantyczne.

Sophia nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl, że fakt, iż ktoś został wydziedziczony, zyskał mu szacunek surowo wychowanej młodej panny.

- „Okropnie romantyczna” część ich życia skończyła się, zanim ja pojawiłam się na świecie, ale przyznaję, że życie z papą z pewnością nie było nudne.

- Och, opowiedz mi o tym wszystko i o twoim życiu przy armii. To musiało być takie podniecające. Z pewnością poznawałaś mnóstwo interesujących... hm... ludzi.

Sophia domyślała się, że zainteresowanie Arabelli dotyczyło głównie przystojnych młodych mężczyzn w szkarłatnych kurtkach, ale nie miała nic przeciwko zabawianiu młodej kuzynki opowieściami o wojskowym życiu. Upłynęło już sporo czasu od dnia, w którym po raz ostatni poruszała takie tematy, że teraz rozmowa o nich stanowiła dla niej jakby ulgę, chociaż więcej niż jeden raz coś ją ścisnęło w gardle.

Lady Arabella wyszła po dłuższej wizycie i dopiero wtedy, gdy wydobyła od Sophii i ciotki obietnicę, że już jutro wybiorą się z nią i jej matką na przejażdżkę w parku.

Gdy zamknęły się drzwi za pełną życia bratanicą, lady Lydia uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Obawiam się, że nasze spokojne życie zakończy-

ło się, bo Arabella nie ustanie, dopóki nie zmusi cię, byś pojawiła się na wszystkich modnych zbiegowiskach w mieście. Ale to dobra dziewczyna. Na szczęście twoja żałoba jeszcze się nie skończyła, więc będziesz mogła się nią tłumaczyć, jeśli nie zechcesz brać w czymś udziału.

Jednak tego wieczoru Sophia, patrząc na baldachim łóżka, nie myślała o balach i rautach, ale o maszerujących do walki żołnierzach, a zwłaszcza o jednym z nich.

Starła się powstrzymać łzy. Powtarzała sobie, że tęsknota za miejscem, które uważa się za dom, jest rzeczą zwyczajną, że z czasem ból po stracie matki złagodnieje, ale w głębi jej duszy odzywał się głos tak cichy, iż prawie niedostrzegalny, który mówił jej, że to, czego doznaje, to nie tylko poczucie obcości i straty, lecz jeszcze jedno uczucie, o wiele silniejsze niż tamte, które wywiera na nią wpływ, jakiego sama dobrze nie rozumie.

Nocne rozważania wkrótce zostały wyparte przez problemy dnia, gdy Sophia przygotowywała się na spotkanie z księżną Broughton, której lokaj właśnie przyniósł zaproszenie na popołudniową przejażdżkę.

Sophia przeżyła wiele obaw na myśl o spotkaniu zony *tego napuszonego bałwana*, jak lord Harry zwykł był określać swego brata, ale wdzięk Arabelli i dobroć ciotki Lydii znacznie przyczyniły się do rozwiania jej niepokoju. Istotnie, księżna okazała się starszą, pulchniejszą wersją swojej córki i choć była mniej bezpośrednia, okazała Sophii dużo życzliwości, posuwając się nawet do tego, by podczas ich majestatycznej przejażdżki promenadą pokazywać jej wszystkich wybitnych ludzi.

Sophia z ulgą odkryła, że księżna nie żywi najmniejszej wrogości wobec lorda Harry'ego ani też jego córki i po wygłoszeniu swych kondolencji z powodu straty ojca i matki, nie poruszała wcale tematu żadnego z nich.

Byli jednak inni, którzy mówili o lordzie Harrym Featherstonaugh. Lady Louisa Cathcart, która mile powitała księżną i jej córkę, gdy jej powozik zatrzymał się obok nich, była bardzo szczęśliwa, mogąc ujrzeć Sophię.

- Jest pani córką lorda Harry'ego, nieprawdaż? Jestem zachwycona, że mogę panią poznać. Ach, jakimż czarującym kawalerem był pani ojciec. - Lady Louisa przez chwilę przyglądała się Sophii. - Chociaż nie można powiedzieć, że jest pani do niego podobna.

- Nie, proszę pani. O ile wiem, bardziej przypominam moją matkę, chociaż nie dorównuję jej urodą.

- Ach, tak, matkę. Bardzo chcieliśmy spotkać kobietę, która zdobyła serce i rękę lorda Harry'ego, ale nie było nam to dane. Cieszę się jednak, że chociaż panią mogę zobaczyć. Witaj w Londynie, panno Featherstonaugh, chociaż po barwnym życiu na Półwyspie nasza stolica musi się pani wydawać strasznie nudna.

Sophia nie potrafiła znaleźć na to odpowiedzi, gdyż istotnie Londyn był dla niej mało interesujący, ale z innych powodów, niż przypuszczała lady Louisa. Jednak przyznanie się do czegoś takiego byłoby nieaktym, więc uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

- Dziękuję pani.

Prawdę mówiąc, Sophia nie żałowała swego dawnego życia. Siedząc w różnych salonach i salach balowych i obserwując wirujące w tańcu pary, była zadowolona, że żałoba pozwala jej tkwić pod ścianą razem ze star-

szymi damami, i często myślała, jak ciekawe i bogate było jej życie w porównaniu z tym, co było udziałem śmiejących się i flirtujących ludzi, którzy wymieniali w tym roku takie same banały, jak w zeszłym.

Jakże błaha zdawało jej się to życie w porównaniu z przemarszami i walkami na niegościnnym terytorium. I jacyż bezbarwni byli młodzi mężczyźni w porównaniu z tymi, których znała przedtem. Najlepsi z nich wykazywali pewną inteligencję i obycie, ale poza tym większość z nich była beznadziejnie nudna.

Co działo się z tymi, którzy zostali we Francji i narażali swoje życie? Sophia myślała o tym stale i dbała o to, żeby zdobyć wszelkie dostępne informacje na temat sił brytyjskich w Europie, aż do pewnego dnia, *na* początku kwietnia, kiedy to *jej* ciotka *uniósła* wzrok znad „Timesa” i powiedziała:

- Skończyło się.

- Co się skończyło?

- Jak to co? Jak możesz pytać, dziecko, skoro zamartwiasz się o nich od dnia, kiedy tu przyjechałaś? Wojna się skończyła. Paryż poddał się aliantom, a Napoleon abdykował.

- Dzięki Bogu! - Dopóki Sophia nie wypowiedziała tych słów, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się niepokoiła. A więc on jest bezpieczny. Tak przynajmniej mogła przypuszczać, gdyż stale przeglądając listy poległych i rannych, szukała jednego, konkretnego nazwiska, które nigdy się na nich nie pojawiło. Teraz mogła odważyć się mieć nadzieję, że przeżył. Wygłosiwszy w duchu modlitwę dziękczynną, Sophia poszła z ciotką i lady Arabellą na koncert do Hanover Square Rooms w znacznie lepszym niż kiedykolwiek dotąd nastroju.

Dopiero dwa miesiące później Sophia mogła zyskać absolutną pewność co do zdrowia majora lorda Marka Adair. Była właśnie na balu u lady Montmorcency, wielkim wydarzeniu towarzyskim, i jak zwykle zajmowała miejsce pod ścianą pośród bogatych wdów, gdy kątem oka dostrzegła ciemne włosy i pociągłą, opaloną twarz, widoczne powyżej głów reszty tłoczących się przy wejściu gości.

Zanim jeszcze zdała sobie w pełni sprawę, kogo widzi, przyspieszone bicie serca i rumieniec, który wypłynął jej na policzki, powiedziały jej, to właśnie on, gdyż nikt inny na świecie nie budził w niej podobnych objawów. Sophia powiedziała sobie, że słabość w kolanach i drzenie, które ogarnęło jej dłonie, są tylko wynikiem reakcji na miesiące niepokoju o życie jego i innych. Jednak gdy kilka minut później z zupełnym spokojem przyjęła przybycie Andrew Leith Haya wraz z Federickiem Ponsonbym, wiedziała, że radość, jaka ją ogarnęła na widok majora, była wynikiem czegoś więcej niż ulga, iż wrócił szczęśliwie.

Od pojawienia się Marka sala balowa jakby pojaśniała. Rozmowy wydawały się Sophii dowcipniejsze, ludzie miłsi i ogólnie cały bal stał się o wiele bardziej atrakcyjny niż wszystkie przedtem. Nawet wiecznie



z siebie zadowolony, wymuskany lord Wardale czy też niezdolnie przemądrzały sir Ernest Tudway irytowali ją mniej niż zwykle. Prawdę mówiąc, Sophia wcale ich nie słuchała, ale kiwała głową i uśmiechała się w odpowiednich momentach, cały czas śledząc wzrokiem wysoką postać w mundurze.

Czy ją zauważy? Czy nadal zechce być jej przyjacielem teraz, kiedy nie jest już jedną z nielicznych młodych kobiet w okolicy? Czy przetrwało ich dawne, niewypowiedziane słowami porozumienie, czy też ich znajomość stanie się zaledwie zdawkowa? Sophia próbowała nie myśleć o tych niepokojących kwestiach, ale nie potrafiła się od nich uwolnić. Czy to w ogóle jest istotne, jak zachowa się lord major Mark Adair? Po raz pierwszy od śmierci matki Sophia poczuła, że staje się dawną sobą.

Byłaby niezmiernie zaskoczona, gdyby ktoś jej powiedział, że major, swobodnie witający znajomych i przyjmujący gratulacje z okazji swego zwycięskiego powrotu, nieustająco przebiegał wzrokiem salę balową, szukając pewnych oczu, błyszczących inteligencją i pogodą. Kobiety, która gardziła kokieterią i flirtem. Czy będzie to wciąż ta sama szczerą i bezpośrednią Sophią, czy została już jedną z wielu modnych piękności? Dla wszystkich dookoła major sprawiał wrażenie lekko znudzonego otaczającym go tłumem. Lata spędzone w charakterze oficera zwiadowczego nauczyły go ukrywać myśli i uczucia, ale w tej chwili odniósł wrażenie, jakby w jego życiu miał nastąpić jakiś ważny przełom.

W końcu ją spostrzegł: siedziała nieco na uboczu i słuchała uprzejmie, choć bez większego entuzjazmu,

jakiegoś pochylonego ku niej młodego byczka. Gwałtowne bicie serca i brak tchu sprawiły, że major zdał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęsknił.

Cały ten czas, gdy jeździł konno, rysował mapy dróg, wzgórz, bagien i linie nieprzyjacielskich straży, unikał pładrujących okolicę grup maruderów i wieśniaków, gotowych sprzedać go swoim rodakom, stopił się w jedną, mglistą chwilę od czasu, kiedy ona wyjechała. Mark wypełniał swoje obowiązki najlepiej jak potrafił, brał nawet udział w szarży na Tuluzę, ale utracił jakoś dawny entuzjazm. Przypisywał swój stan temu, że już za długo para się wojaczką, ale teraz wiedział, że wynikał on z tego, iż nie było przy nim Sophii.

Od czasu kiedy ją poznał, przywykł dzielić z nią wszystko i ta właśnie świadomość sprawiała, że bardziej się starał, by móc potem pochwalić się przed nią znakomicie wykonanym zadaniem. Bez niej, jako obserwator-ki jego czynów, wszystko straciło swój blask i stało się nudną rutyną. Oczywiście pozostawali koledzy oficerowie, ale akceptacja i zrozumienie Sophii w jakiś sposób nadawały jego działaniom większej istotności. Co więcej, dziewczyna ta dostrzegała problemy, jakie odczuwał w związku z pełnieniem funkcji oficera zwiadowczego, podczas gdy inni nie potrafili ukryć niesmaku, wywołanego skrytością jego działań, chociaż ich życie zależało od informacji, jakich dostarczał.

Kiedy Mark wreszcie przecisnął się przez tłum natrętnych panien i przemądrzałych młodych fircyków, Sophia natychmiast podniosła na niego oczy, jakby jakiś szósty zmysł powiedział jej, iż on właśnie nadchodzi.

Westchnął z ulgą, widząc, jak uśmiech rozjaśnia jej twarz. Przynajmniej będzie miał z kim porozmawiać,

z kimś inteligentnym i rozumiejącym jego problemy, kimś, komu nie trzeba bez przerwy wszystkiego wyjaśniać.

- Major Adair! - powitała go radośnie Sophia, a potem zwróciła się do siedzącej obok niej starszej kobiety. - Ciociu Lydio, to jest major lord Mark Adair, jeden z moich przyjaciół z Półwyspu.

Nie „jeden z moich przyjaciół”, poprawiła w myślach ciotka, widząc blask w oczach siostrzenicy, lecz „najważniejszy przyjaciel”.

- Miło mi pana poznać, majorze. Bratanica opowiadała mi o panu.

- Doprawdy? Mam nadzieję, że nie mówiła o mnie nic złego? - Mark usiłował wyczytać coś z twarzy starszej z kobiet, ale bystre oczy i ostre rysy nie ujawniły mu nic poza żywą inteligencją. Zanim Mark mógł zadać jakieś dalsze pytania, jej uwagę zaprzętnął korpulentny mężczyzna w okularach.

- Cieszę się, że wrócił pan cało - powiedziała Sophia. - Jak sprawili się Hiszpanie? Czytałam, że kiedy Wellington zostawił siódmą dywizję w Bordeaux, musiał korzystać ze wsparcia hiszpańskiej piechoty.

Mark uśmiechnął się.

- Widzę, że doskonale pojęłaś trudności związane z tym posunięciem. Dostali żołąd i wyżywienie, co na szczęście powstrzymało ich przed plądrowaniem okolicy, ale sama wiesz, jacy są Hiszpanie. Ruszyli za Freyrem o wiele wcześniej, nim Beresford zaczął swój atak, więc byli już nieco zmęczeni, kiedy dotarli do francuskich umocnień na wzgórzu. A kiedy już znaleźli bezpieczne schronienie, nie mieli najmniejszej ochoty posuwać się dalej. Rzecz jasna, francuscy *voltigeurs* ru-

szyli na nich z góry. Dopiero pewna „zachęta” ze strony naszych dragonów sprawiła, że zaczęli walczyć.

- Tak, rzeczywiście, Hiszpanom nie brak odwagi, tylko łatwo się zniechęcają.

- Dokładnie.

Gdy mówił, Sophia miała wrażenie, jakby wróciło jej dawne życie. Jakaż to ulga móc rozmawiać o czymś naprawdę, wymieniając poglądy z kimś, kto rzeczywiście słuchał, co się do niego mówi, i przyjmował to do wiadomości, zamiast oczekiwać tylko uprzejmego kiwania głową i wyrażania aprobaty dla potoku swojej własnej wymowy. Inaczej niż pozostali mężczyźni Mark czynił przerwy i czekał na jej reakcję lub pytał, co ona sądzi na jakiś temat. Doświadczywszy tego, co zwano „rozmową towarzyską”, Sophia tym bardziej ceniła sobie gotowość, z jaką Mark jej słuchał.

Jednakże podczas tej ich rozmowy Sophia zauważyła, że gdzieś znikła część jego energii, śmiałości i radości życia, zastąpiona jakby pewną dozą cynizmu. Co było tego powodem? Kiedy go poznała, przebywał już na Półwyspie od ponad trzech lat i chociaż z ironią wypowiadał się o swej roli oficera zwiadowczego, nie było w nim tego zmęczenia życiem, goryczy i drwiny. Lękała się więc, że mógł się zmienić na dobre, utracić swą wrażliwość, która czyniła go jedynym w swoim rodzaju przyjacielem.

Tego wieczoru Sophia wróciła do domu przy Brook Street w nastroju zadumy, zarazem ucieszona i zaniepokojona ich spotkaniem: rada, gdyż już nic mu nie groziło, zaś zmartwiona zmianą, jaka w nim zaszła.

Nie tylko Sophia doznawała sprzecznych uczuć. Wracając do położonej przy Grosvenor Square rezydencji brata, gdzie miał swoje tymczasowe lokum, Mark liczył na to, że wieczorny chłód i względna pustka na ulicach pomogą mu rozeznąć się w uczuciach, jakich doznał, ponownie spotkawszy Sopię.

Choć bardzo ze sobą walczył, już kilka miesięcy temu musiał przyznać, że kiedy Sophia opuściła kontynent, w jego życiu wytworzyła się pustka, ale nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji do chwili, gdy ujrzał ją dziś na sali balowej, przyglądającej się zgromadzonym tłumom swym bystrym, trochę rozbawionym, a trochę ironicznym wzrokiem. Była jak oaza spokoju i rozsądku na pustyni bezsensownej próżności.

Drugą rzeczą, która go niepokoiła, był fakt, iż nie ma najmniejszej pewności co do jej uczuć. Do tej pory Mark nigdy nie wątpił w swą zdolność magentyzowania kobiet. Zawsze był oblegany przez atrakcyjne mężatki, które traktowały go jako antidotum na nudnych małżonków, i młode panny, szukające odpowiednio bogatego i szlachetnie urodzonego męża. Nigdy go nie interesowało, jakie rzeczywiście żywią wobec niego uczucia, gdyż wcale mu na nich nie zależało. Raz na zawsze postanowił, że jeśli kiedykolwiek się ożeni,

uczyni to z rozsądku, nie z miłości. A nawet jego romanse służyły wyłącznie zaspokojeniu pożądania, a nie potrzeby czułości. Teraz jednak odkrył, że uczucia Sophii znaczą dla niego bardzo wiele.

Niewątpliwie ucieszyła się na jego widok. W jej uśmiechu dostrzegł ciepło i radość. Ale czy nie tak samo powitałaby każdego innego niewidzianego od pewnego czasu przyjaciela, na przykład Andrew Leith Haya albo Fitzroya Somerseta? Po raz pierwszy w życiu Mark czuł pociąg do jednej kobiety i chciał, żeby Sophia odwzajemniała jego pragnienia.

Czy jednak rzeczywiście tak było? Kiedy trzymał ją w ramionach podczas ich rozstania w Saint-Jeande-Luz, gotów był przysiąc, że tak. Oczy jej płonęły żarem i czułością, przeznaczonymi wyłącznie dla niego. Czuł, że serce jej zabiło szybciej, gdy przygarnął ją do siebie, a usta chętnie odpowiedziały na jego pocałunek. Ale może się pomylił? Może to sobie tylko wyobraził? A jeśli znalazła sobie w Londynie kogoś innego, z kim mogła dzielić kłopoty i zainteresowania, kogoś mniej porywczego, a bardziej godnego zaufania niż jej ojciec i niż każdy oficer kawalerii? Co może zaoferować jej wojskowy, by stać się bardziej atrakcyjny niż mężczyźni, którzy spędziwszy życie w stolicy, mają znacznie więcej doświadczeń i są w stanie bardziej ubarwić jej życie?

Wszedłszy do Cranleigh House, Mark pospieszył do swej sypialni, gdzie pozwolił Finbury'emu pomóc sobie zdjąć płaszcz, nalał sobie sporą porcję koniaku ze stojącej na toaletce karafki, a potem rzucił się na fotel przy kominku.

Co ma zrobić? Jak postępować? Każdy oficer zwia-

dowczy, godzien swego imienia, powinien być w stanie poznać opinię i uczucia damy dotyczące danego tematu, ale jak to uczynić, by Sophia nic się nie domyśliła?

Mark wypił drugi kieliszek, a potem trzeci. Życie na Półwyspie, choć może znacznie bardziej niebezpieczne, było jednak o wiele prostsze.

Życie w ojczyźnie niosło z sobą inne zupełnie zagrożenia, co z całą siłą uderzyło Marka następnego dnia podczas śniadania. Do tej pory przychodził na nie po swej porannej przejażdżce, gdy było już pusto, gdyż brat zjadał je wcześniej, a bratowa i ich syn pili czekoladę w swych sypialniach znacznie później.

Tym razem jednak oczekiwał go nie tylko książe, lecz także księżna. Wyraz determinacji, malujący się na ich twarzach, powiedział mu wyraźnie, że mają ochotę rozmówić się z nim w jakiejś sprawie. Zaklął więc pod nosem. Zamieszkał w londyńskim domu księcia Cranleigh wbrew zdrowemu rozsądkowi, ale po latach spędzonych na wojaczce nie było mu tęskno za życiem w koszarach, a nie zdążył jeszcze znaleźć sobie odpowiedniego mieszkania. Teraz widział wyraźnie, że popełnił poważny błąd.

- Ach, witaj, Mark. Co za szczęśliwe spotkanie, bo do tej pory nasze zajęcia trzymały nas od siebie z dala.

- Czy masz mi coś konkretnego do powiedzenia, Richardzie?

Książe Cranleigh odchrząknął z pewnym zażenowaniem. Pięć lat temu nie wahałby się wskazać młodszemu bratu, jakie ma obowiązki wobec rodziny, ale teraz rozmowa z tym wysmukłym, opalonym, obcym człowiekiem o chłodnych manierach i przenikliwym spojrzeniu może okazać się znacznie trudniejsza.

- Nie, drogi chłopcze, cieszę się tylko, że możemy porozmawiać.

Księżna rzuciła mężowi szybkie spojrzenie. To nie było dla niego typowe - powstrzymać się od uwag na ulubiony temat: co winien jest rodzinie każdy z jej członków.

- Richard chciał powiedzieć - pochyliła się z uśmiechem do swego szwagra - że tak długo byłeś już na tej strasznej wojnie, że teraz, kiedy wróciłeś zdrow i cały, pewnie zapragniesz mieć własny dom i zapomnieć o trudach i niewygodach ostatnich pięciu lat.

*Było to znacznie mniej nieprzyjemne niż marnowanie czasu na jednym balu po drugim, gdzie nie można było robić nic ciekawszego, jak przetracać rodzową fortunę w grach hazardowych,* pomyślał Mark.

- Ależ Letycjo, czy mam z tego rozumieć, że wybrałaś już dla mnie uroczą młodą damę, która pomoże mi założyć ognisko rodzinne?

- Ach, nie. - Księżna zachichotała nerwowo. Doprawdy, Mark zbyt łatwo ich przejrzał. Ostrzegąca Richarda, że domyśli się wszystkiego, gdy tylko zobaczy ich oboje przy śniadaniu, i nie pomyliła się. Z niepokojem spozrzała w przenikliwe, brązowe oczy. - To znaczy, tak. Richard uważa, że pora, żebyś się ustakował. To wspaniałe, że broniłeś naszego kraju, ale teraz powinieneś pomyśleć o założeniu rodziny.

Mark z trudem powściągnął chęć podkreślenia, że dla niektórych obowiązek wobec ojczyzny jest ważniejszy niż inne.

- Rozumiem. Kim są te ideały, które wybraliście jako godne związku z wspaniałym rodem Adairów?

Księżna błagalnie popatrzyła na męża.



- Hm. Jestem pewien, że wiesz, iż nasz ojciec i ja zawsze uważaliśmy lady Laurę Carlow za najlepszą dla ciebie partię. Jej rodzina jest prawie tak samo stara jak nasza i zawsze uważano, że córka będzie dla ciebie jak najbardziej odpowiednia.

- Oczywiście, jeśli lady Laura ci się nie spodoba, jest jeszcze lady Cecylia Warburton, osoba jak najzupełniej bez zarzutu - dodała księżna, uśmiechając się zachęcająco.

- Dziękuję wam za aż tak wielką troskę o moją przyszłość. Domyślam się, że spotkam obie te cho-dzące doskonałości na raucie u księżnej Roxley dziś wieczorem, na którym podobno mam się pojawić.

Mąż i żona pogratulowali sobie wzrokiem dobrze wypełnionego zadania. Richard odezwał się pierwszy.

- Oczywiście. Cały wielki świat tam będzie.

- Czym jeszcze możesz się zająć teraz, kiedy armia nie potrzebuje już twoich usług? - Od dawna przyzwyczajona do aroganckiego sposobu bycia męża księżna doskonale rozumiała jednak irytację swego szwagra.

- Czym, w istocie? - Mark jednym haustem wypił filiżankę kawy i wyszedł z pokoju, zbyt rozżłoszczony, by spędzić w ich towarzystwie choć jedną więcej chwilę.

Wciąż wściekły, poszedł do sali bokserkiej Dzentelmena Jacksona, by wyładować gniew i potrenować dla zachowania formy. W głębi duszy przeczuwał przecieź, co się święci. Jeszcze zanim wyjechał na Półwysep, brat nalegał, by założył własny dom, a imię lady Laury Carlow często pojawiało się w rozmowach.

Rozważając rzecz na chłodno i w oderwaniu od iry-

tującej skłonności brata do wtrącania się w życie innych, propozycja ta nie była niczym nieoczekiwanym. Mark zawsze wiedział, że będzie musiał się ożenić z kobietą podobną do lady Laury. W jego sferze małżeństwa zawierano ze względu na rodzinę i koneksje, a nie z miłości. Miłość spowodowała, że jego matka zawarła niestosowny i nieszczęśliwy związek, a jej syn postanowił nigdy nie popełniać podobnego błędu. Nawet pociąg fizyczny budził w nim wątpliwości po niedawnej zdradzie condesy de Gonsaľvo y Coruna. Ktoś taki jak lady Laura przynajmniej nie będzie postępował jak piękna Francuzka. Prawdziwa dama gardzi flirtem. Zna zasady tak samo dobrze jak on, Mark. Nigdy nie zniży się, by wprawić go w zakłopotanie, okazując choćby cień pożądanego. Mając taką żonę, jaką proponował brat, Mark byłby chroniony przed zakusami kobiet, które mogłyby mu się podobać.

Czy rzeczywiście lady Laura jest stosowną i godną zaufania kandydatką do pozycji lady Adair? Mark nie żywił najmniejszego nawet uczucia ani wobec lady Laury, ani Cecylii, a z trudem przypomniał sobie, iż obie są mniej więcej jednakowe, jeśli chodzi o urodę, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób ma dokonać między nimi wyboru.

Wchodząc do sali bokserskiej, zdecydował, że po prostu zda się na los, który sam podsunie mu odpowiedź. Bez litości usunął sprzed oczu obraz kobiety, która nie flirtowała, nie kokietowała, kobiety, z którą można było porozmawiać i która raczej obserwowała słabostki modnego świata, niż w nich uczestniczyła.

Wieczór nie przyniósł jednak oczekiwanego przez Marka rozwiązania. I lady Laura, i lady Cecylia, zgodnie z obecną modą jasnowłose, miały usteczka jak róże i urocze, zadarte noski. Obie doskonale tańczyły i zabawiały go rozmową polegającą na wygłaszaniu błyskotliwych uwag i modnych zwrotów. Obie też potrafiły słuchać, chociaż ilekroć poruszał jakiś poważniejszy temat, ich oczy stawały się szkliste, chociaż te młode damy starały się zachować uprzejmy uśmiech na ustach i potakiwać we właściwych momentach. Zadowolenie na twarzy brata wyraźnie też mówiło Markowi, że jeśli wybierze lady Laurę lub lady Cecylię, raz na zawsze uwolni się od natrętnych usiłowań brata, by kierować jego życiem. To zaś samo w sobie znaczyło bardzo wiele.

Dlaczego więc czuł się przytłoczony ciężarem życia? Czemu ta pewna, bezpieczna przyszłość napawała go niepokojem większym niż jakikolwiek dzień przed bitwą? Czując ogólny niesmak, Mark wcześniej opuścił raut i godzinami chodził po ulicach, jak nigdy dotąd przytłoczony samotnością. Chciał nawet pójść do koszar, posiedzieć z kolegami nad butelką porto, ale większość z nich gratulowałaby mu możli-

wości poślubienia ładnej, bogatej panny, zamiast wyrażać mu z tego powodu współczucie.

Nikt nie potrafiłby zrozumieć, jak przerażała go perspektywa wygodnego życia z dala od niebezpieczeństw i trudności. Tak właśnie, potrzeba mu nowego wyzwania. Na myśl o tym przypomniał sobie kogoś, kto także nie potrafi żyć bez nowych wyzwań... Sophię Featherstonaugh.

Znudzenie i poczucie beznadziei, które dręczyły go przez cały dzień, nagle znikły bez śladu. Mógłby z nią porozmawiać. Ona zrozumie, co dzieje się w jego duszy.

Nagle ogarnęły go radość i ulga, jakby sama myśl o Sophii była cudownym lekarstwem. Potem jednak pojawiło się nieuniknione pytanie. Czy ona czuje to samo do niego? I jak on ma się co do tego upewnić?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie przysłała mu do głowy prawie natychmiast. Poprosi ją, żeby narysowała portrety dwóch potencjalnych kandydatek na jego żonę. W ten sposób pokaże mu, jaka jest między nimi różnica, której on sam nie potrafi dostrzec, a jej własna reakcja ujawni mu, co myśli na temat niego, Marka. Mimo że Sophia gniewnie odrzuciła posądzenie o zazdrość wobec condesy de Gonsalvo y Coruna, major wciąż był przekonany, że częściowo i z tego powodu negatywnie oceniła piękną Francuzkę. Inteligencja i nietypowe wychowanie Sophii nie zmieniały faktu, że była ona istotą ludzką, a co więcej, kobietą.

Wpadłszy na ten pomysł, Mark poczuł tak wielką ulgę i zadowolenie, że zapragnął natychmiast sprawdzić, ile jest wart. Zamówienie portretów da mu pre-

tekst odwiedzenia Sophii, a co więcej, pomoże mu stwierdzić, czy żywi ona do niego jakieś cieplejsze uczucia. Teraz musiał tylko się zdecydować, czy rzeczywiście chce się tego dowiedzieć.

Następnego popołudnia, gdy Sophia zagłębiała się w lekturze „Timesa”, pojawił się lokaj lady Lydii, by oznajmić jej, iż czeka na nią pewien dżentelmen.

- Dżentelmen? - Z przerażeniem Sophia przypomniała sobie, iż sir Ernest Tudway obiecał, że ją odwiedzi, by dać jej do przeczytania jedną ze swych uczonych i zupełnie niezrozumiałych rozpraw na nikomu nieznanym temacie.

- To major lord Mark Adair. Czy mam mu powiedzieć, że jest pani w domu?

- Ależ tak, oczywiście. Dziękuję ci, Mackworth.

Sophie, patrząc jak major, prowadzony przez Mackworta, wchodzi do pokoju, uderzyło to, jak bardzo jego obecność sprawia, że całe otoczenie nabiera życia.

- Dzień dobry, majorze. - Sophia wstała, by go powitać. - Niestety moja ciotka poszła odwiedzić chorą przyjaciółkę.

- Czy uzna to pani za niewłaściwe, jeśli powiem, że nie przyszedłem do pani ciotki, lecz do pani? - Mark uniósł pytająco brew.

- Ależ skąd. Nie zrozumiał mnie pan. Chodzi mi tylko o to, iż chciałabym, żeby lepiej pana poznała.

- Czy znaczy to, iż ceni sobie pani jej opinię? Więc jednak czuje się pani u niej dobrze?

-- Tak. Jest dla mnie bardzo miła. Zadbana, żebym czuła się tutaj jak u siebie w domu, i przedstawiła

mnie wielu swoim znajomym, którzy są znacznie bardziej sensowni, niż przypuszczałam.

- Musi to być dla pani wielką ulgą. - Mark poczuł jakieś nieokreślone rozczarowanie, gdy zdał sobie sprawę, że do tej pory miał nadzieję, iż ona powita go jako jedyną osobę, z którą może naprawdę dzielić myśli i uczucia, tak jak on ucieszył się na widok jej ożywionej inteligencją twarzy wśród tłumu modniśców na balu lady Montmorency.

- Owszem. Przypuszczam, że może pan sobie wyobrazić, jak wielką. - Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- Sophio... to znaczy, panno Featherstonaugh.

- Tak?

- Nie jestem tu wyłącznie w celach towarzyskich. Przeszedłem prosić panią o grzeczność.

- Tak?

Mark wyglądał na zakłopotanego, ale Sophia nie potrafiła zgadnąć, co za chwilę powie.

- Po raz kolejny potrzebne mi są pani umiejętności. - Kiedy wpadł na pomysł, by poprosić ją o narysowanie portretów lady Laury i lady Cecylii, myślał, że będzie to bardzo łatwe, ale teraz z niewiadomych przyczyn sformułowanie tej prośby sprawiło mu poważne trudności. - Potrzebuję pani pomocy, żeby zdecydować... To znaczy chodzi o to, żeby określić charakter... no, są dwie młode kobiety, o których myślę... krótko mówiąc, usiłuję zdecydować, którą z nich poprosić o to, by została moją żoną.

Kiedy już to powiedział, zrozumiał, jak absurdalnie musiały brzmieć jego słowa, ale Sophia nie okazała żadnej reakcji. Prawdę mówiąc, nie pokazała nic

po sobie, nawet nie mrugnęła powieką, lecz siedziała bez ruchu z zastygłym na twarzy wyrazem uprzejmego zainteresowania.

- Zastanawiałem się - Mark nerwowo poprawił krawatę - czy zechciałabyś być tak dobra i narysować portret każdej z nich... szkic, nic więcej. Zawsze potrafisz tyle zobaczyć, więc pomyślałem, że może będziesz potrafiła odkryć jakąś różnicę między tymi dwoma pannami, która umknęła mojej uwagi, różnicę, która pomoże mi wybrać jedną z nich.

Przez chwilę Sophia nie była w stanie nic powiedzieć. Czuła się tak samo, jak wtedy gdy jako mała dziewczynka podeszła do konia od tyłu i dostała kopniaka w brzuch. W końcu jednak zebrała wszystkie siły i mężnie odrzekła:

- Te dwie kobiety są tak do siebie podobne i tak mało dla pana znaczą, że nie potrafi pan między nimi wybrać? - zapytała z niedowierzaniem. - Nigdy w życiu nie słyszałam bardziej cynicznej uwagi!

- Cynicznej? Chyba raczej rozsądnej. Zapewniam panią, że żadna z nich wcale nie dba o mnie jako człowieka, za to bardzo się dla nich liczy, kim mogę się dla nich stać: mężem, który pochodzi z tej samej sfery co one, na tyle bogatym, żeby zapewnić im dostatnie życie. Chyba nie radziłabyś mi, żebym ożenił się z miłości? W końcu ty nigdy byś nie popełniła tak nierozważnego czynu.

- Tak, ja... - Przed oczami pojawił się obraz zatroskanej i zmęczonej matki, która musiała skąpić i oszczędzać, by starczyły im na życie nędzne resztki, jakie im pozostały po tym, jak ojciec stracił kolejną kwotę na jakiś idiotyczny zakład, potem przy-

pomniała sobie niekończące się noce, podczas których czekały, aż wreszcie, zataczając się, wróci do domu prosto z ramion jakiejś kobiety albo z pijackiej burdy. - Nie, ja nie wyszłabym za mąż z miłości. - Jednak w tej samej chwili, gdy mówiła te słowa, przez jej wyobraźnię przemknęło inne wspomnienie: matka uśmiechająca się czule do generała. Z początku Sophia zakładała, że generał i jej matka, oboje owdowiali i już dorośli, pobrali się, gdyż żywili do siebie szacunek i pragnęli towarzystwa, ale z czasem zmieniła zdanie, widząc ich razem. Może to właśnie dojrzałość sprawiła, że mieli odwagę, by pójść za głosem serca? Ich uczucie sprawiło, że Sophia czuła się trochę poza nawiasem i była odrobinę zazdrosna, patrząc, jak dobrze im było razem. - To znaczy, sama nie wiem - zakończyła niezręcznie.

Mark odetchnął z ulgą. A więc jest jeszcze jakaś nadzieja.

- A zatem może to pani dla mnie zrobić? Proszę traktować to jak każde inne zamówienie, jako możliwość zdobycia dalszych klientów, no i poza tym bardzo liczę na to, że mi pani pomoże.

Sophia już otworzyła usta, by odmówić, ale zaraz je zamknęła, gdyż zdała sobie sprawę, że w ten sposób okazałaby dużą niegrzeczność. W końcu tylko próbował pomóc jej w spełnieniu czegoś, co sama określiła jako swoje „najgorętsze marzenie”. Byłoby niewdzięcznością z jej strony odrzucić taką propozycję dlatego, że nie aprobeuje takiego postępowania, a jeszcze gorzej byłoby, gdyby potępiła je, nie mając po temu żadnych logicznych argumentów. Mark postępował dokładnie tak, jak wszyscy jego znajomi.



Dlaczego więc czuła się tak strasznie rozczarowana?

- Proszę bardzo.

Mark wstał i ujął w dłonie obie jej ręce.

- Dziękuję pani. Na zawsze będę pani dłużnikiem. Dam pani znać, jak tylko porozmawiam z lady Laurą i lady Cecylią.

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł, a Sophia musiała się zastanowić, czy przypadkiem nie popadła w obłąd. Oto ktoś oferuje jej pomoc i wspiera rozwój jej kariery, a ona nie chce mieć nic wspólnego z całą tą sprawą, nie chce widzieć żadnej z tych panien i, wcale ich nie znając, żywi do nich szczerą i gorącą wrogość.

Żadna z panien nie okazała się szczególnie godna nienawiści. Obie były o wiele bardziej czarujące i znacznie mniej samolubne niż condesa de Gonsalvo y Coruna. Pozując w miejskiej rezydencji swoich rodziców, położonej przy Portman Square, lady Laura wyznała Sophii, że zrobi wszystko, żeby stać się dobrą żoną dla lorda Marka Adair.

- Jego ojciec i mój papa byli przyjaciółmi już w Eton, a Mark jest o wiele bardziej atrakcyjny niż markiz Ashworth, którego papa wybrał dla mnie jako drugiego kandydata na męża. Markiz jest znacznie ode mnie starszy i chociaż Mark jest tylko młodszym synem, papa czuje się związany słowem danym ojcu Marka, kiedy ja jeszcze byłam w kołysce, co jest ze wszech miar korzystne. Moim zdaniem Mark jest bardzo przystojny, prawda, panno Featherstonaugh?

Skupiając się na swoim rysunku, Sophia mogła w odpowiedzi wymamrotać niewyraźnie coś, co nie było ani potwierdzeniem, ani zaprzeczeniem, i jej modelka dalej rozprawiała wesoło, nie zauważając, że jej portrecistka, chociaż wydaje się służyć każdego słowa, ani razu nie wyraziła swojej opinii.

Szkicowanie portretu zajęło całe popołudnie, ale Sophia, postanowiwszy mieć jak najmniej do czynie-

nia z obiema potencjalnymi narzeczonymi, zdołała zrobić wystarczająco dużo, by nie było potrzeby przedłużać pozwania na dzień następny.

Lady Cecylia, choć nieco bardziej powściągliwa niż lady Laura, powitała Sopię grzecznie i przez cały czas siedziała bez słowa skargi w bawialni domu przy Berkeley Square. Kiedy sesja się skończyła, poprosiła Sopię, by pokazała jej szkic.

- Ojej, ależ pani jest zdolna, nieprawdaż? Lord Mark tak mi powiedział. Mówi, że może pani zostać drugą Angelicą Kauffmann i że chce pani w tym pomóc. To taki stanowczy człowiek. Proszę mi powiedzieć, panno Featherstonaugh, przecież pani też była na Półwyspie, czy nie sądzi pani, że po tych wszystkich podróżach życie wiejskie mogłoby go nudzić? Ja wolę spokojne życie i marzę, żeby już wrócić do Kentu. Byłaby to dla mnie ulga, wrócić do domu. Mama uwielbia te wszystkie rauty i bale, ale ja wolę spędzać spokojne wieczory przy kominku... to znacznie przyjemniejsze, prawda?

I tym razem Sophia, zajęta wykańczaniem szkicu, mogła uniknąć udzielenia odpowiedzi. Cieszyło ją, że Mark tak pochlebnie oceniał jej zdolności, ale prawdę mówiąc, trudno było jej znaleźć różnice między tymi dwoma pannami. Obie wydawały jej się równie nieodpowiednie dla mężczyzny, który uwielbiał aktywność i nowe wyzwania. To właśnie powiedziała majorowi kilka dni później, gdy pojawił się, by odebrać po szkice.

Mark podszedł do okna w bawialni lady Lydii, wychodzącego na Brook Street. Ustawwszy oba szkice tak, by padało na nie światło, najpierw przyjrzał się pierwszemu z nich, a potem drugiemu.

- Ależ one w niczym mi nie pomogą. Oba są piękne, ale prawie się od siebie nie różnią

- Tak samo jak panny.

- To do pani niepodobne, panno Featherstonaugh. - Mark pogratulował sobie, że potrafi mówić obojętnie. A więc jej też nie podoba się żadna z kandydatek... to dobrze. - Zawsze dotychczas miała pani bardziej zdecydowane przekonania. Potrafiła pani znaleźć jakiś klucz do ludzkiej osobowości pod zewnętrzną fasadą.

*W tym przypadku problem polega na tym, że tam nic nie ma.* Tak miała ochotę odpowiedzieć mu Sophia, ale ugryzła się w język.

- A zatem którą z nich powinienem poślubić?

- Po co w ogóle się żenić?

- No właśnie, po co? To dobre pytanie, panno Featherstonaugh. Ale proszę mi powiedzieć: czy chociaż pani w to nie wierzy, czy marzy pani w tajemnicy, że znajdzie pani kogoś, z kim przejdzie pani przez życie, kogoś, komu powierzy pani swe najtajniejsze myśli i najskrytsze marzenia? Nie ma pani zmartwień i lęków, które rozwiąłyby się natychmiast, gdyby pani o nich komuś powiedziała?

- Nigdy nie myślałam o małżeństwie. - To przynajmniej było prawdą. Co do reszty, wyobrażała sobie to prawie bez przerwy od chwili, gdy rozstali się w Saint-Jean. Owszem, ciotka okazała jej wiele dobroci i posiadały podobne gusta, ale z nikim, nawet z własną matką, nie rozumiała się tak dobrze, jak z majorem lordem Markiem Adair. I kiedy zostawiła go we Francji, miała wrażenie, że zostawia tam połowę siebie.

Obserwując ją bacznie, Mark ciekaw był, co sprowadziło ten lekki rumieniec na jej policzki. Czy przy-

pominała sobie, jak usta jej odpowiedziały na jego pocałunek, jak całym ciałem przywarła do niego?

- Przykro mi, majorze, że moje rysunki nie są w stanie pomóc panu podjąć decyzji. - Nie mogąc dłużej znieść jego spojrzenia, Sophia odwróciła się i podeszła do stojącej przed kominkiem sofy.

- Nic się nie stało. Są doskonałe. Jestem pewien, że każda z tych młodych dam odbierze je z przyjemnością; pani zaś zdołała udowodnić mi, że nie mogę spędzić reszty mych dni z żadną z nich.

Ulga była tak wielka, że pod Sophią ugięły się nogi i musiała wesprzeć się o oparcie sofy.

- A więc udało mi się jednak pomóc. Bardzo się cieszę.

- Tak, była mi pani bardzo pomocna. Jak zawsze. - Podeszedł do niej, patrząc jej w oczy, szukając w nich odpowiedzi, czegoś, co powiedziałyby mu, czy rzeczywiście ona pragnie go tak, jak on jej. Patrzył na jej twarz przez kilka chwil, a potem podniósł jej dłoń do ust, ucałował i odszedł.

Po drodze na Brook Street Mark zastanawiał się, co ma uczynić dalej. Wiatr zaszeleścił papierem, którym Sophia owinęła swoje rysunki. Major popatrzył na paczkę, którą trzymał w ręku. Ależ z niego głupiec! To przecież takie proste, a jeszcze chwilę temu wydawało mu się takie skomplikowane. *Po co w ogóle się żenić?* zapytała go. No właśnie, po co? Z powodów, które jej podał. Nie chciał poślubić lady Laury ani też lady Cecylii nie dlatego, że miał coś przeciwko którejś z nich ani też przeciwko samej instytucji małżeństwa, ale dlatego, iż pragnął poślubić Sophię! Niejasny niepokój i niezadowolenie, których dozna-

wał od wyjazdu z Saint-Jean, znikły bez śladu i Mark znowu poczuł, że jego życie jest pełne nowych możliwości i... tak właśnie... wyzwń. Jak bowiem ma skłonić Sophię Featherstonaugh, żeby zechciała poślubić właśnie jego?

*Nigdy nie myślałam o małżeństwie*, powiedziała. Łatwo było w to uwierzyć, biorąc pod uwagę to, jaki był jej ojciec, ale co dziewczyna myślała o miłości? To właśnie było owo wyzwanie. Nie mógł powiedzieć kobiecie takiej jak Sophia: *Kocham cię i pragnę cię poślubić* tak po prostu, bez żadnego przygotowania. Ona by w to ani przez chwilę nie uwierzyła. Jej nieufność wobec pięknych oficerów kawalerii, a zwłaszcza tego z nich, który uwikłał się w romans z condesą de Gonsalvo y Coruna, sprawiłaby, że z głęboką rezerwą przyjęłaby jego słowa. Co więc ma zrobić? Musi wymyślić jakiś na to sposób.

Kiedy jednak Mark znalazł się w marmurowym hallu rezydencji brata, pojawił się przed nim zupełnie nowy problem. Przechodził właśnie po lśniącej posadzce z czarno-białych kafelków, kierując się do wspaniałych, marmurowych schodów, gdy usłyszał, że ktoś woła jego imię.

- Stryju Marku? - Jego brataniec, Richard, pojawił się w drzwiach biblioteki, rozglądając się z niepokojem dookoła, jakby chciał się upewnić, że nikt inny go nie widzi. - Czy mógłbym zamienić ze stryjem słówko?

Coś było bardzo nie w porządku. Nie trzeba było szczególnie bystrego obserwatora, by zauważyć, że zazwyczaj pogodny młodzieniec ma jakiś poważny problem. Jego wesoła twarz wyglądała mizernie, a nienatural-

na błądliwość podkreślała tylko ciemne półkole pod oczyma.

- Co się stało, chłopcze? Wyglądasz, jakbyś miał poważne kłopoty. - Mark nalał kieliszek koniaku, podał go bratankowi i wskazał mu fotel, stojący przy kominku. - No, mów.

- Więc to jest tak: byłem ostatnio kilka razy u Watiera - Richard nerwowo poprawił sobie krawatę, widząc, jak stryj wysoko unosi brwi - nie, papa nie ma najmniejszego pojęcia, że tam bywam. Nie uznaje żadnych gier losowych, ale to tylko dlatego, że ich nie rozumie. Przecież gry te dają szansę, by zmierzyć się z innymi. Nie wszyscy mieli szczęście wykazać się na Półwyspie, a człowiek musi coś *robić*.

Mark skinął głową.

- No właśnie, i chodzi o to, że wszyscy to robią, bo nikt nie chce, żeby inny pomyśleli, że jest tchórzem, więc trzeba trochę grać, żeby zachować reputację. A jeśli nie chce się, by uważano go za skąpiradło, trzeba stawiać większe sumy. No i do Watiera przychodzą najmodniejsi młodzi ludzie, a czy to taki grzech zagrać sobie w wista z przyjaciółmi?

- Ale...

- Ale w ciągu dwóch ostatnich wieczorów przegrałem prawie tysiąc funtów. Wiem, wiem, to nie jest taka wielka suma w porównaniu z tym, co tracą inni, ale papa nie lubi rozstawać się z pieniędzmi i byłby wściekły, gdyby się o tym dowiedział, a ja nie mam dosyć gotowizny na popłacenie długów.

- Więc chciałbyś pożyczyć ode mnie tysiąc funtów?

- Ależ nie, nic takiego. - Richard z roztargnieniem przeciągnął dłońią po włosach. - Chodzi mi o to, że mam wrażenie, iż zostałem oszukany.

- To bardzo poważne oskarżenie, chłopcze.

- Wiem, wiem. I wiem, że wszyscy goście u Watiera są dżentelmenami, a każdy nowicjusz, który przegra, uważa, że został pokonany przez króla oszustów, ale ja już dawno skończyłem siedem lat i całkiem nieźle radzę sobie przy wiście. Jak dotychczas tyle nie przegrywałem. Owszem, jakąś jedną partyjkę od czasu do czasu, ale nigdy nic poważnego. Teraz jednak przegrywałem za każdym razem, a cały czas grałem z tymi samymi ludźmi. Dlatego sędzę, że coś jest nie tak. Nie wiem tylko, kto to robi i jak ja mam postąpić. Nie mogę przecież oskarżyć moich przeciwników, a tym bardziej przyjaciół, że oszukują w grze, zwłaszcza że nie wiem, który jest winien. No i co teraz? - jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

- Zawsze ci sami ludzie, powiadasz?

- Tak. Fenton Crawthorne, Calverly Berwick i Digby Northcote.

- Twoi przyjaciele?

- Tak. No, znam ich od czasu, gdy przyjechałem do Londynu, ale żaden z nich niczym się nie wyróżnia. Z Berwickiem byłem w Eton, a każdy wie, że Northcote jest bogaty jak Krezus, więc nie musi się uciekać do oszustwa. Berwick zna Crawthorne'a od małego... majątki ich rodziców w Oxfordshire sąsiadują ze sobą, czy coś takiego... więc można sądzić, że każdy z nich jest prawdziwym dżentelmenem.

- Można? Hmm. - Mark zastanawiał się przez chwilę. - Czy któryś z nich bardziej naciska cię o zwrot długu?

- Nie. Crawthorne zachowuje się bardzo przyzwoicie. Wszyscy powtarzają, że na pewno wkrótce szczę-



ście uśmiechnie się i do mnie, że muszę mieć tylko trochę pieniędzy, a się odegram, ale nigdy dotąd nie miałem takiej złej passy. To przecież nie „para-nie para” czy inny hazard, gdzie wygrana zależy wyłącznie od szczęścia.

- Masz rację. - Mark wstał i poklepał młodzieńca po ramieniu. - Muszę się nad tym trochę zastanowić. Pomyślę, co się da zrobić. Porozmawiamy o tym jutro.

Richard wstał, nieśmiało uśmiechając się do stryja.

- Jesteś niesamowity, stryju. Papa zna się na wielu rzeczach, ale tak strasznie przejmuję się tym, co wypada, a co nie, że przez niego człowiek czuje się... no...

- Wierz mi, chłopcze, doskonale rozumiem, o co ci chodzi. Teraz idź, zażyj świeżego powietrza i trochę ruchu. Twój ojciec nie jest szczególnie spostrzegawczy, ale zauważy, że jego syn i spadkobierca wygląda jak upiór.

Potem, stosując się do własnej rady, Mark nakazał, by osiodłano Cezara i udał się na przejażdżkę po parku. Ruch na świeżym powietrzu zawsze rozjaśniał mu umysł.

I rzeczywiście, tak jak przypuszczał, po kilku okrążeniach przyszedł mu do głowy pomysł, który rozwiązałyby nie tylko problem bratanka, ale i jego własny.

**Już następnego popołudnia** Mark przedstawił swój plan **Sophii** i jej ciotce.

- Wiem, że to wydaje się dziwne, ale wierzę Richardowi. To może nie geniusz, ale rozumny chłopak, i jeśli myśli, że go oszukano, to raczej tak jest. Najtrudniejszą rzeczą jest złapać tego, który to robi, a co więcej, nie można działać jawnie. Podać w wątpliwość honor dżentelmena to najgorsze, co można uczynić, więc lepiej działać ostrożnie. Dlatego zdemaskowanie sprawcy powinno nastąpić gdzieś poza Londynem, żeby ograniczyć plotki. Mając to na względzie, urządziłem niewielkie przyjęcie w Cranleigh. Buckinghamshire jest dosyć blisko stolicy i nikt nie odmówi zaproszenia na kilkudniowy pobyt na wsi, zwłaszcza że Cranleigh znane jest ze swych stajni i piwnic. Mój brat nie zna się na koniach ani na winach, ale durna rodowa nakazuje mu zatrudniać doskonałych specjalistów, dzięki czemu nasz majątek rodzinny jest równie sławny jak za czasów mojego dziadka. I tu właśnie pojawia się kwestia, w której chciałbym poprosić panie o pomoc.

Mark zwrócił się do lady Lydii.

- Przypuszczam, że zdążyła się już pani przekonać, jak uzdolnioną artystką jest pani bratanica, ale nie je-

stem pewien, czy zdaje sobie sprawę, jak doskonale potrafi ona przenikać ludzkie charaktery. Niejednokrotnie uratowała mnie od katastrofy, która groziła mi w wyniku mojej niewłaściwej oceny pewnych osób. Jestem jej za to dozgonnie wdzięczny.

- Panno Featherstonaugh, wiem, że stale proszę panią o pomoc i nigdy nie jestem w stanie w pełni się pani za nią wypłacić, ale gdyby zechciała przyjechać do nas do Cranleigh i spędzić kilka dni, rysując mojego bratańca i jego przyjaciół przy grze w karty, a także moich bratanic grających na fortepianie lub czytających na głos, jestem pewien, że zdołałaby pani wkrótce odkryć, kim jest ten łotr. - Mark uśmiechnął się do Sophii, sprawiając, że zmiękły jej kolana. - Nie mogę pani wiele zaoferować w zamian poza wspaniałą okolicą do jazdy konnej i kolekcją portretów rodzinnych wykonanych przez dawnych mistrzów: Holbeina, Van Dycka, Hillarda i Knellera. Moje bratanice: Karolina i Maria, będą tobą zachwycone. Karolina ma lat szesnaście, a Maria czternaście. Uważają się już za bardzo dorosłe i są wściekłe, że ich papa nie pozwala im przyjeżdżać do miasta. Mój brat zaś dobrze wie, jakie z nich psotnice, i powtarza im, że zdążą jeszcze napytać mu biedy, gdy już zostaną wprowadzone do towarzystwa. Do tej pory nie daje się im żadnej możliwości utraty reputacji. Pani zaś, lady Lydio, ośmielam się zaoferować doskonałą bibliotekę. Jak w poprzednim przypadku, duma rodowa nakazała mojemu bratu uzupełnić dzieło przodków. Co panie na to? Czy przyjdą mi panie z pomocą?

Widząc lekki rumieniec i nagły błysk w oku bratanicy, lady Lydia nie miała serca odmówić.

- Już od dawna nie byłam na wsi. Do Yorkshire jest dla mnie za daleko, a Broughton Castle to stara, pełna przeciągów rudera. Co powiesz, Sophio, na kilka dni na wsi?

- Ja... ach...

Mark nie ustawał w namowach.

- Oczywiście Atalanta jest także mile widziana. Jestem pewien, że będzie zachęcała panią, by skorzystać z okazji i opuścić zatłoczone miejskie ulice. Dam też pani szansę pokonania mnie w prawdziwym wyścigu.

Sophia zachichotała.

- Wobec takich argumentów nie pozostaje mi nic innego, jak zgodzić się. - Serce biło jej żywiej na myśl o swobodnym galopie na przełaj i powrocie dawnego koleżeństwa między nią a majorem.

Tak więc w niecały tydzień później pewnego pięknego, wiosennego dnia dawno już niemodna karetka podróżna z turkotem potoczyła się Brook Street w stronę Paddington, a potem ruszyła ku Buckinghamshire.

Mark i Richard jechali przodem lśniąca nowością kariolką, którą Mark kupił tydzień wcześniej wraz ze wspaniałą parą siwków.

Zapowiadało się, że ładna pogoda utrzyma się przez dłuższy czas i, po raz pierwszy od śmierci matki, Sophia była w doskonałym humorze, który poprawił się jej jeszcze bardziej, gdy opuścili zatłoczone ulice miasta i znaleźli się pośród soczystej zieleni łagodnie falującego pasma Chiltern Hills.

Cranleigh było stosunkowo nowym budynkiem, postawionym w czasach królowej Anny na ruinach pałacu z okresu Tudorów, zbudowanego dla księżąt Cranleigh. Projektował go Vanbrugh, lecz dom był

mniejszy, przez co jednak wygodniejszy niż Blenheim Castle czy Howard Castle, posadowiony w przestronnym parku, otoczony ogrodami i parkiem założonymi przez Williama Kenta.

Lady Lydię i Sophię powitały Karolina i Maria, które szalenie ucieszyły się, że będą miały jakieś inne towarzystwo poza swoją guwernantką.

- Nie ma pani pojęcia, jak tu jest straszliwie nudno - zwierzyła się Karolina Sophii, prowadząc ją do jej pokoju. - Panna Priestly stara się nas zabawić, jak tylko potrafi, ale Maria i ja jesteśmy już duże i w zasadzie nie ma nas czego uczyć. Więc goście są dla nas czymś szalenie atrakcyjnym. Stryj Mark twierdzi, że większość życia spędziła pani na kontynencie. Jestem pewna, że miała tam pani bajeczne przygody i wie wszystko na temat najświeższej mody. Oczywiście byliśmy z Francją w stanie wojny, ale wojna nie wojna, Paryż jest nadal stolicą mód. Stryj Mark mówi, że jest pani utalentowaną artystką. Na pewno będzie pani umiała narysować suknie, które noszono w tym roku we Francji.

Sophia pomyślała o condesie i uśmiechnęła się ironicznie.

- Przypuszczam, że tak.

- Och, mogłaby pani? Maria i ja byłybyśmy zachwycone. Mogłybyśmy sobie uszyć podobne. Ależ by nam zazdrościła lady Lewis i te jej okropne córunie!

Choć Sophia niezbyt interesowała się modą, nie miała wyboru, jak tylko obiecać ze śmiechem, że zrobi wszystko, co w jej mocy. Było coś zabawnego a zarazem zaraźliwego w entuzjastycznym przekonaniu lady Karoliny, że Sophia, która spędziła życie w obozach wojskowych, może dostarczyć córkom księcia

Cranleigh wystarczająco dużo wiadomości o najświeższej modzie, by mogły rywalizować z najpiękniejszymi pannami na wydaniu w całej okolicy.

Dni mijały szybko. Sophia, która nigdy dotąd nie należała do grupy beztrioskich młodych ludzi, stwierdziła, że świetnie się bawi w towarzystwie Marii, Karoliny, Richarda i jego przyjaciół. Patrząc, jak dziewczęta i Sophia cieszą się podczas zabaw zorganizowanych przez chłopców, by je rozerwać: wyścigów na osłach i gry w wolanta, Mark poczuł się od nich co najmniej o sto lat starszy. Potrafił pomóc Sophii, a nawet wywołać uśmiech na jej twarzy, ale nigdy nie sprawił, by zaśmiewała się z całego serca tak, jak podczas tych niepoważnych rozrywek.

Wieczorami zasiadali w bawialni, gdzie Richard z przyjaciółmi grał w karty, Karolina ćwiczyła na pianinie, ciotka Lydia czytała, Sophia rysowała, a Mark obserwował.

Pewnego ranka po kilku takich spotkaniach podszedł do Sophii, która podziwiała oszałamiający zestaw tytułów w bibliotece.

- Czy udało się pani uchwycić graczy na tyle dobrze, żeby powiedzieć, którego z nich mamy pilnować?

- Tak mi się zdaje.

- Doskonale. Poproszę tu Richarda, a pani niech przyniesie szkicownik.

- Dobrze. - Sophia pobiegła po blok do rysowania i wróciła do biblioteki, gdzie już czekał na nią Richard i jego stryj.

- Proszę.

- Ojej, panno Featherstonaugh, to jest znakomite! - Richard pochylił się nad rysunkami. - Jest pani praw-

dziwą artystką, o wiele bardziej utalentowaną niż mówił stryj Mark.

- Ach, dziękuję panu. - Sophia zarumieniła się z zadowolenia.

- Wszystko to prawda, ale teraz musimy przyjrzeć się temu, co zrobiła. - Mark sięgnął po szkice i zaczął je dokładnie oglądać. - Hmm. - Spojrzał na pierwszy z nich, potem drugi i trzeci. - Co o tym sądzisz, Richardzie?

- Wystarczy popatrzeć na ręce, proszę stryja. Jakoś dziwnie je trzyma. I ramiona. Widać w nich napięcie, jakby na coś czekał.

- Dokładnie. Więc jak sądzisz? Moim zdaniem to on.

- Też tak myślę, ale sir Fenton? To niemożliwe. Jest tak bogaty, że trudno sobie wyobrazić, w jakim celu miałyby oszukiwać.

- Ale popatrz, jak przygryza dolną wargę, chłopcze. Czy trzeba lepszego dowodu na to, że ma niepokojne sumienie?

- Zgadzam się, ale to nie do wiary. Po co...

- Zróbmy próbę. Zagrajcie dzisiaj w to co zwykle, a ja będę was obserwował.

- Ty, stryju? Ale co ty możesz zauważyć? Gram w karty z tym człowiekiem już od miesiąca i nic nie spostrzegłem.

- Spokojnie, stary. Byłem oficerem zwiadowczym. Okaż mi trochę zaufania.

- Dobrze, proszę stryja. Mam nadzieję, że zauważysz to, czego mnie się nie udało.

- Zaufaj stryjowi, Richardzie, on wie, o czym mówi. - Sophia po prostu musiała wystąpić w obronie Marka.

- Jeśli pani tak mówi, panno Featherstonaugh, to zgoda. Ale trzeba powiedzieć, że bez pani szkiców byłibyśmy w lesie. Pani jest naprawdę niesamowicie spostrzegawcza.

- Proszę mi tak nie pochlebiać.

- Nie. Rzeczywiście tak myślę. A jeszcze nie dość że jest pani nie tylko wspaniałą artystką, ale też potrafi tak świetnie jeździć konno, to prostu nie do wiary. Każdy widzi, że Atalanta jest dosyć narowista, a przy pani zachowuje się, jakby należała do trupy Astleya.

- Przypisuje mi pan za wiele.

- Ależ skąd. - Niebieskie oczy Richarda płonęły podziwem i entuzjazmem. - Sir Fenton, Berwick, Northcote, wszyscy oni mówią, że nie widzieli, żeby kobieta potrafiła tak świetnie jeździć.

- Dziękuję wam wszystkim. - Sophia uśmiechnęła się pobłaźliwie. Richard wyrażał swój chłopięcy podziw z rozbijającym wdziękiem.

Po południu, galopując przez pola, delectowała się wspomnieniem zachwyty, z jakim owi młodzieńcy wypowiadali się na temat jej umiejętności jeździeckich. Jedynym ciemnym punktem tego skądinąd pięknego dnia był cyniczny uśmieszek, który pojawiał się na ustach majora, ilekroć był świadkiem tych wylewnych pochwał. Cóż, on należał do kawalerii i pewne rzeczy są dla niego oczywiste. Niech się sobie uśmiecha, ile chce, ci młodzi ludzie przynajmniej potrafili docenić trud długich godzin spędzonych na wysłuchiwaniu pouczeń ojca i niekończących się ćwiczeń pod okiem sierżanta Mapplethorpe.

Tego wieczoru gra toczyła się zaledwie godzinę,



gdy Mark zaproponował przerwę na drinka. Podczas gdy pozostali przysłuchiwali się Karolinie, która wykonywała na fortepianie wiązanek żywych melodii, on i Richard poprosili sir Fentona do biblioteki.

- Crawthorne - zaczął surowo Mark - doszły mnie słuchy, że masz niezmiernie wielkie szczęście w kartach.

- A i owszem. Mówi się, że jestem czymś w rodzaju mistrza w wiście.

- Mój brataniec też.

Bacznie przyglądając się stryjowi, Richard pomyślał sobie, że nigdy nie widział go tak groźnym.

- Ach, ale ja długo się tego uczyłem.

- Ja zaś potrafię obserwować. Słyszałeś może o zadaniach, jakie wykonywałem na Półwyspie? Tam przyglądałem się ludziom, których życie zależało od tego, jak dobrze będą oszukiwać.

Sir Fenton nerwowo oblizał wargi.

- Wierzę panu. Mówi się, że dokonał pan wielu bohaterских czynów.

- Na tyle bohaterских, żeby czuć obrzydzenie do kogoś, kto usiłuje wykorzystać własnych przyjaciół.

- Jak pan śmie, sir!

- Nie. To jak *pan* śmie, dżentelmen z urodzenia i wychowania, okradać własnych przyjaciół jak jakiś pospolity oszust?

- Ma pan nie po kolei w głowie?

- Ach, tak? To proszę mi powiedzieć, co za kartę trzyma pan w rękawie? A może mam ją sam wyciągnąć?

Nieszczęsny młodzieniec opadł na sofę, całkowicie załamany.

- Proszę, niech pan mnie zrozumie. Będę zrujnowany. Skan Anula43, przerobienie pona.

- Tak samo, jak chciałeś zrujnować mojego bratańca. Co możesz powiedzieć na usprawiedliwienie twoich ohydnych postępów?

- Wszystko zaczęło się w Newmarket, sir. Pojechałem tam na wyścigi z paroma kolegami z uniwersytetu. Postawiliśmy na kilka koni i szło mi całkiem nieźle aż do ostatniego wyścigu, kiedy to, upojony sukcesem, postawiłem wszystko i przegrałem. Straciłem więcej, niż mogłem zapłacić, i byłem w czarnej rozpacz, do chwili gdy oni zaproponowali partyjkę kart, żebym mógł się trochę odegrać. Byli kompletnie pijani i oszołomieni wygraną, więc nie widzieli, jak podmieniam karty. Poszło mi gładko i wkrótce odegrałem się całkowicie. Zasługiwali na to. Gdyby nie ich zachęta, w ogóle nie pojechałbym na konie. Ale było to tak łatwe, że nie mogłem przestać. Gra stała się znacznie bardziej podniecająca, gdy mogłem nie tylko wygrać, ale także oszukać. Oczywiście zdobywałem bajeczne kwoty. I to wszystko. Po krótkim czasie nie mogłem już przestać, ale sam siebie nienawidziłem. Prawdę mówiąc, teraz czuję ulgę, że wszystko się wydało. Ale błagam was, nie mówcie nikomu. To by zabiło mojego ojca.

- Powinieneś być wcześniej pomyśleć o swoim ojcu. Teraz oddasz mojemu bratańcowi i pozostałym graczom wszystko, co do ciebie przegrali, i nigdy więcej nie pojawisz się u Watiera czy w jakimkolwiek innym domu gry. Możesz być pewien, że jeśli tam pójdziesz, natychmiast się o tym dowiem.

- Ale jak mam... dobrze, sir. Ma pan rację, sir.

- Jak tylko wypiszesz czeku dla mojego kuzyna i jego partnera, będziesz miał pilne powody, by natychmiast wrócić do miasta.

- Tak, sir. Bardzo mi przykro, sir - wybełkotał nie-  
szczęśnik, wybiegając z biblioteki.

- No i proszę - Mark zwrócił się do bratańca. -  
Miałeś absolutną rację. Nie można mu było ufać.

Richard chwycił rękę stryja.

- Tak, chociaż wciąż nie mogę w to uwierzyć. Dzię-  
kuję, sir.

- Nie mnie powinieneś dziękować, ale pannie  
Featherstonaugh.

- Oczywiście, sir. Ona jest wspaniała, prawda? Ta-  
ka uzdolniona i mądra. Aż się nie chce wierzyć, że ist-  
nieje naprawdę.

- Tak, Richardzie, masz rację - powiedział do sie-  
bie jego stryj, gdy młodzieniec wybiegł z pokoju, by  
przekazać dobre wieści swemu partnerowi. - Trudno  
w to uwierzyć, ale to prawda.

Tak jak się umówili, sir Fenton opuścił towarzystwo następnego dnia. Pozostali spędzili rano, wiosłując na stawie i grając w krykieta. Przyglądając się młodzieży, Mark doszedł do niemiłego wniosku, że Sophia, zamiast drwić z naiwnego podziwu jego bratanka, wydaje się być nim pochlebiona. Trudno mu było uwierzyć, że panna, która wzrosła wśród mężczyzn, może uznać, iż ten jeden jest inny i bardziej ciekawy niż setki młodych oficerów, których spotykała od dziecka, ale najwyraźniej tak było, gdyż spędziła prawie cały dzień w towarzystwie Richarda i Markowi zaczęło się wydawać, że ilekroć się odwróci, Sophia śmieje się z jakiegoś żartu jego bratanka.

Mark znał Richarda od dziecka i chociaż uważał go za stosunkowo miłego chłopca, nigdy w życiu nie nazwałby go dowcipnym. To, że ktoś tak inteligentny jak Sophia mógłby dobrze się bawić w towarzystwie jego zupełnie zwykłego krewnego, znając wcześniej Wellingtona i jego doradców, wydawało mu się absurdalne. Przecież chyba on jej się nie spodobał?

Mark wiedział, że jasne włosy Richarda i jego szczerą twarz wyrobiły mu opinię przystojnego u wielu młodych kobiet, ale przecież nie u Sophii. Znała wszak tylu prawdziwych mężczyzn, że nie po-

winna dać się zwieść szczeniackim dowcipom i bezpretensjonalnej radości życia.

Jeśli nie osoba Richarda była dla niej atrakcyjna, to przecież także nie jego pozycja na świecie. Wydawało się niemożliwe, by osoba tak niezależna jak panna Sophia Featherstonaugh mogłaby zapragnąć zostać księżną Cranleigh, ale może Mark się tutaj pomylił. Przecież dał się już raz omamić kobiecie, i to całkiem niedawno.

Kiedy zrobiło się popołudnie, Mark był już w bardzo złym humorze i nastrój nie poprawił mu się wcale, gdy usłyszał, jak Richard i jego siostry błagają szkicuującą w ogrodzie Sophię, żeby pokazała im inne swoje rysunki. Zły, że nie potrafi nad sobą zapanować, Mark powoli zbliżył się do małej grupki pochylonej nad szkicownikiem i wydającej okrzyki podziwu na widok doskonałego podobieństwa narysowanych w nim portretów.

- Ojej, stryju Marku, to przecież ty! - zawołał Richard. - Wyglądasz na nim jak bardzo niebezpieczny człowiek.

- Nie sądzę. - Mark podszedł do nich, spodziewając się zobaczyć rysunek, który pamiętał z Saint-Jean, ale był to zupełnie inny szkic. Oczy, które na tamtym lśniły namiętnością, tu spoglądały ze znużeniem spod lekko opuszczonych powiek. Usta, które przedtem zdawały się wzywać do walki, wykrzywił cyniczny uśmieszek. Mark poczuł wstrząs, jakby ktoś oblał go kubłem zimnej wody. Zbyt oszołomiony, by coś powiedzieć, patrzył w zaskoczeniu na szkic.

W końcu udało mu się wydobyć głos.

- Czy ja... rzeczywiście tak wyglądam?

Policzki Sophii pokryły się rumieńcem zakłopotania.

- Bardzo się pan zmienił od tamtych czasów - powiedziała łagodnie, a potem zwróciła się do Marii, by odpowiedzieć na jakieś jej pytanie o perspektywę i malowanie krajobrazów.

Raz jeszcze zignorowany przez młodzież, Mark parsknął gniewnie i odwrócił się. Znowu go oszukano. Kobieta, o której sądził, iż jest bardziej prawdopodobna i szczerza niż większość znanych mu ludzi, okazała się nie lepsza niż inne.

Czując ogólne zniechęcenie do życia, ale najbardziej do samego siebie, Mark ruszył w stronę stajni. Przynajmniej Cezar jest mu wierny. Potrzebna mu dłuższa przejażdżka, żeby wyzwolić się od myśli o kobiecie, przez którą omal nie zrobiłby z siebie głupca jeszcze większego niż za sprawą condesy.

Gdy wrócił, gniew w znacznej części mu minął, lecz rozczarowanie pozostało, więc postanowił unikać odtąd towarzystwa Sophii, które to postanowienie zostało złamane w chwili, gdy jeszcze przed obiadem dziewczyna wyszła na taras. Pozostali zajęli się grą w bierki, robiąc przy tym mnóstwo hałasu i nie zwracając najmniejszej uwagi na nieobecność dwóch osób z ich grona.

Sophia podeszła do skraju tarasu, by popatrzeć na ozdobny staw. Przez chwilę chciała być sama ze swoimi myślami. Praca, jaką musiała wykonać, by spełnić prośbę Marka, czyli pomoc przy wykryciu znajdującego się pośród nich oszusta, zmęczyła ją. Poza tym niepokoiło ją zachowanie majora w ciągu ostatnich paru dni. Zniknął gdzieś uśmiech, przeznaczony tylko dla niej. Ilekroć Mark patrzył na nią, spojrzenie je-

go było zimne jak lód, a wyraz twarzy twardy i nieprzystępny, jakby major się na nią o coś gniewał. Nie miała pojęcia, czym mogła go obrazić, ale widać było wyraźnie, że coś jest nie w porządku, i to sprawiło, że choć wcale nie chciała się do tego przed sobą przyznać, czuła się po prostu okropnie nieszczęśliwa.

Za jej plecami rozległy się kroki i Sophia odwróciła się gwałtownie, by napotkać spojrzenie tych właśnie oczu, o których przed chwilą myślała.

- Nie spodziewałam się pana, majorze.

- Czekala pani na kogoś innego, jak sądzę?

- Kogoś innego? - Dziewczyna była szczerze zdziwiona.

- Na przykład Richarda?

- Pańskiego bratańca? A dlaczego miałabym się go spodziewać?

- Sama pani wie najlepiej.

Na jej twarzy odmalowało się wyłącznie zaskoczenie. Albo jest doskonałą aktorką, albo wcale nie czyniła zakusów na jego bratanka, jak Mark chciał przypuszczać.

- Wygląda na to, że doskonale się rozumiecie.

- 2 Richardem? - zaczęła z niedowierzaniem Sophia. Potem zaczęła mówić z rosnącym gniewem. - Jak pan śmie insynuować coś takiego! Richard jest bardzo miłym chłopcem. Poznałam setki różnych młodzieńców i doskonale potrafię rozpoznać miłego, choć słabego chłopca. Jak może pan myśleć, że ja jestem tak ślepa lub tak głupia, żeby... och, to przekracza wszelką wytrzymałość! Nigdy w życiu nikt mnie tak nie obraził! I to właśnie pan!

Zakręciła się w miejscu i z gniewem pobiegła w stro-

nę wielkich angielskich okien, przez które wchodziło się do domu, ale Mark zatrzymał ją, zanim zdążyła się przy nich znaleźć, i odciągnął ją w miejsce, w którym inni nie mogli ich zobaczyć.

- Panno Feather... Sophio. Przepraszam. Musisz mnie zrozumieć.

Odwrócił ją twarzą do siebie. Jej oczy wypełnione były łzami, a jedna z nich spłynęła na policzek. Mark otarł ją delikatnie.

- Proszę, pozwól mi wyjaśnić. Nie powiedziałbym czegoś takiego, gdybym nie był chory z zazdrości. Ten rysunek. Jak mogłaś myśleć, że stałem się kimś takim? A poza tym, że zaczęłaś widzieć mnie jako człowieka zimnego i cynicznego, byłaś nim taka zainteresowana. Co miałem o tym myśleć?

- On przynajmniej umie cieszyć się życiem. Nie krzywi się na nie. To bardzo ożywcze.

- Ożywcze, ale znudzisz się nim po tygodniu. To nie jest męczyczna dla ciebie.

- Jak śmiesz!

Sophia podniosła rękę, by wymierzyć Markowi policzek, ale on chwycił ją i przyciągnął do siebie.

- Bo to ja nim jestem. - Zmiażdżył pocałunkiem jej wargi, zmuszając ją, by przyznała, że to prawda.

Przez chwilę uległa mu, oddając pocałunek z całą namiętnością, której się po niej spodziewał. Potem wyrwała się.

- Jak śmiesz! - syknęła i pobiegła do domu.

Tego wieczoru nie pojawiła się w towarzystwie. Było jasne, że poszła spać, a Mark, nie pragnąc widzieć nikogo ani z nikim rozmawiać, też poszedł do swojej sypialni, gdzie pochłonał jeden za drugim kil-



ka kieliszków koniaku i rzucił się w ubraniu na łożko, czekając, aż zapadnie w niebyt.

Sophia pobiegła do siebie na górę, ostatkiem sił panując nad łzami wściekłości i oburzenia. Myślała, że jest jej przyjacielem, że ją szanuje, a tymczasem chwycił ją i całował, jakby była pierwszą lepszą narzucającą mu się kobietą, jakąś Dianą de Gonsalvo y Coruna. Nie zamierzała jednak w tej chwili przyjmować do wiadomości tego, że ona pocałunek ten oddała. Sądziła, że Mark jest inny, że jest wrażliwy i potrafi okazać zrozumienie, a nawet współczucie, a tymczasem okazało się, że jest takim samym jak wszyscy mężczyźni egoistą, równie niegodnym zaufania jak jej ojciec. Rozebrała się i wskoczyła do łóżka, gdzie płakała z gniewu, dopóki nie zapadła w sen.

Obudziwszy się jeszcze przed świtem, Sophia leżała bez ruchu, póki nie zaczęło dzień. Wtedy wstała, założyła amazonkę i buty do jazdy konnej i poszła do stajni.

Atalanta zarżała na powitanie, a Sophia założyła jej siodło i uzdę, po czym wydobyla z kieszeni kilka kostek cukru, które klacz schrupała z zadowoleniem. Dziewczyna wyprowadziła wierzchówkę ze stajni, wskoczyła jej na grzbiet i, galopując na łeb na szyję przez park, starała się wyrzucić z pamięci wszystkie myśli na temat majora.

Udało jej się to tylko na kilka chwil, a potem zbliżający się tętent końskich kopyt powiedział jej, że ktoś ją ściga i że jest to jeździec, który ją zaraz dogoni. Sophia знаła tylko jedną taką osobę.

Spięła Atalantę, ale na nic to się zdało. Cezar wkrótce znalazł się obok nich, a silna dłoń uchwyciła wo-

dze klaczy. Atalanta próbowała mu się wyszarpnąć, lecz daremnie. Miała wszak do czynienia ze zdeterminowanym oficerem kawalerii.

Wierzchowce zwolniły biegu i zatrzymały się. Mark zeskoczył z konia i podszedł, by pomóc Sophii. Dziewczyna zignorowała jego wyciągniętą rękę, ale gdy tylko jej stopy dotknęły ziemi, major uchwycił jej dłoń i przyciągnął ją do siebie.

- Sophio, spójrz na mnie. Posłuchaj mnie. Przepraszam za wczoraj, ale... nic, prawdę mówiąc, nie przepraszam. Wybacz mi tylko, że źle cię zrozumiałem. Szalałem z zazdrości. Wiem, że to mnie nie usprawiedliwia, ale może wyjaśnia moje zachowanie. Przez całe miesiące bardzo za tobą tęskniłem. Nie mogłem z tobą rozmawiać, dzielić" się myślami. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem z tego powodu nieszczęśliwy, dopóki nie zobaczyłem cię na tym balu. Uśmiechnęłaś się do mnie i znalazłem się w świecie, który jest mój własny, gdzie byłem rozumiany i doceniany. Pomyślałem, to znaczy miałem nadzieję, że ty czułaś to samo, ale teraz nie jestem pewny. Generał powiedział, że poznałaś zbyt wielu oficerów kawalerii, by zakochać się w jednym z nich, a jest wielu mężczyzn, którzy mogą zaofiarować ci inne życie, ale żaden z nich nie będzie o ciebie dbał i kochał cię tak jak ja.

Niezdolna cokolwiek pomyśleć, powiedzieć, a nawet zaczerpnąć tchu, Sophia patrzyła na niego w milczeniu. W jego oczach malowała się prośba i miłość. To było więcej niż mogła znieść. Opuściła powieki i poczuła na swych ustach pocałunki, najpierw czułe i delikatne, a potem bardziej namiętne. Mark przycią-

gnął ją do siebie i muskał ustami jej szyję. Poddała się pożądanemu człowiekowi, którego pieśczęt pragnęła już przecież od dawna. Wtedy jednak powróciło wspomnienie innego oficera kawalerii i kobiety, która uległa mu bezgranicznie wiele lat temu.

- Nie, nie mogę.

- Dlaczego? Kocham cię. Pragnę cię. Ty także mnie kochasz. Wiem to. Zdradzają cię twoje pocałunki.

- Nie mogę. To szaleństwo poddać się czemuś takiemu.

- Szaleństwem będzie, jeśli spędzimy resztę życia razem?

- To nie potrwa długo. Papa...

- Sophio. - Mark potrząsnął nią lekko. - Jak możesz porównywać mnie do lorda Harry'ego? On poszedł do wojska, bo nie miał innego wyboru. Ja zaś zaciągnąłem się dlatego, że chciałem coś zrobić w moim życiu, tak jak ty pragniesz nadać swemu życiu jakiś sens. Chciałem pomóc uwalniać Hiszpanię od tyranii Bonaparte'go. Twój ojciec pragnął tylko rozrywek. Był egoistyczny i nierozsądny i w końcu dał się zabić. Ja podejmuję ryzyko, ale nigdy nie postępuję nieodpowiedzialnie. Nawet teraz. Myślę, że pokochałem cię już w chwili, gdy ujrzałem cię rysującą pośród ognia wojny.

Sophia wahała się jeszcze. Bardzo chciała uwierzyć w jego słowa, ale obawiała się losu matki. Lękała się zawierzyć swe szczęście innej osobie, nawet gdyby znaczyło to, że przejdzie przez życie samotnie.

- Najdroższa, proszę cię, zaufaj swej intuicji. W głębi serca wiesz, jaki naprawdę jestem. Kiedyś zrobiłaś portret tego człowieka. Ten, którego narysowałaś później, został oszukany przez inną, a potem musiał żyć

z dala od ciebie przez długie miesiące. Jeśli pomożesz mi, będę taki jak człowiek z pierwszego portretu. Ja zaś mogę pomóc ci stać się kobietą taką, jaką pragniesz zostać. Zaufaj swojej intuicji, Sophio, tak jak ja jej zawsze ufałem... ryzykując własne życie.

Zawahała się, wspominając długie lata zwątpienia. Spojrzała w uśmiechające się do niej oczy. Była w nich szczerłość i miłość. Czy może mu nie uwierzyć? I czy to rzeczywiście takie ważne? Nie powinna przedkładać racji rozumu nad to, co mówi jej serce. W końcu to ono podpowiadało jej, jak rysować, a wszystkie jej obrazy mówiły prawdę.

- Kocham cię, Marku. Chcę z tobą spędzić całe życie.

- Moja ukochana. - Porwał ją w ramiona i mocno przytulił tak, jakby miał nigdy jej z nich nie wypuścić i by nic nie zakłóciło już nigdy ich szczęścia.